

**Alistair MacLean**

***Komandosi z Nawarony***

Przekład: Andrzej Grabowski

Tytuł oryginału: Force 10 from Navarone

Lewisowi i Caroline

## **Spis treści**

- I. Czwartek, godz. 00:00-6:00**
  - II. Czwartek, godz. 14:00-23:30**
  - III. Piątek, godz. 00:30-02:00**
  - IV. Piątek, godz. 02:00-03:30**
  - V. Piątek, godz. 03:30-05:00**
  - VI. Piątek, godz. 08:00-10:00**
  - VII. Piątek, godz. 10:00-12:00**
  - VIII. Piątek, godz. 15:00-21:15**
  - IX. Piątek, godz. 21:15 - Sobota, godz. 00:40**
  - X. Sobota, godz. 00:40-01:20**
  - XI. Sobota, godz. 01:20-01:35**
  - XII. Sobota, godz. 01:35-02:00**
  - XIII. Sobota, godz. 02:00-02:15**
- EPILOG**

## **I. Czwartek, godz. 00:00-6:00**

Vincent Ryan, komandor Królewskiej Marynarki Wojennej, dowódca niszczyciela najnowszej klasy „S”, HMS „Sirdar”, wygodnie oparł łokcie na zręcznicy mostku, podniósł do oczu lornetkę nocną i w zamyśleniu rozejrzał się po spokojnych, osrebrzonych światłem księżyca wodach Morza Egejskiego.

Najpierw popatrzył wprost na północ, ponad prostymi, równo wyrzeźbionymi w wodzie, białawo fosforyzującymi odkosami fali, pozostawionej przez cienką jak nóż nasadę dziobu jego niszczyciela: najwyżej cztery mile dalej, w oprawie z granatowego nieba i błyszczących jak diamenty gwiazd, sterczała z morza ponura bryła otoczonej ciemnymi skałami wyspy, wyspy Cheros, od miesiący stanowiącej odległą, oblężoną placówkę dwóch tysięcy angielskich żołnierzy oczekujących, że zginą tej nocy, lecz którym ocalono życie.

Ryan przesunął lornetkę o sto osiemdziesiąt stopni i z zadowoleniem skinął głową. Właśnie to pragnął zobaczyć. Na południu, za rufą, pozostałe cztery niszczyciele płynęły w tak idealnie prostej linii, że kadłub okrętu na przedzie, który w dziobie zdawał się trzymać połyskliwą kość, całkowicie zasłaniał kadłuby trzech płynących za nim. Ryan skierował lornetkę na wschód.

Zastanawiające, pomyślał bez związku, jak małe wrażenie robi, a nawet rozczarowuje to, co pozostaje po katastrofie spowodowanej przez przyrodę lub człowieka. Gdyby nie przyćmiona czerwona poświata oraz kłęby dymu wznoszące się z górnych partii skały i przydające scenerii nieuchwytniej dantejskiej aury pierwotnej grozy i czyhającego nieszczęścia, odległe urwisko skalne nad zatoką wyglądałoby jak za czasów Homera. Wielki skalny występ, który z tej odległości sprawiał wrażenie gładkiego, równego i poniekąd tak naturalnego, jakby w ciągu setek milionów lat wyrzeźbiły go wiatr i pogoda, mogli też równie dobrze wyciąć w skale pięćdziesiąt wieków temu kamieniarze starożytnej Grecji, szukający marmuru na budowę swoich jońskich świątyń. Tym, co nie mieściło się w głowie, co się niemal kłóciło ze zdrowym rozsądkiem, był jednakże fakt, że jeszcze przed dziesięcioma minutami owego występu wcale tam nie było, były za to dziesiątki tysięcy ton skały, kryjącej najbardziej niedostępną twierdzę niemiecką na Morzu Egejskim, a przede wszystkim dwa wielkie działa Nawarony, pogrzebane już na zawsze sto metrów niżej, w morzu. Wolno potrząsając głową komandor Ryan opuścił lornetkę i przeniósł wzrok na ludzi, którzy w ciągu pięciu minut dokonali więcej, niż w ciągu pięciu milionów lat była zdolna dokonać przyroda.

Kapitan Mallory i kapral Miller... Wiedział o nich tylko tyle, tyle oraz to, że owo zadanie powierzył im jego stary znajomy, komandor marynarki nazwiskiem Jensen, który, jak dowiedział się zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu — i to ku swojemu kompletnemu zaskoczeniu, był szefem wywiadu aliantów na Morzu Śródziemnym. Wiedział o nich tylko tyle, a może jeszcze mniej. Być może wcale nie nazywali się Mallory i Miller. Być może wcale nie byli kapitanem i kapralem.

Takiego kapitana i kaprała jeszcze nie widział. Na dobrą sprawę jeszcze nigdy nie widział takich żołnierzy. Obleczeni w nasiąknięte słoń wodą, zakrwawione niemieckie mundury, brudni, nie ogoleni, milczący, czujni i nieprzystępni należeli do kategorii ludzi, z jakimi jeszcze nie miał do czynienia, a przyglądając się przygasłym, zaczerwienionym i zapadłym oczom, wychudzonym, pobrużdżonym, pokrytym siwą szczecina twarzom tych dwu już niemłodych mężczyzn miał jedynie pewność, że tak kompletnie wyczerpanych ludzi widzi po raz pierwszy.

— No, to sprawa chyba załatwiona — powiedział. — Oddziały na Cheros czekają na transport, nasza flotylla płynie na północ, żeby je zabrać, a działą Nawarony nie mogą jej już nic zrobić. Zadowolony pan, kapitanie Mallory?

— To właśnie było naszym celem — przyznał Mallory.

Ryan znów podniósł lornetkę do oczu. Tym razem skoncentrował wzrok na znajdującej się już ledwie w zasięgu jej soczewek gumowej łódce, która zbliżała się do skalistego wybrzeża po zachodniej stronie zatoki Nawarony. Dwie siedzące w niej postacie były już co najwyżej słabo widoczne. Ryan opuścił lornetkę i rzekł w zamyśleniu:

— Pański potężny przyjaciel i jego towarzyszka — nie lubią marnować czasu. Pan... mi ich nie przedstawił, kapitanie.

— Nie miałem okazji. To Maria i Andrea. Andrea jest greckim pułkownikiem, z dziewiętnastej dywizji zmotoryzowanej.

— Andrea był greckim pułkownikiem — sprostował Miller. — moim zdaniem, właśnie przeszedł w stan spoczynku.

— Też tak myślę, spieszyli się, panie komandorze, bo oboje są greckimi patriotami, oboje mieszkają na wyspie i oboje mają wiele do zrobienia na Nawaronie. A poza tym, o ile mi wiadomo, mają do załatwienia pilną i ściśle osobistą sprawę.

— Rozumiem — rzekł Ryan i nie wypytując się dłużej spojrział jeszcze raz na dymiące ruiny twierdzy. — No, to chyba po sprawie. Skończyliście na dzisiaj, panowie?

— Tak sędzę — odparł ze słabym uśmiechem Mallory.

— W takim razie proponuję trochę snu.

— Co za cudowne słowo. — Miller ze znużeniem odepchnął się od ścianki kapitańskiego mostku i stanął chwiejnie, zmęczoną ręką sięgając do zaczerwienionych, bolących oczu. — Obudźcie mnie w Aleksandrii.

— W Aleksandrii? — Ryan spojrział na niego z rozbawieniem. — Dopłyniemy tam za trzydzieści godzin.

— To właśnie miałem na myśli — odparł Miller.

\* \* \*

Miller nie przespał trzydziestu godzin. W rzeczywistości spał raptem nieco

ponad trzydzieści minut, po których obudził się, powoli uświadamiając sobie, że coś go razi w oczy. Pojęczawszy i ponarzekawszy przez jakiś czas niesporo, zdołał odemknąć jedno oko i zobaczył, że to świeci jaskrawa żarówka wpuszczona w szalunek sufitu kabiny, którą przydzielono jemu i Mallory'emu. Wsparł się na chybotającym łokciu, zdołał doprowadzić do stanu używalności drugie oko i bez entuzjazmu przyjrzał się dwóm współpasażerom — siedzący przy stole Mallory bez wątpienia przepisywał właśnie jakąś wiadomość, a komandor Ryan stał w otwartych drzwiach.

— To oburzające! — sarknął gorzko Miller. — Przez całą noc nie zmrużyłem oka.

— Spaliście trzydzieści pięć minut, kapralu — odrzekł Ryan. — Przykro mi. Ale Kair powiedział, że ta depesza do kapitana Mallory'ego jest nadzwyczaj pilna.

— Nadzwyczaj pilna? — spytał podejrzliwie Miller i po chwili się rozpromienił. — Pewnie chodzi o awanse, medale, urlopy i tym podobne. — Spojrzał z nadzieją na Mallory'ego, który właśnie skończył rozszyfrowywać depeszę i wyprostował się. — Tak?

— No, nie. Właściwie to zaczyna się dosyć obiecująco, od najserdeczniejszych gratulacji i czego tam jeszcze, ale ciąg dalszy nie jest już taki przyjemny.

Mallory powtórnie odczytał depeszę, która brzmiała: SYGNAŁ PRZYJĘTY NAJSERDECZNIEJSZE GRATULACJE WSPANIAŁY WYCZYN. DLACZEGO POZWOLILIŚCIE ODPLYNĄĆ ANDREI DURNIE? NATYCHMIAST NAWIĄZAĆ Z NIM KONTAKT. EWAKUACJA PRZED ŚWITEM PO ODWRACAJĄCYM UWAGĘ NALOCIE BOMBOWYM Z PASA NA POŁUDNIOWY WSCHÓD OD MANDRAKOS. PRZESŁAĆ KN Z SIRDARA. PILNE 3 POWTARZAM PILNE 3. POWODZENIA. JENSEN.

Miller wziął depeszę z wyciągniętej ręki Mallory'ego, przysunął ją i odsunął od zmęczonych oczu, by wyraźnie zobaczyć tekst, w przeraźliwej ciszy odczytał wiadomość, oddał ją Mallory'emu i jak długi wyciągnął się na koi.

— O mój Boże! — jęknął i zapadł w stan przypominający wstrząs nerwowy.

— Trafiałeś w sedno — zgodził się z nim Mallory. Ze znużeniem pokręcił głową i zwrócił się do Ryana. — Przykro mi, panie komandorze, ale zmuszeni jesteśmy pana prosić o trzy rzeczy. Gumową łódź, przenośny nadajnik i natychmiastowy powrót do Nawarony. Zechce pan z łaski swojej załatwić, żeby nadajnik ten nastawiono na ustaloną częstotliwość, a pańscy telegrafisci prowadzili stały nasłuch. Kiedy otrzyma pan sygnał KN, niech go pan prześle do Kairu.

— KN? — spytał Ryan.

— Mhmm. tylko to.

— I to wszystko?

— Przydałaby się flaszeczka brandy — powiedział Miller. — Coś, cokolwiek, co pomogłoby nam przetrwać trudy długiej nocy, jaka nas czeka.

Ryan uniósł brew.  
— Z pewnością pięciogwiazdkowej, tak, kapralu?  
— Miałby pan serce ofiarować butelkę trzygwiazdkowej brandy człowiekowi, który idzie na śmierć? — spytał posepnie Miller.

\* \* \*

Los zrządził, że ponure przewidywania Millera co do szybkiej śmierci nie znalazły potwierdzenia, przynajmniej tej nocy. Nawet przewidywane trudy długiej nocy, jaka ich czekała, okazały się tylko drobnymi fizycznymi niedogodnościami.

Nim „Sirdar” zdążył odwieźć ich z powrotem do Nawarony, podpływając do jej skalistych brzegów tak blisko, jak na to pozwalał rozsądek, niebo pociemniało od chmur, rozpadało się, a od południowego zachodu nadciągnęły spiętrzone fale, Mallory i Miller nie byli więc ani trochę zdziwieni, że wiosłując w gumowej łódce ku pobliskiemu brzegowi są mocno zmoczeni i w opłakanym stanie. Jeszcze mniej dziwił fakt, że kiedy dotarli do usianej kamieniami plaży, byli przemoczeni do suchej nitki, gdyż załamana fala cisnęła ich łódeczkę na stromy występ skalny, przewracając gumowy stateczek, a ich samych strącając do morza. Wypadek ten sam w sobie nie miał jednak wielkiego znaczenia — ich peemy, radio i latarki spoczywały bowiem bezpiecznie w nieprzemakalnych workach, a te na szczęście uratowali wszystkie. W sumie, w ocenie Mallory’ego, lądowanie to było niemal idealne w porównaniu z poprzednim, kiedy podpływali łodzią do Nawarony, a ich grecki kaik roztrzaskał się na kawałki o sterczącą pionowo z wody, wyszczerbioną — i przypuszczalnie niedostępną dla wspinaczy, skalną ścianę południowego urwiska wyspy.

Ślizgając się i potykając przy akompaniamencie odpowiednio siarczystych komentarzy, przedostali się przez mokry, gruby żwir i potężne kamienie, aż w końcu drogę zastąpiło im strome zbocze, wznoszące się ku prawie kompletnym ciemnościom w górze. Mallory odpakował cieniutką latarkę i zaczął starannie badać powierzchnię stoku, oświetlając ją wąskim, skupionym promieniem. Miller dotknął jego ręki.

— Trochę ryzykujemy, co? — spytał. — Mówię o latarce.

— Nic nie ryzykujemy — odparł Mallory. — Tej nocy wybrzeża nie będzie pilnował żaden żołnierz. Wszyscy będą gasić pożary w mieście. A poza tym, przed kim jeszcze mieliby się strzec? Ptaszki to my, a ptaszki zrobiły swoje i odfrunęły. Tylko wariat wracałby po tym na tę wyspę.

— Dobrze wiem, kim jesteśmy. Nie musi mi pan tego mówić — rzekł z przejęciem Miller. Mallory uśmiechnął się do siebie w ciemnościach i dalej badał zbocze. W ciągu minuty znalazł to, na co liczył — zakrzywiony żleb w skale. Wraz z Millerem wdrapał się łożyskiem usianej łupkiem i kamieniami skalnej rozpadliny

tak szybko, jak tylko pozwalały na to zdradliwe występy i punkty oparcia, na których mogli oprzeć nogi, po kwadransie dotarli na płaskowyż i zatrzymali się, żeby odetchnąć. Miller dyskretnym ruchem sięgnął głęboko za pazuchę bluzy mundurowej, a zaraz potem rozległ się dyskretny bulgot.

— Co robisz? — spytał Mallory.

— Zdaje się, że usłyszałem szczekanie własnych zębów. No, bo co oznacza to „pilne trzy, powtarzam pilne trzy” w depeszy?

Nigdy przedtem tego nie widziałem. Ale wiem, co oznacza. Że gdzieś jakichś ludzi czeka śmierć.

— Na początek mógłbym wymienić takich dwu. A co będzie, jeżeli Andrea nie poleci? Nie należy do naszego wojska. Nie musi lecieć. No, a poza tym oświadczył, że z miejsca bierze ślub.

— Poleci — zapewnił z przekonaniem Mallory.

— Skąd pan jest taki pewien?

— Bo Andrea to jedyny odpowiedzialny człowiek, jakiego znam. Ma podwójne, ogromne poczucie obowiązku — wobec samego siebie i wobec innych. Właśnie dlatego wrócił na Nawaronę — ponieważ wiedział, że jest potrzebny mieszkańcom wyspy. I z tego samego powodu opuści Nawaronę, bo kiedy zobaczy szyfr „pilne trzy”, dowie się, że ktoś, gdzie indziej, potrzebuje go jeszcze bardziej.

Miller odebrał Mallory'emu butelkę z brandy i wetknął ją z powrotem bezpiecznie za pazuchę.

— No cóż, jedno panu powiem. Przyszła pani Stavros nie będzie tym zachwycona — powiedział.

— Andrea Stavros również, więc nie za bardzo pali mi się przekazać mu wieści — odparł szczerze Mallory. Zerknął na swój fosforyzujący zegarek i pode-rwał się na nogi. — Do Mandrakos mamy pół godziny marszu.

\* \* \*

Dokładnie w trzydzieści minut potem Mallory i Miller, ze zwieszającymi się im aż do bioder schmeisserami, które wyjęli z nieprzemakalnych worków, przemieszczali się szybko, ale bardzo cicho, z cienia w cień przez plantację drzew chlebowych na skraju wioski Mandrakos. Nagle na wprost siebie usłyszeli charakterystyczny brzęk, jaki wydają szklanki w zderzeniu z szyjkami butelek.

Dla nich dwu takie niebezpieczne sytuacje były czymś tak powszednim, że nie wartym wymiany spojrzeń. Opadli cicho na czworaki i poczołgali się dalej, a gdy się posuwali, Miller z uznaniem wietrzył nosem, bo grecki żywiczny trunek ouzo ma nadzwyczajną zdolność rozchodzenia się w powietrzu na znaczną odległość dookoła. Mallory z Millerem dotarli na skraj kępy krzaków, przywarli płasko do ziemi i spojrzeli przed siebie.

Sądząc po zdobnych w liczne pętelki i guziki kamizelkach, szerokich szarfach i fantazyjnych nakryciach głowy, dwaj osobnicy, oparci o pień platana rosnącego na polanie, byli bez wątplenia mieszkańcami wyspy, a sądząc po trzymanyh na kolanach strzelbach, pełnili poniekąd rolę strażników, natomiast prawie pionowa pozycja butelki z ouzo, którą przechylali do ust, by wytrząsnąć z niej resztkę zawartości, wskazywała z równą oczywistością, iż do swoich obowiązków nie podchodzą zbyt poważnie, i to od dłuższego czasu.

Mallory i Miller wycofali się już nie tak ukradkowo jak nadeszli, wstali i spojrzeli jeden na drugiego. Widać brakło im stosownego komentarza. Mallory wzruszył ramionami i odszedł w prawo, zataczając koło. Jeszcze dwukrotnie, kiedy przemykali ku centrum wioski Mandrakos, przebiegając od cienia jednego gaju drzew chlebowych do drugiego, od cienia platana do platana, od cienia domu do domu, spotkali, ale też łatwo uniknęli, innych pozornych strażników, jak jeden mąż bardzo swobodnie pojmujących swoje obowiązki. Miller wciągnął Mallory'ego w drzwi jakiegoś domu.

— A z jakiej to okazji świętują nasi przyjaciele? — spytał.

— A ty byś robił co innego? To znaczy, nie świętował? Niemcom już nic po Nawaronie. Minie tydzień i się stąd wyniosą.

— No dobrze. To dlaczego wystawili strażę? — Miller skinął głową w kierunku małej pobielonej cerkiewki, stojącej pośrodku wiejskiego placu. Ze środka dobiegał stłumiony szmer głosów. Wylewało się też z niej przez bardzo niedokładnie zaciemnione okna wiele światła. — Czy to ma coś wspólnego z tym?

— Cóż, bardzo łatwo możemy się tego dowiedzieć — odparł Mallory.

Ruszyli cicho dalej, wykorzystując każdą dostępną osłonę i każdy cień, aż dotarli do jeszcze głębszego cienia, rzucanego przez dwie łukowe przypory, podtrzymujące mur wiekowej cerkwi. Pomędzy owymi przyporami znajdowało się jedno z kilku zaciemnionych z większym powodzeniem okien, spod którego przesączała się na zewnątrz jedynie cieniutka smużka światła. Dwaj mężczyźni schyliłi się i zajrzeli przez wąską szparę.

Cerkiew w środku sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wiekowej niż z zewnątrz. Wysokie, nie malowane, wyciosane przed wieloma wiekami ławy z dębu były pociemniałe i wygładzone przez niezliczone pokolenia wiernych, a samo drewno popękane i nadgryzione zębem czasu. Pobielone ściany wręcz dopraszały się podparcia tak z zewnątrz, jak od wewnątrz, chyląc się ku upadkowi, który na pewno był już niedaleki, no a dach prezentował się tak, jakby w każdej chwili miał runąć.

Szum głosów mieszkańców wyspy — obu płci i niemal wszystkich generacji, wielu w odświętnych szatach — którzy zajmowali niemal wszystkie dostępne miejsca siedzące w cerkwi, jeszcze się nasilił. Wnętrze oświetlone było dosłownie setkami kapiących świec — wielu starodawnych, plecionych, ozdobnych, wydoby-



tych bez wątpienia na tę specjalną okazję — które stały wzdłuż ścian, środkowej nawy i ołtarza, przy samym ołtarzu zaś czekał niewzruszenie pop, brodaty patriarcha w liturgicznych prawosławnych szatach.

Mallory i Miller wymienili pytające spojrzenia i już mieli się wyprostować, kiedy za ich plecami rozległ się czyjś niski i bardzo spokojny głos.

— Ręce na kark — polecił miłym tonem. — Wstańcie bardzo wolno. W rękę mam pistolet maszynowy.

Wolno i ostrożnie, tak jak zażądano, Mallory i Miller wypełnili polecenie właściciela głosu.

— Odwrócić się. Ale ostrożnie.

Odwrócili się więc — ostrożnie. Mallory przyjrzał się potężnej ciemnej postaci, która zgodnie z zapowiedzią rzeczywiście trzymała w rękę pistolet maszynowy, i spytał gniewnie:

— Czy zechciałbyś, z łaski swojej, skierować to draństwo w inną stronę?

Ciemna postać wydała okrzyk zdziwienia, opuściła broń do boku, pochyliła się i na jej pobrużdżonej twarzy mignęło przelotne zaskoczenie. Andrea Stavros nie miał we zwyczaju okazywać po sobie bez potrzeby uczuć i natychmiast odzyskał zwykły spokój.

— To przez te niemieckie mundury — wyjaśnił przepaszająco. — One mnie zmyliły.

— Ty też byłbyś mnie zmylił — powiedział Miller. Z niedowierzaniem przyjrzał się strojowi Andrei — niewiarygodnie obszernym bufiastym spodniom, czarnym butom z cholewkami, wymyślnie wzorzystej kamizelce i wściekle fioletowej szarfie w pasie — wzdrygnął się i zamknął udęczone oczy. — Odwiedziłeś lombard w Mandrakos? — spytał.

— To uroczysty strój moich przodków — odrzekł spokojnie Andrea. — A wy dwaj wypadliście za burtę?

— Nieumyślnie — odparł Mallory. — Wróciliśmy zobaczyć się z tobą.

— Mogliście wybrać na to odpowiedniejszą porę. — Andrea zawahał się i spojrzął na mały oświetlony budynek po drugiej stronie ulicy. — Możemy pogadać tam.

Wprowadził ich do środka i zamknął drzwi. Sądząc po ławkach i spartańskim umeblowaniu, pomieszczenie to z pewnością służyło jako miejsce zgromadzeń miejscowej społeczności, było wioskową salą zebrań. Oświetlały ją trzy dość mocno kopące lampy olejowe, których światło nad wyraz powabnie odbijało się od dziesiątków butelek z gorzałką, winem, piwem i od szklanek, które zajmowały niemal każdy wolny cal powierzchni dwóch długich stołów na krzyżakach. Tak bałaganiarskie i kłójące się z estetyką ustawienie odświeżających trunków świadczyło o mocno zaimprovizowanych i pośpiesznych przygotowaniach do uroczystości, a zwarte szeregi flaszek zdradzały zamiar wynagrodzenia przesadną ilością

braków jakościowych.

Andrea podszedł do bliższego stołu, wziął trzy szklanki, butelkę ouzo i zaczął nalewać trunk. Miller wyłowił z bluzy brandy i wyciągnął ją w stronę Greka, ale ten przeoczył ów gest, nazbyt pochłonięty nalewaniem. Wręczył im szklanki z ouzo.

— Na zdrowie — powiedział, opróżnił szklankę i dodał w zamyśleniu: — Nie wróciłeś tu bez ważnego powodu, drogi Keithie.

Mallory bez słowa wyjął z impregnowanego portfela depeszę z Kairu i podał Andrei, który wziął ją z pewnym ociąganiem, przeczytał i mocno się zachmurzył.

— Czy „pilne trzy” znaczy to, co myślę? — spytał.

Mallory znów nie odezwał się słowem, a tylko potwierdził skinieniem głowy, bacznie obserwując przyjaciela.

— Bardzo mi to nie na rękę. — Andrea spochmurniał jeszcze bardziej. — Bardzo nie na rękę! Mam na Nawaronie wiele do zrobienia. Miejscowym ludziom będzie mnie brakować.

— Mnie też to nie jest na rękę — odezwał się Miller. — Miałbym wiele do zrobienia na londyńskim West Endzie. Im tam też mnie brakuje. Spytaj której bądź barmanki. Ale przecież nie o to chodzi.

Andrea zmierzył go groźnym wzrokiem w martwej ciszy, a potem spojrzał na Mallory'ego.

— Nic nie mówisz — powiedział.

— Bo nie mam nic do powiedzenia.

Andrea z wolna rozchmurzył twarz, choć czoło miał nadal zmarszczone. Zawahał się przez chwilę, po czym znów sięgnął po butelkę ouzo. Miller lekko się wzdrygnął.

— Proszę bardzo — rzekł, wskazując butelkę z brandy.

Andrea po raz pierwszy uśmiechnął się krótko, nalał pięciogwiazdkowego napitku Millera do szklanek, jeszcze raz odczytał depeszę i zwrócił ją Mallory'emu.

— Muszę to sobie przemyśleć — powiedział. — Mam najpierw do załatwienia pewną sprawę.

— Sprawę? — spytał Mallory, spoglądając na niego z z troskaniem.

— Mam do załatwienia ślub.

— Ślub? — spytał grzecznie Miller.

— Czy musicie powtarzać wszystko, co powiem? Ślub.

— A na pewno wiesz czy? — spytał Miller. — I to na dodatek tak późno w nocy.

— Dla niektórych na Nawaronie bezpieczna jest tylko noc — odparł cierpko Andrea. Obrócił się raptownie, odszedł, otworzył drzwi i przystanął niezdecydowanie.

— A kto się żeni? — spytał z zaciekawieniem Mallory.

Andrea nie odpowiedział. Zamiast tego wrócił do najbliższego stołu, nalał sobie pół szklanki brandy, wypił ją, przeczesał dłonią gęste ciemne włosy, poprawił szarfę w pasie, wyprostował ramiona i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Mallory i Miller wpatrzyli się w niego, potem w drzwi, które zamknęły się za nim, a wreszcie wymienili spojrzenia.

\* \* \*

W jakiś kwadrans potem nadal wymieniali spojrzenia, tym razem mając miny na przemian to zwyczajnie rozbawione, to lekko oszołomione.

Siedzieli na tylnych ławkach w greckiej cerkwi prawosławnej, okupując jedyne wolne miejsca nie zajęte przez mieszkańców wyspy. Do ołtarza było stamtąd co najmniej dwadzieścia metrów, ale ponieważ obaj byli wysocy i siedzieli w nawie głównej, doskonale widzieli, co się przy nim dzieje.

Prawdę mówiąc w tej chwili już nic się tam nie działo. Ceremonia zakończyła się. Pop uroczyście pobłogosławił Andreę i Marię, dziewczynę, która wprowadziła ich do twierdzy Nawarony, wolno i dostojnie, jak przystało na tę uroczystość, obrócił się i ruszył nawą. Andrea z troską i czułością, widocznymi tak w jego minie, jak zachowaniu, nachylił się i szepnął coś do ucha oblubienicy, ale jego słowa miały, zdaje się, niewiele wspólnego z tonem, jakim je wypowiedział, bo pomiędzy małżonkami pośrodku nawy rozpętała się gwałtowna sprzeczka. „Pomiędzy” jest być może nietrafnym określeniem, była to bowiem nie tyle sprzeczka, co bardzo jednostronny monolog. Maria, z pokraśniałą twarzą i ciemnymi oczami miotającymi błyskawice, rozgestykulowana i wyraźnie rozwścieczona, zwracała się do Andrei bynajmniej nie cichym głosem, dając upust niczym nie powstrzymywanej złości. Andrea zaś ze swej strony, błagalny i zgodliwy, starał się ją uciszyć z takim mniej więcej powodzeniem, co Kanut przy powstrzymywaniu fal przyływu, i rozglądał się trwożliwie dookoła. Reakcje siedzących w ławkach gości były różne — od niedowierzania po rozdziawione ze zdziwienia usta, od zakłopotania po kompletne przerażenie — lecz dla wszystkich widowisko to było z pewnością wyjątkowo niezwykłym następstwem ceremonii ślubnej. Kiedy młoda para zbliżała się do końca nawy na wprost ławy, którą zajmowali Mallory z Millerem, kłótnia, jeśli tak można było nazwać owo wydarzenie, rozgorzała z jeszcze większą furią. Kiedy państwo młodzi mijali skraj ławy, Andrea, osłaniając dłonią usta, nachylił się ku Mallory’emu.

— To nasza pierwsza sprzeczka małżeńska — wyjaśnił półgłosem.

Nie miał czasu powiedzieć nic więcej. Władcza ręka żony pociągnęła go za ramię i niemal dosłownie przewlokła przez drzwi. Nawet kiedy nowożeńcy zniknęli już z oczu patrzącym, donośny i wyraźny głos Marii nadal docierał do uszu

wszystkich w cerkwi. Miller, który odwrócił wzrok od pustych drzwi, spojrzał w zamyśleniu na Mallory'ego.

— Bardzo ognista dziewczyna — rzekł. — Szkoda, że nie znam greckiego. Co mówiła?

— Mallory zadbał, by zachować kamienną twarz.

— „Co z moim miodowym miesiącem?” — odparł.

— Aha! — mruknął Miller z równie pokerową miną. — Czy nie powinniśmy za nimi pójść?

— Po co?

— Andrea na ogół nie ma sobie równych — rzekł Miller, jak zwykle mistrzowsko posługując się niedopowiedzeniem. — Ale tym razem trafiła kosa na kamień.

Mallory uśmiechnął się, wstał i poszedł do drzwi, Miller za nim, a za Millerem gwarna cizba weselnych gości, ze zrozumiałych względów pragnących zobaczyć drugi akt tej nieplanowanej komedii. Na placu nie było jednak żywej duszy.

Mallory nie zawahał się ani chwili. Wiedziony instynktem zrodzonym z długiej współpracy z Andrea, skierował się przez plac do sali zgromadzeń, w której Andrea obwieścił mu wcześniej swoje dwie dramatyczne nowiny. Wycucie go nie zawiodło. Kiedy wraz z Millerem wszedł do środka, Grek podniósł na nich wzrok, trzymając w ręku dużą szklankę z brandy i z ponurą miną rozcierając powiększającą się czerwoną plamę na policzku.

— Odeszła do matki — oznajmił markotnie.

Miller spojrzał na zegarek.

— Po minucie i dwudziestu sekundach — rzekł z podziwem. — Toż to rekord świata!

Andrea spiorunował go spojrzeniem, więc Mallory odezwał się pośpiesznie:

— A więc jedziesz.

— Jasne, że jadę — odparł gniewnie Andrea. Bez zapału przesunął wzrokiem po weselnych gościach, którzy tłumnie wpadli do sali zgromadzeń, i nie krępijąc się, niczym wielbłądy ku oazie popędzili do zastawionych flaszki stołów. — Ktoś musi się wami dwoma opiekować.

Mallory spojrzał na zegarek.

— Do przylotu tego samolotu pozostało trzy i pół godziny. Padamy z nóg, Andrea. Gdzie możemy się przespać? W jakimś bezpiecznym miejscu. Twoi strażnicy są pijani.

— Piją od chwili, kiedy forteca wyleciała w powietrze — odparł Andrea. — Chodźcie, zaprowadzę was.

Miller rozejrzał się po mieszkańcach wyspy, którzy pośród głośnego rozgwaru zajęli się już wyłącznie butelkami i szklankami.

— A co z twoimi gośćmi? — spytał.

— A co ma z nimi być? — Andrea ponuro powiódł wzrokiem po swoich ziomkach. — Spójrz tylko na to towarzystwo. Widziałeś kiedyś wesele, gdziekolwiek zwracałby najmniejszą uwagę na nowożeńców? Chodźmy.

Ruszyli na południe i po minięciu opłotków wioski wyszli na pola. Dwukrotnie zatrzymywali ich strażnicy i dwukrotnie marsowa mina i warknięcie Andrei odsyłały ich czym prędzej z powrotem do butelek z ouzo. W dalszym ciągu lało, ale Mallory i Miller mieli już tak przemoczone ubrania, że trochę deszczu więcej nie mogło w żadnej mierze odmienić im humoru, Andrea zaś, jeśli już o to chodzi, zwracał nań jeszcze mniej uwagi niż oni. Sprawiał wrażenie, jakby miał ważniejsze sprawy na głowie.

Po kwadransie marszu zatrzymał się przed wrotami małej, przydrożnej, wałującej się i na pewno opuszczonej stodoły.

— W środku jest siano — powiedział. — Tu nic nam nie grozi.

— Doskonale — rzekł Mallory. — Przekażemy na „Sirdara” wiadomość, żeby przesłali do Kairu sygnał KN i...

— KN? — spytał Andrea. — A co to jest?

— Sygnał zawiadamiający Kair, że skontaktowaliśmy się z tobą i czekamy na zabranie... No a potem, trzy przyjemne godziny snu.

— Rzeczywiście trzy godziny — potwierdził ze skinieniem głowy Andrea.

— Trzy długie godziny! — podkreślił w zamyśleniu Mallory.

Andrea klepnął go w ramię i na jego niekształnym obliczu z wolna pojawił się uśmiech.

— W ciągu trzech godzin ktoś taki jak ja może bardzo wiele zdziałać! — rzekł.

Odwrócił się i pośpieszył przez deszczową noc. Mallory i Miller z nieprzeniknionymi minami odprowadzili go wzrokiem, spojrzeli na siebie, a potem pchnęli wrota stodoły.

\* \* \*

Żaden zarząd lotnictwa cywilnego na świecie nie udzieliłby licencji lotnisku pod Mandrakos. Miało ono nieco ponad pół mili długości, a po obu stronach pasa startowego wznosiły się strome wzgórza, jego szerokość nie przekraczała czterdziestu jardów, a obfitość najrozmaitszych wybojów i dziur na dobrą sprawę gwarantowała rozbite podwozia każdej latającej maszyny. Jednakże RAF już z niego korzystał, niewykluczone więc było, że zdoła to zrobić przynajmniej jeszcze jeden raz.

Na południe przy pasie startowym rósł rząd drzew chlebowych. Pod nędzną osłoną jednego z nich siedzieli czekając Mallory, Miller i Andrea. A przynajmniej siedzieli pierwsi dwaj, skuleni i zdeprimowani, dygocząc mocno w nadal przemo-

czonych ubraniach. Andrea wszakże wyciągnął się wygodnie na ziemi, nie przejmując się wcale ciężkimi kroplami deszczu, spadającymi na zwróconą w stronę nieba twarz. Biło z niego zadowolenie, niemal błogostan, gdy wpatrywał się w pierwsze szarości świtu wylaniające się po wschodniej stronie nieba ponad ciemną ścianą masywu górskiego na tureckim brzegu.

— Nadlatują — odezwał się.

Mallory i Miller nasłuchiwali przez kilka chwil, a potem także oni usłyszeli — odległy, stłumiony huk nadlatujących ciężkich samolotów. Cała trójka wstała i podeszła do skraju pasa startowego. Nie upłynęła minuta, a wprost nad ich głowami, raptownie obniżając lot po wzbiciu się nad górami na południu, przeleciała na wysokości trzech kilometrów eskadra osiemnastu wellingtonów, tyleż słyszalna, co widoczna w świetle wczesnego brzasku, i skierowała się na miasto Nawaronę. W dwie minuty potem trzech patrzących usłyszało wybuchy i zobaczyło jaskrawo pomarańczowe rozbłyski światła, kiedy wellingtony zrzuciły bomby na zburzoną twierdzę na północy wyspy. Kreski z rzadka zlatujących w niebo pocisków, wystrzeliwanych niewątpliwie tylko z broni ręcznej, świadczyły dowodnie o nieskuteczności i słabości obrony naziemnej. Kiedy forteca wyleciała w powietrze, to samo spotkało wszystkie baterie przeciwlotnicze w mieście. Atak był krótki i zaciekle — w zaledwie dwie minuty od rozpoczęcia bombardowanie skończyło się tak raptownie, jak zaczęło, i pozostał jedynie słabnący, cichnący nierówny huk silników oddalających się wellingtonów, który wpierw dochodził z północy, a potem od zachodu, biegnąc nad wciąż jeszcze spowitymi mrokiem wodami Morza Egejskiego.

Przez jeszcze może minutę trzej patrzący stali w milczeniu na skraju pasa startowego w Mandrakos a potem Miller z niedowierzaniem spytał:

— Dlaczego jesteście aż tacy ważni?

— Nie wiem — odparł Mallory. — Ale wątpię, czy ucieszysz się, jak się dowiesz.

— A dowiesz się już niedługo. — Andrea obrócił się i spojrzał w stronę gór. — Słyszycie?

Żaden z nich nie usłyszał, ale nie mieli wątpliwości, że naprawdę jest czego słuchać. Słuch Andrei dorównywał jego fenomenalnie ostremu wzrokowi. Po chwili jednak także oni nagle usłyszeli ten dźwięk. Pojedynczy bombowiec, również wellington, zbliżając się nadleciał z południa, okrążył lądowisko, a kiedy Mallory zamrugał w niebo latarką, błyskając nią szybko raz za razem, ustawił się do lądowania, siadł ciężko na drugim końcu pasa i pokołował ku nim mocno podskakując na paskudnej nawierzchni. Znieruchomiał nie całe sto jardów od miejsca, gdzie stali, a potem z kabiny pilotów zamrugało światło.

— Aha, tylko nie zapomnijcie — odezwał się Andrea. — Przyrzekłem, że za tydzień wrócę.

— Nigdy nie składaj obietnic — powiedział surowo Miller. — A co będzie, jeżeli nie wrócimy za tydzień? A co będzie, jeżeli wyślą nas na Pacyfik?

— Wtedy po naszym powrocie wyślę cię przodem, żebyś mnie wytłumaczył. Miller pokręcił głową.

— To bardzo kiepski pomysł — odparł.

— O twoim tchórzostwie porozmawiamy później — powiedział Mallory. — Chodźcie. Szybko.

We trójkę puścili się biegiem do czekającego wellingtona.

Wellington już od pół godziny leciał do miejsca przeznaczenia, gdziekolwiek się ono znajdowało, a Miller i Andrea z kubkami kawy w dłoniach starali się bez powodzenia umieścić jakoś wygodniej na nierównych siennikach rozłożonych na podłodze w kadłubie bombowca, kiedy z kabiny powrócił Mallory. Zrezygnowany Miller podniósł na niego zmęczone oczy, z miną świadczącą o całkowitym braku entuzjazmu i ducha przygody.

— No, i czego się pan dowiedział? — Z tonu jego głosu aż nadto jasno wynikało, iż spodziewa się, że Mallory dowiedział się samego najgorszego. — Dokąd teraz? Na Rodos? Do Bejrutu? Do kairskich luksusów?

— Pilot mówi, że do Termoli.

— Do Termoli? Zawsze chciałem je zobaczyć. — Miller zamilkł. — A gdzież, do diabła, jest to Termoli?

— O ile wiem, to we Włoszech. Gdzieś nad południowym Adriatykiem.

— Tylko nie to! — jęknął Miller, przekręcił się na bok i naciągnął koc na głowę. — Nie cierpię spaghetti!

## II. Czwartek, godz. 14:00-23:30

Lądowanie na lotnisku w Termoli, nad Adriatykiem w południowych Włoszech, było co do joty tak pełne wstrząsów, jak pełen podskoków odlot z pasa startowego w Mandrakos. Bazę myśliwców w Termoli zaliczono oficjalnie i optymistycznie do nowo wybudowanych, w rzeczywistości wykończono ją jedynie w połowie, co znalazło potwierdzenie na każdym jardzie dokuczliwego przyziemienia i na wyboistym dojeździe do zbudowanej z prefabrykatów wieży kontrolnej na wschodnim krańcu lotniska. Kiedy Mallory i Andrea wysiedli na twardą ziemię, żaden z nich nie wyglądał na uszczęśliwionego, a znany powszechnie ze swojej niemal patologicznej niechęci i odrazy do wszelkich środków transportu Miller, który wysiadł jako ostatni, sprawiał wrażenie zaiste bardzo chorego.

Nie dano mu jednak czasu na szukanie i znalezienie współczucia. Do samolotu podjechał zamaskowany jeep angielskiej 5 Armii, a prowadzący go sierżant, szybko ustalwszy ich tożsamość, w milczeniu dał im znak, żeby wsiedli, po czym milcząc cały czas jak głaz powiózł ich przez zrujnowane w czasie wojny ulice Termoli. Mallory nie przejął się tym oczywistym brakiem życzliwości. Kierowca z pewnością dostał ściśle polecenie, by z nimi nie rozmawiać, z czym Mallory stykał się w przeszłości aż za często. Przyszło mu na myśl, że grup nietykalnych jest niewiele, a wiedział, że jego grupa do nich należy — nikomu, poza kilkoma nielicznymi wyjątkami, nie wolno było z nimi rozmawiać. Postępowanie to było, jak wiedział, ze wszechmiar zrozumiałe i usprawiedliwione, lecz z biegiem lat stawało się coraz uciążliwsze. Prowadziło poniekąd do utraty styczności z bliźnimi.

Po dwudziestu minutach jazdy, jeep zatrzymał się przed szerokimi kamiennymi stopniami domu na przedmieściu. Kierowca dał krótki znak ręką uzbrojonemu wartownikowi na szczycie schodów, na co ten odpowiedział mu równie oszczędnym pozdrowieniem. Mallory wziął to za oznakę, iż dojechali do celu, i nie chcąc pogwałcić ślubów milczenia złożonych przez młodego sierżanta wysiadł bez polecenia. Pozostali wysiedli za nim i jeep natychmiast odjechał.

Dom — wyglądający raczej na skromny pałac — był wspaniałym przykładem późnorenesansowej architektury, pełnym arkad, kolumn, wyłożonym żyłkowanym marmurem, ale Mallory'ego bardziej ciekawiło co jest w środku, niż to, z czego zbudowano jego mury. Na szczycie schodów drogę zastąpił im młody wartownik w stopniu kaprała, uzbrojony w peem lee-enfield kalibru 0,303. Wyglądał na licealistę, który uciekł ze szkoły.

— Nazwiska, proszę — zażądał.

— Kapitan Mallory.

— Dokumenty? Książeczki żołdu?

— O mój Boże — jęknął Miller. — A ja jestem na dodatek taki chory!

— Nie mamy — odparł grzecznie Mallory. — Proszę nas wprowadzić do



środku.

— Mam polecenie...

— Wiem, wiem — rzekł uspokajająco Andrea. Pochylił się, bez wysiłku wyjął karabin z kurczowo zaciśniętych dłoni kaprała, wyciągnął i schował do kieszeni magazynek, po czym zwrócił broń żołnierzowi. — A teraz zechciej nas wprowadzić.

Zaczerwieniony i wściekły młodzik zawahał się przez chwilę, przyjrzał się trzem przyjezdnym dokładniej, odwrócił się, otworzył drzwi za swoimi plecami i dał znak całej trójce, żeby poszła za nim.

Przed nimi rozpostarł się długi korytarz z marmurową posadzką, wysokimi oknami w ołowianych ramkach po jednej stronie oraz ciężkimi olejnymi obrazami i nielicznymi, obitymi skórą podwójnymi drzwiami po drugiej. W połowie korytarza Andrea stuknął kaprała w ramię i bez słowa oddał mu magazynek. Kaprał wziął go z niepewnym uśmiechem i bez słowa włożył do karabinu. Po następnych dwudziestu krokach zatrzymał się przed ostatnimi obitymi skórą drzwiami, zapukał, usłyszał stłumione przyzwolenie, otworzył drzwi pchnięciem i stanął z boku, przepuszczając trójkę mężczyzn. Potem zaś wyszedł z pokoju i zamknął je za sobą.

Był to z pewnością główny salon w tym domu — czy też pałacu — urządzone z niemal średniowiecznym przepychem: meble wykonano z ciemnego dębu, zasłony z ciężkiego jedwabnego brokatu, obicia ze skóry, książki miały skórzane oprawy, na ścianach wisiały dzieła dawnych niewątpliwie mistrzów, a od ściany do ściany rozciągał się niczym falujące morze matowo brązowy dywan. W sumie, nawet przedwojenny włoski arystokrata nie miałby powodu kręcić na to nosem.

W pokoju unosił się przyjemnie wonny zapach palonej sosny, którego źródło nie trudno było umiejscowić — na wielkim, trzaskającym ogniem kominka dałoby się upiec zaiste bardzo dużego osła. Na opodal kominka stało trzech młodych mężczyzn, w niczym nie przypominających dość nieudolnego młodzika, który przed momentem próbował przeszkodzić w wejściu Mallory'emu i towarzyszącej mu. Przed wszystkim byli kilka dobrych lat starsi od niego, choć wciąż jeszcze młodzi. Mocno zbudowani i barczyści wyglądali na twardych i nieustępliwych ludzi, którzy znają się na rzeczy. Ubrani byli w mundury elitarnych oddziałów bojowych — komandosów piechoty morskiej, a czuli się w nich bardzo swojsko.

Uwagę Mallory'ego i dwóch jego kolegów zwróciła jednak i przykuła nie wspinała jałowa dekadencja tego pomieszczenia i mebli, ani też całkowicie niespodziewana obecność trzech komandosów, lecz czwarta postać w salonie — wysoki, mocno zbudowany i władczy mężczyzna, wsparty niedbale o stół pośrodku salonu. Głęboko pobrużdżona twarz, apodyktyczna mina, okazała siwa broda i przenikliwe niebieskie oczy składały się na wzorcowy obraz angielskiego komandora marynarki, którym, jak na to wskazywał jego nieskazitelny biały mundur, w rzeczy samej był. Z zamarłymi pospołu sercami Mallory, Andrea i Miller wpatrzyli

się po raz kolejny — z wyraźnym brakiem entuzjazmu — w okazałą piracką postać komandora Jensena z Królewskiej Marynarki, szefa alianckiego wywiadu na Morzu Śródziemnym, człowieka, który tak niedawno wysłał ich z samobójczą misją na wyspę Nawaronę. Wszyscy trzej wymienili spojrzenia i z tępą rozpaczą potrząsnęli głowami.

Komandor Jensen wyprostował się, odsłonił w tygrysim uśmiechu wspaniałe zęby i z wyciągniętą ręką wielkimi krokami ruszył, żeby ich powitać.

— Mallory! Andrea! Miller! — zawołał, oddzielając ich nazwiska dramatycznymi pięciosekundowymi pauzami. — Brak mi słów! Wspaniała robota, wspaniała... — Zamilkł i przyjrzał się im w zamyśleniu. — Widzę... hmm... że nie jest pan zaskoczony moim widokiem, kapitanie Mallory?

— Nie jestem. Z całym szacunkiem, panie komandorze, ale kiedy gdzieś szykuje się jakaś paskudna robota, to szuka się...

— Tak, tak, tak. Właśnie, właśnie. A jak tam się wszyscy czujecie?

— Zmęczeni — oświadczył stanowczo Miller. — Strasznie zmęczeni. Musimy dostać urlop. A przynajmniej ja.

— I to właśnie dostaniesz, chłopcze — rzekł z powagą Jensen. — Urlop. Długi. Bardzo długi urlop.

— Bardzo długi urlop? — spytał Miller, patrząc na komandora ze szczerym niedowierzaniem.

— Masz na to moje słowo. — Jensen w krótkiej chwili słabości pogładził brodę. — To znaczy, jak tylko powrócicie z Jugosławii.

— Z Jugosławii?! — Miller wybałuszył oczy.

— Wylądujecie tam dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem?!

— Na spadochronach.

— Na spadochronach?!!!

— Jestem świadom, kapralu Miller, że otrzymaliście klasyczne wykształcenie, a co więcej, że właśnie powróciliście z greckich wysp — rzekł wyrozumiale Jensen. — Ale darujcie sobie, z łaski swojej, to naśladowanie antycznego greckiego chóru.

Miller spojrział ponuro na Andreę.

— Twój miesiąc miodowy diabli wzięli — powiedział.

— A to co ma znaczyć? — spytał ostrym tonem Jensen.

— Tak tylko żartujemy między sobą, panie komandorze.

— Zapomina pan, że żaden z nas jeszcze nigdy nie skakał ze spadochronem — zaprotestował bez przekonania Mallory.

— O niczym nie zapominam. Wszystko ma swój pierwszy raz. Co wiecie o wojnie w Jugosławii?

— Jakiej wojnie? — spytał ostrożnie Andrea.

— Właśnie o niej — rzekł Jensen, a w jego głosie zabrzmiało zadowolenie.

— Ja o niej słyszałem — zgłosił się z odpowiedzią Miller. — Działa tam w podziemiu grupa, jak im tam — partyzantów, prawda? — którzy stawiają pewien opór niemieckim oddziałom okupacyjnym.

— Prawdopodobnie macie szczęście, że ci partyzanci was nie słyszą, kapralu — odparł z powagą Jensen. — Wcale nie działają w podziemiu, ale jak najbardziej na powierzchni ziemi, a według ostatnich szacunków trzysta pięćdziesiąt tysięcy partyzantów wiąże w Jugosławii dwadzieścia osiem dywizji niemieckich i bułgarskich. — Zamilkł na krótko. — Czyli więcej niż wiążą ich tu, we Włoszech, połączone armie alianckie.

— Ktoś powinien był mnie uprzedzić — poskarżył się Miller i po chwili się rozpozodził. — Skoro jest ich tam trzysta pięćdziesiąt tysięcy, to po co im my?

— Musicie nauczyć się hamować swój entuzjizm, kapralu — odrzekł cierpko Jensen. — Wojaczkę możecie zostawić partyzantom, a prowadzą oni w tej chwili najokrutniejszą, najbardziej zacięłą i brutalną walkę w Europie. Walkę obustronnie bezwzględną i nie przebierając w środkach, bez żadnego pardonu. Partyzantom rozpaczliwie brakuje wszystkiego — broni, amunicji, żywności, odzieży. A mimo to trzymają w szachu te dwadzieścia osiem dywizji.

— Nie chcę sobie zostawiać niczego — mruknął Miller.

— Czego oczekuje pan od nas, panie komandorze? — spytał pośpiesznie Mallory.

— Następującej rzeczy. — Jensen zdjął lodowate spojrzenie z Millera. — Na razie nikt jeszcze tego nie docenia, ale Jugosłowianie to nasi najważniejsi sprzymierzeńcy w Europie Południowej. Ich wojna to nasza wojna. A prowadzą walkę, której nie mają szans wygrać. Chyba że...

— Dostaną środki, aby w niej zwyciężyć — dopowiedział ze skinieniem głowy Mallory.

— Mało oryginalne, ale prawdziwe. Środki, aby w niej zwyciężyć. W tej chwili tylko my zaopatrujemy ich w karabiny, pistolety maszynowe, amunicję, ubrania i medykamenty. Te zaś nie docierają do celu. — Jensen zamilkł, wziął trzcinkę, prawie gniewnym krokiem przemierzył pokój podchodząc do dużej mapy ściennej wiszącej pomiędzy obrazami dawnych mistrzów i stuknął w nią koniuszkiem bambusa. — Oto Bośnia i Hercegowina, panowie. W środkowo-zachodniej Jugosławii. W przeciągu zeszłych dwóch miesięcy wysłaliśmy tam cztery brytyjskie misje wojskowe, żeby nawiązały kontakt z Jugosłowianami — Jugosłowiańskimi partyzantami. Dowódcy wszystkich czterech misji zniknęli bez śladu. Dziewięćdziesiąt procent naszych najświeższych zrzutów wpadło w ręce Niemców. Złamali wszystkie nasze szyfry radiowe, a tu, w Południowych Włoszech, założyli siatkę szpiegowską, z której agentami są najwyraźniej w stanie kontaktować się, kiedy i jak im się żywnie podoba. Oto kłopotliwe pytania, panowie. Pytania naj-

wyższej wagi, na które chcę znać odpowiedzi. „Dziesiątka” mi je zdobędzie.

— „Dziesiątka”? — spytał grzecznie Mallory.

— To kryptonim waszej operacji.

— A dlaczego właśnie taki? — zapytał Andrea.

— A dlaczego nie? Słyszał pan kiedyś o kryptonimie, który miałby jakikolwiek związek z przygotowaną operacją? W tym właśnie zasadza się sens kryptonimu, człowieku.

— A więc na pewno nie będzie to miało nic wspólnego z czołowym atakiem na coś, szturmem na jakiś bardzo ważny obiekt — rzekł głuchym głosem Mallory. Spostrzegł, że Jensen w ogóle na to nie zareagował, i dodał tym samym tonem: — W skali Beauforta „dziesiątka” oznacza huragan.

— Huragan! — Ogromnie trudno zmieścić razem w jednym słowie okrzyk i bolesny jęk, ale Miller nie miał z tym najmniejszych trudności. — O mój Boże, a mnie się marzy morska cisza, i to do końca moich dni!

— Moja cierpliwość ma granice, kapralu Miller — ostrzegł Jensen. — Mogę — podkreślam: mogę! — zmienić decyzję, którą podjąłem co do was dziś rano.

— Co do mnie? — spytał czujnym tonem Miller.

— O odznaczeniu was Medalem za Zasługi Bojowe.

— Powinien ładnie wyglądać na wieku mojej trumny — mruknął Miller.

— Co to ma znaczyć?!

— Kapral Miller wyraził tylko swoją wdzięczność. — Mallory przybliżył się do ściennej mapy i krótko jej się przyjrzał. — Bośnia i Hercegowina... To duże terytorium, panie komandorze.

— Owszem, ale możemy precyzyjnie określić teren — miejsce zniknięć — z dokładnością do dwudziestu mil.

Mallory odwrócił się od mapy i wolno powiedział:

— Natrudziliście się przygotowując tę akcję. Po pierwsze, ten dzisiejszy nalot na Nawaronę. Wellington czekający w pogotowiu, żeby nas tu przywieźć. Te wszystkie przygotowania poczyniono — jak wnoszę z pańskich słów — na dziś wieczór. Nie wspominając już o...

— Pracowaliśmy nad tym od prawie dwóch miesięcy. Wasza trójka miała się tu zjawić kilka dni temu. Ale... mmm... cóż, sami wiecie.

— Wiemy. — Millera wcale nie poruszyła groźba odebrania mu Medalu za Zasługi Bojowe. — Wypadło coś innego. Ale dlaczego właśnie my trzej, panie komandorze? My jesteśmy dywersantami, specami od materiałów wybuchowych, komandosami... a to jest przecież robota dla tajnych agentów wywiadu, którzy mówią po serbsko-chorwacku czy po jakimś tam.

— Pozwólcie, że ja o tym zdecyduję — odparł Jensen i ponownie błysnął zębami, obnażając je w tygrysim uśmiechu. — A poza tym, wy macie szczęście.

— Szczęście opuszcza ludzi zmęczonych — rzekł Andrea. — A my jesteśmy

bardzo zmęczeni.

— Zdaję sobie sprawę z waszego wyczerpania, ale w Europie Południowej nie znajdę drugiej takiej ekipy, która dorównywałaby wam możliwościami, doświadczeniem i umiejętnościami. — Jensen znowu się uśmiechnął. — No i szczęściem. Muszę być bezwzględny, Andrea. Muszę, chociaż nie podoba mi się to. Zdaję sobie jednak sprawę z waszego wyczerpania. Właśnie dlatego postanowiłem wysłać z wami grupę wspierającą.

Mallory spojrział na trzech młodych żołnierzy stojących przy kominku, potem znów na Jensena, ten zaś skinął głową.

— Są młodzi, niedoświadczeni i palą się do akcji. Komandosi piechoty morskiej — najlepiej wyszkolonych oddziałów bojowych, jakie mamy. Zapewniam was, że są wyjątkowo wszechstronnie wyszkoleni. Weźmy Reynoldsa. — Jensen wskazał głową bardzo wysokiego, ciemnowłosego, niespełna trzydziestoletniego sierżanta z mocno opaloną twarzą o orlich rysach. — Potrafi wszystko — od wysadzania obiektów pod wodą do pilotowania samolotu. A dzisiaj wieczorem to właśnie on będzie prowadził waszego wellingtona. No i, jak sami widzicie, przyda się do noszenia wszelkich ciężkich skrzyń.

— Uważam, że Andrea zawsze się sprawdzał jako tragarz, panie komandorze — wtrącił ze spokojem Mallory.

— Panowie mają wątpliwości — powiedział Jensen, obracając się w stronę Reynoldsa. — Pokażcie, sierżancie, że się na coś przydadacie.

Reynolds zawahał się, po czym schylił, wziął ciężki mosiężny pogrzebacz i zabrał się do zginania go w rękach. Z pewnością niełatwo było go zgiąć. Twarz sierżanta poczerwieniała, żyły na czole i ścięgna na szyi nabrzmiały, ręce zdrżały z wysiłku, ale powoli i nieubłaganie pogrzebacz został zgięty w literę „U”. Z niemal przepraszającym uśmiechem Reynolds wręczył pogrzebacz Andrei. Andrea wziął go z ociąganiem, zgarbił się w ramionach, kostki palców zbieleły mu, ale pogrzebacz zachował kształt litery „U”. Andrea w zamyśleniu podniósł wzrok na sierżanta, a potem bez słowa odłożył pogrzebacz na miejsce.

— Teraz rozumiecie, o czym mówię? — spytał Jensen. — Jesteście zmęczeni. Albo weźmy sierżanta Grovesa. Ściągnięty w pośpiechu z Londynu, trasą przez Środkowy Wschód. Były nawigator lotniczy, obeznany z najnowszymi osiągnięciami w zakresie sabotażu, materiałów wybuchowych i elektryczności. Z pułapkami minowymi, bombami zegarowymi, ukrytymi mikrofonami — to wykrywacz min w ludzkiej skórze. No a sierżant Saunders jest pierwszorzędnym radiooperatorem.

— Jest pan bezzębnym starym lwem, który schodzi na psy — rzekł ponuro Miller do Mallory’ego.

— Nie plećcie bzdur, kapralu! — skarcił go ostrym tonem Jensen. — Szczęściu to idealna liczba. Będziecie mieć dublerów we wszystkich specjalnościach, a

ci żołnierze są naprawdę dobrzy. Okażą się bezcennymi. Jeżeli zaspokoi to waszą dumę, to pierwotnie wybrano ich nie po to, żeby wam towarzyszyli, ale jako ekipę rezerwową w przypadku, gdybyście... mhm... cóż...

— Rozumiem — zapewnił bez najmniejszego przekonania Miller.

— A zatem, wszystko jasne?

— Nie całkiem — odparł Mallory. — Kto dowodzi?

— Ależ pan, oczywiście — rzekł ze szczerym zdumieniem Jensen.

— Aha. — Głos Mallory'ego był spokojny i miły. — O ile mi wiadomo, obecnie w szkoleniu żołnierzy — zwłaszcza komandosów piechoty morskiej — kładzie się nacisk na przedsiębiorczość, samodzielność, niezależność w myśleniu i działaniu. Wszystko pięknie... Jeśli tylko zostaną schwytani w pojedynkę. — Uśmiechnął się, jakby niemal odżegnywał się od tej myśli. — Bo poza tym oczekuję od nich bezzwłocznego, ślepego i całkowitego podporządkowania się rozkazom. Moim rozkazom. Błyskawicznie i całkowicie.

— A jeżeli nie? — spytał Reynolds.

— Zbyteczne pytanie, sierzancie. Wiecie przecież, co czeka za nieposłuszeństwo wobec oficera w czasie akcji.

— Czy dotyczy to również pańskich towarzyszy?

— Nie.

— To mi się nie podoba, panie komandorze — oświadczył Reynolds, zwracając się do Jensena.

Mallory zmęczonym ruchem zagłębił się w fotelu, zapalił papierosa, wskazał głową sierżanta i rzekł:

— Niech pan go wymieni.

— Co takiego?! — spytał z niedowierzaniem Jensen.

— Niech pan go wymieni. Jeszcze nawet nie wyruszyliśmy w drogę, a on już kwestionuje moje zdanie. Więc co to będzie podczas akcji? Jest niebezpieczny. Wolałbym już mieć przy sobie tykającą bombę zegarową.

— Niech pan posłucha, Mallory...

— Niech pan wymieni jego albo mnie.

— I mnie — odezwał się cicho Andrea.

— I mnie też — dodał Miller.

W pokoju zaległa krótka, daleka od przyjaznej cisza i wówczas Reynolds podszedł do Mallory'ego.

— Panie kapitanie — przemówił.

Mallory spojrzał na niego bez zachęty w oczach.

— Przepraszam — powiedział Reynolds. — Zagalopowałem się. Nigdy nie popełniam dwa razy tego samego błędu. Ja naprawdę bardzo chcę wziąć udział w tej akcji, panie kapitanie.

Mallory zerknął na Andreę i Millera. Na twarzy Amerykanina malowało się

jedynie zaszokowanie faktem, że sierżant tak szaleńczo i niewiarygodnie rwie się do akcji. Andrea zaś, jak zwykle niewzruszony, prawie niedostrzegalnie skinął głową.

— Jestem pewien, że tak jak twierdzi komandor Jensen, ogromnie się nam przydadacie — powiedział Mallory z uśmiechem.

— A więc załatwione. — Jensen udał, iż nie spostrzegł, że napięcie w salonie zelżało niemal namacalnie. — Czas na sen. Ale przedtem chciałbym poświęcić kilka minut... raportowi w sprawie Nawarony, rozumiecie. — Spojrzał na trzech sierżantów. — Niestety, to poufne.

— Tak jest — odparł Reynolds. — Czy możemy pojechać na lotnisko, żeby sprawdzić plan lotu, pogodę, spadochrony i ekwipunek?

Jensen skinął głową. Kiedy trzech sierżanci zamknęli za sobą podwójne drzwi, podszedł do drzwi w bocznej ścianie, otworzył je i powiedział:

— Proszę, generale.

Mężczyzna, który wszedł, był wysoki i bardzo chudy. Miał zapewne około trzydziestu pięciu lat, ale wyglądał znacznie starzej. Troski, wyczerpanie i ciągły niedostatek trwale związane ze zbyt długą wieloletnią nieustanną walką o przeżycie posrebrzyły jego czarne niegdyś włosy, a na smagłej, ogorzałej twarzy wyryły bruzdy fizycznych i duchowych cierpień. Miał ciemne, żywe, płomienne wejrzenie kogoś fanatycznie oddanego jakiejś nieurzeczywistnionej jeszcze idei. Ubrany był w angielski mundur oficerski bez żadnych insygniów i odznak.

— Panowie, to generał Vukalović — przedstawił go Jensen. — Pan generał jest zastępcą dowódcy partyzanckich oddziałów w Bośni i Hercegowinie. RAF przywiózł go stamtąd wczoraj. Występuje tu jako partyzancki lekarz, który stara się o dostawę medykamentów. Tylko my wiemy, kim jest naprawdę. Generale, oto pańscy ludzie.

Vukalović, z miną nie zdradzającą niczego, spojrział na nich surowo i z uwagą.

— Są zmęczeni, panie komandorze — rzekł. — Tak wiele zależy... Za bardzo zmęczeni, żeby zrobić to co trzeba.

— Pan generał ma rację — zapewnił solennie Miller.

— Może jednak wykrzeszą jeszcze z siebie trochę sił — odparł ze spokojem Jensen. — Mieli długą podróż z Nawarony. Tak więc...

— Z Nawarony? — przerwał mu Vukalović. — to... to są ci, którzy...

— Przyznaję, że wcale na nich nie wyglądają.

— Możliwe, że się co do nich pomyliłem.

— Nie, nie, wcale się pan nie pomylił, panie generale — zapewnił Miller. — Jesteśmy wyczerpani. Jesteśmy kompletnie...

— Pozwolicie, kapralu? — przerwał mu zjadliwie cierpkim tonem Jensen. — Kapitanie Mallory, z wyjątkiem jeszcze dwóch ludzi, tylko pan generał w Bośni

będzie wiedział, kim pan jest i czym się pan zajmuje. To, czy zechce zdradzić pańską tożsamość innym, zależy wyłącznie od niego. Generał Vukalović będzie wam towarzyszył w wyprawie do Jugosławii, ale w innym samolocie.

— Dlaczego? — spytał Mallory.

— Ponieważ jego samolot wróci. Wasz nie.

— Ach tak! — powiedział Mallory.

W czasie krótkiego milczenia, jakie zapadło, on, Andrea i Miller wchłonęli znaczenie faktów, kryjących się za słowami Jensena. Andrea w zamyśleniu dorzucił drew do przygasającego ognia na kominku i rozejrzał się szukając wzrokiem pogrzebacza, ale jedynym pogrzebaczem był tu ten, który Reynolds zgiął w literę „U”. Andrea podniósł go. Nie myśląc o tym co robi rozprostował go bez najmniejszego wysiłku, pogrzebał nim w palenisku, aż buchnęło płomieniem, i odłożył. Vukalović przyglądał się jego wyczynowi z mocno zadumaną miną.

— Pański samolot, kapitanie, nie wróci — ciągnął Jensen — ponieważ zostanie poświęcony w imię wiarygodności.

— My również? — spytał Miller.

— Niewiele będzie działali, kapralu, gdybyście nie znaleźli się na ziemi. Tam, dokąd lecicie, nie zdoła lądować żaden samolot, dlatego wyskoczycie z niego... a samolot się rozbije.

— To mi brzmi bardzo wiarygodnie — mruknął Miller.

Jensen puścił tę uwagę mimo uszu.

— Realia wojny totalnej są niesłychanie surowe — rzekł. — Właśnie dlatego odesłałem stąd tych trzech młodzieńców — nie chcę ostudzać ich zapła.

— Mój zgaszono wodą — oznajmił płacząco Miller.

— Och, zamilczcie wreszcie, kapralu! Byłoby świetnie, gdybyście przy okazji ustalili, dlaczego osiemdziesiąt procent naszych zrzutów wpada w ręce Niemców, oraz odnaleźli i uwolnili schwytanych dowódców naszych misji. Ale nie jest to ważne. Z wojskowego punktu widzenia te dostawy i ci agenci są spisani na straty. Nie wolno nam jednak spisać na straty siedmiu tysięcy partyzantów, którymi dowodzi generał Vukalović, siedmiu tysięcy partyzantów oblężonych w miejscu zwanym Kotleń Zenicy, siedmiu tysięcy przymierających głodem ludzi, goniących resztkami amunicji, siedmiu tysięcy ludzi bez wyjścia.

— I my im zdołamy pomóc? — spytał ponuro Andrea. — W sześciu?

— Nie wiem — odparł szczerze Jensen.

— Ale ma pan jakiś plan?

— Jeszcze nie. Nic konkretnego. Strzępy pomysłu. Nic więcej. — Jensen ze znużeniem potarł czoło. — Sam przybyłem tu z Aleksandrii zaledwie sześć godzin temu. — Urwał, a potem wzruszył ramionami. — Ale do wieczora, kto wie? Kilka godzin popołudniowej drzemki może nas wszystkich odmienić. Wpierw jednak wysłucham raportu w sprawie Nawarony. Nie ma sensu, żeby pozostali trzej pano-



wie dłużej czekali... W tym korytarzu jest sypialnia. A kapitan Mallory na pewno opowie mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Mallory odczekał, aż za Vukaloviciem, Andrea i Millerem zamkną się drzwi, po czym spytał:

— Od czego mam rozpocząć raport, panie komandorze?

— Jaki raport?

— W sprawie Nawarony, oczywiście.

— Pał sześć Nawaronę. Z Nawaroną koniec. — Jensen wziął trzcinkę, podszedł do ściany i rozwinął jeszcze dwie mapy. — Do rzeczy.

— Pan... Pan już ma plan — powiedział ostrożnie Mallory.

— Jasne, że mam plan — odparł chłodno Jensen. Stuknął w mapę przed sobą. — Dziesięć mil na północ stąd przebiega linia Gustawa. Przez całe Włochy — wzdłuż rzek Sangro i Liri. Niemcy mają tam umocnienia obronne tak trudne do zdobycia, jakich dotąd nie było w dziejach nowoczesnych wojen. Tu jest Monte Cassino, na którym wykruszyły się nasze najlepsze alianckie dywizje, niektóre na dobre. Tu zaś jest przyczółek w Anzio. Walczy tam o życie pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów. Już od pięciu bitych miesięcy walimy głową w linię Gustawa i pas umocnień pod Anzio. Nasze straty w ludziach i sprzęcie są nieobliczalne. A nasze zdobycze — ani cala!

— Wspomniał pan coś o Jugosławii, panie komandorze — wtrącił nieśmiało Mallory.

— Właśnie do tego dochodzę — odparł Jensen, tłumiąc irytację. — Jedyłą naszą nadzieją na przełamanie linii Gustawa jest osłabienie sił obronnych Niemców, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest skłonienie ich do wycofania części dywizji z linii frontu. Dlatego właśnie stosujemy metodę Allenby'ego.

— Rozumiem.

— Nic pan nie rozumie. Chodzi o generała Allenby'ego w Palestynie w tyśiąc dziewięćset osiemnastym roku. Miał tam do czynienia z frontem na osi wschód-zachód, od Jordanu do Morza Śródziemnego. Planował atak od zachodu, dlatego wmówił Turkom, że zaatakują od wschodu. Dokonał tego wznosząc na wschodzie potężny obóz z namiotów wojskowych, zamieszkały zaledwie przez kilkuset żołnierzy, którzy wylegali na zewnątrz i buszowali po nim niczym bobry, ilekroć tylko samoloty wroga przylatywały na zwiad. Dokonał tego nie kryjąc się przed tymiż samolotami z dużymi konwojami ciężarówek wojskowych jak dzień długi masowo jadącymi na wschód. Turcy nie wiedzieli jednak, że te same konwoje jak noc długa masowo wracają na zachód. Sporządził nawet piętnaście tysięcy brezentowych atrap koni. No a my robimy to samo.

— Piętnaście tysięcy brezentowych koni?

— Pyszny, pyszny żart. — Jensen znów stuknął trzcinką w mapę. — Wszystkie lotniska stąd do Bari są przepełnione makietami bombowców i szybow-

ców. Pod Foggia jest największy obóz wojskowy we Włoszech — zamieszkały przez dwie setki żołnierzy. W zatokach Bari i Tarenckiej tłoczą się okręty desantowe, wszystkie wykonane z dykty. Przez cały dzień kolumny ciężarówek i czołgów ściągają na wybrzeże Adriatyku. Gdyby pan, kapitanie, należał do niemieckiego Naczelnego Dowództwa, to jaki wyciągnąłby pan z tego wniosek?

— Podejrzewałbym, że szykuje się morska i powietrzna inwazja na Jugosławię, ale nie miałbym stu- procentowej pewności.

— I tak właśnie zachowują się Niemcy — rzekł Jensen, zdradzając oznaki zadowolenia. — Bardzo się zaniepokoiłi, zaniepokoiłi się do tego stopnia, że wychodząc naprzeciw zagrożeniu, przenieśli już dwie dywizje z Włoch do Jugosławii.

— Ale nie są jeszcze przekonani?

— Nie całkiem. Ale prawie — Jensen odchrząknął. — Widzi pan, wszyscy ci czterej schwytani dowódcy naszych misji mieli przy sobie dowody, skazujące niezbicie, że na początku maja nastąpi inwazja na środkową Jugosławię.

— Mieli przy sobie dowody... — Mallory urwał i przyjrząwszy się domyślnie Jensenowi, po dłuższej chwili spytał cicho: — A jakże to Niemcom udało się schwycić wszystkich czterech?

— Zawiadomiliśmy ich, że przylatują.

— Co takiego?!

— To sami ochotnicy, sami ochotnicy — pośpieszył z wyjaśnieniem Jensen. Fakt ów najwidoczniej należał do surowych realiów wojny totalnej, nad którymi nawet on wolał się nie rozwodzić za długo. — A pańskim zadaniem, chłopcze, będzie zmienić to prawie całkowite przekonanie w stuprocentową pewność.

Nie dbając ani trochę o to, że Mallory przygląda mu się całkiem bez zapału, Jensen dramatycznie gwałtownym ruchem obrócił się na pięcie i dźgnął trzcinką mapę środkowej Jugosławii w dużej skali.

— To jest dolina Neretvy — rzekł. — Podstawowy odcinek głównej trasy komunikacyjnej wiodącej z północy na południe Jugosławii. Ten, kto włada tą doliną, włada Jugosławią, o czym najlepiej wiedzą sami Niemcy. Jeżeli nastąpi uderzenie, to są przekonani, że spadnie właśnie tam. Są w pełni świadomi tego, że inwazja na Jugosławię jest możliwa, panicznie obawiają się połączenia aliantów z Rosjanami nacierającymi od wschodu i dobrze wiedzą, że takie połączenie musi nastąpić w tej dolinie. Już w tej chwili trzymają nad Neretwą dwie dywizje pancerne, dywizje, które w przypadku inwazji mogą zostać rozbite w ciągu jednej nocy. Od północy — tutaj — próbują przedrzeć się do Neretvy całą grupą armijną, ale jedyna droga prowadzi przez Kocioł Zenicy. Drogę tę zaś blokuje im Vukalović i siedem tysięcy jego partyzantów.

— Vukalović o tym wie? — spytał Mallory. — To znaczy, o pańskich prawdziwych intencjach?

— Tak. I partyzanckie dowództwo również. Znają ryzyko, nikłość swoich

szans. I godzą się na to.

— A zdjęcia? — spytał Mallory.

— Proszę. — Jensen wyjął z szuflady biurka kilka zdjęć, wybrał jedno i wygładził je na stole. — To jest Kocioł Zenicy. Zasługuje na swoją nazwę, bo to rzeczywiście idealny kocioł, idealna pułapka. Na północy i zachodzie nieprzebyte góry. Na wschodzie wąwóz Neretvy i zalew przy zaporze. Na południu rzeka. Na północ od tego kotła, przez Przełęcz Zenicy, próbuje się przebić niemiecka 11 Grupa Armii. Od zachodu — nazywają to Przełęczą Zachodnią — dalsze oddziały tejże 11 Grupy próbują zrobić to samo. A na południu, za rzeką, stoją ukryte w lesie dwie dywizje pancerne pod dowództwem generała Zimmermanna.

— A to? — Mallory wskazał cienką czarną kreskę spajającą brzegi rzeki tuż na północ od dwóch dywizji pancernych.

— To... — rzekł w zamyśleniu zatroskany Jensen — to jest most na Neretvie.

\* \* \*

Z bliska most na Neretvie robił o niebo lepsze wrażenie niż na powiększonym zdjęciu lotniczym. Była to potężna budowla na wspornikach z hartowanej stali, pokryta czarną asfaltową jezdnią. Pod mostem pędziła wartka Neretva, zielonkawobiała i wezbrana dzięki topniejącym śniegom. Na południu ciągnął się wzdłuż niej wąski pas zielonej łąki, a jeszcze dalej na południe wyrastał ciemny las wysokich sosen. W bezpiecznej kryjówce mrocznych leśnych ostępów czaiły się dwie dywizje pancerne generała Zimmermanna.

Blisko skraju lasu stał wóz łączności dowództwa dywizji, masywny, bardzo długi pojazd, tak świetnie zamaskowany, że z odległości ponad dwudziestu kroków niewidoczny.

Generał Zimmermann i jego adiutant, kapitan Warburg, znajdowali się w tej chwili wewnątrz niego. Byli w humorach odpowiadających stałemu półmrokowi lasu. Zimmermann miał jedną z tych szczupłych, inteligentnych twarzy o wysokim czole i orlich rysach, które tak rzadko zdradzają jakiekolwiek uczucia, w tej chwili jednak, kiedy zdjął czapkę i przeczesał dłonią siwe rzadniejące włosy, bynajmniej nie brakło na niej uczuć troski i zniecierpliwienia.

— Nadal żadnych wieści? — spytał radiooperatora siedzącego przy dużym radionadajniku. — Nic?

— Nic, panie generale.

— Jesteście w stałym kontakcie z obozem kapitana Neufelda?

— Cały czas, panie generale.

— I jego operator prowadzi nieustanny nasłuch radiowy?

— Bez przerwy, panie generale. Cisza. Po prostu cisza.

Zimmermann odwrócił się i zszedł po stopniach samochodu, a za nim Warburg. Ze zwieszoną głową odszedł od wozu, by go stamtąd nie słyszano, i zaklął.

— Cholera! Cholera! A niech to jasna cholera!

— Ma pan aż taką pewność, że przylatują, panie generale? — spytał Warburg, wysoki, przystojny, płowowłosy trzydziestolatek, którego mina zdradzała w tej chwili dokładnie tyle samo lęku, co zmartwienia.

— Czuję to przez skórę, chłopcze. Tak czy owak, to się zbliża do nas wszystkich.

— Tego nie może pan być pewien, panie generale — sprzeciwił się Warburg.

— Istotnie — przyznał z westchnieniem Zimmermann. — Nie mogę. Ale jestem pewien. Jeżeli rzeczywiście przylecą, jeżeli 11 Grupa Armii nie przebiję się z północy, jeżeli nie zlikwidujemy tych przeklętych partyzantów w Kotle Zenicy...

Warburg czekał na dalszy ciąg, ale generał nad czymś się zamyślił.

— Chciałbym znów zobaczyć Niemcy, panie generale — odezwał się najwyraźniej bez żadnego związku z ich rozmową Warburg. — Jeszcze ten jeden raz.

— Tak jak my wszyscy, chłopcze, jak my wszyscy.

Zimmermann poszedł wolno na skraj lasu i przystanął. Dłuższy czas przypatrywał się mostowi na Neretwie. A potem potrząsnął głową, odwrócił się i prawie natychmiast zniknął z oczu w czeluściach ciemnego boru.

\* \* \*

Płonące na wielkim kominku w salonie domu w Termoli sosnowe drwa przygasły. Jensen podrzucił kilka świeżych polan, wyprostował się, nappełnił dwie szklaneczki i jedną podał Mallory'emu.

— A więc? — spytał.

— Tak wygląda ten plan? — nieruchoma twarz Mallory'ego niczym nie zdradzała jego niewiary i uczuć bliskich rozpaczy. — Cały plan?!

— Tak.

— Pańskie zdrowie. — Mallory zamilkł. — I moje. — A po równie długiej pauzie dodał w zadumie: — Ciekawe, jak zareaguje Dusty Miller, kiedy wieczorem dowie się o tym zadanku.

\* \* \*

— Tak jak przepowiedział, reakcja Millera była ciekawa, nawet jeśli całkowicie do przewidzenia. Mniej więcej w sześć godzin później, odziany podobnie jak Mallory i Andrea w angielski mundur Miller z najwyraźniej rosnącym przerażeniem wysłuchiwał nakreślonych przez Jensena planów tego, czego mieli dokonać w

ciągu mniej więcej dwudziestu czterech najbliższych godzin. Skończywszy, Jensen spojrział wprost na niego i spytał:

— No i co? Da się wykonać?

— Da się wykonać? — powtórzył osłupiały Miller. — To samobójstwo!

— Andrea?

Andrea wzruszył ramionami, rozłożył bezradnie ręce dłońmi do góry i nic nie powiedział.

Jensen skinął głową.

— Przykro mi, ale nie mam wyboru — rzekł. — Chodźmy. Reszta czeka na lotnisku.

Andrea z Millerem wyszli z salonu i zaczęli iść długim korytarzem. Mallory przystanął niezdecydowanie w progu, chwilowo tarasując przejście, i obrócił się twarzą do Jensena, który, zaskoczony uniósł brwi.

— Niech mi pan pozwoli powiedzieć przynajmniej Andrei — odezwał się ściszym głosem.

Przez kilka chwil Jensen wpatrywał się w niego rozważając sprawę, a potem krótko pokręcił przecząco głową i przecisnął się obok niego na korytarz.

W dwadzieścia minut później, nie zamieniwszy już ani słowa, czterech mężczyzn zajęchali na pas startowy w Termoli, by odszukać czekających tam na nich Vukalovicia i dwóch sierżantów. Trzeci, Reynolds, siedział już za sterami wellingtona — jednego z dwu stojących na końcu pasa, których śmigła już się obracały. Po dalszych dziesięciu minutach samoloty wzbily się w powietrze — w jednym Vukalović, w drugim Mallory, Miller, Andrea i trójka sierżantów — każdy lecąc ku swojemu odrębnemu przeznaczeniu.

Stojący samotnie na smołowanym pasie startowym Jensen patrzył na wzlatujące samoloty wyteżając wzrok, aż zniknęły w ciemnościach zachmurzonego bezksiężycowego nieba. Potem zaś, podobnie jak tego popołudnia generał Zimmermann, z determinacją wolno potrząsnął głową, odwrócił się i odszedł ciężkim krokiem.

### III. Piątek, godz. 00:30-02:00

Mallory pomyślał, że sierżant Reynolds z całą pewnością wie jak prowadzić samolot, zwłaszcza ten. Chociaż jego oczy zdradzały, że cały czas jest baczny i czujny, to wszystkie czynności wykonywał dokładnie, fachowo, spokojnie i swobodnie. Z nie mniejszą fachowością poczynał sobie Groves — kiepskie oświetlenie i ciasny małeńki stolik nawigacyjny najwyraźniej w niczym mu nie przeszkadzały i było oczywiste, iż jest biegłym i doświadczoneym nawigatorem. Mallory wyjrzał przez wiatrochron, zobaczył grzywiaste fale Adriatyku pędzące nie całe sto stóp pod kadłubem ich samolotu i obrócił się w stronę Grovesa.

— Plan lotu wymaga, żebyśmy lecieli tak nisko? — spytał.

— Tak. Niemcy na pewnej liczbie wysp u wybrzeży Jugosławii zainstalowali radary. Kiedy dotrzemy do Dalmacji, zaczniemy się wspinać.

Mallory podziękował mu skinieniem głowy i obrócił się, żeby spojrzeć na Reynoldsa.

— Komandor Jensen miał co do was rację, sierżancie — zaczął ostrożnie. — Co do was jako pilota, jak u licha, komandos piechoty morskiej wyuczył się prowadzenia takiej maszyny?

— Mam dużą praktykę — odparł Reynolds. — Trzy lata służyłem w RAF-ie, z czego dwa jako sierżant-pilot w eskadrze bombowej wellingtonów. Jednego razu w Egipcie poleciałem bez pozwolenia lesandrem. Wszyscy robią to bez przerwy... Ale pudło, które sobie wybrałem, miało uszkodzony paliwomierz.

— Spieszyli was?

— Piorunem. — Reynolds uśmiechnął się. — Nie było żadnych sprzeciwów, kiedy poprosiłem o przeniesienie do innej służby. Chyba uznali, że raczej nie nadaję się do RAF-u.

— A wy — spytał Mallory, patrząc na Grovesa.

Groves uśmiechnął się szeroko.

— Ja byłem nawigatorem w tym starym pudle. Wyrzucili nas tego samego dnia.

— No cóż, to jest chyba dla nas korzystne.

— Co jest korzystne? — spytał Reynolds.

— To, że posmakowaliście niesławy. Da wam to okazję wykazania się w dwójnasób, kiedy zajdzie potrzeba. Jeżeli w ogóle zajdzie.

— Nie zupełnie rozumiem... — zaczął ostrożnie Reynolds.

— Chcę, żebyście przed skokiem wszyscy bez wyjątku usunęli z mundurów wszelkie oznaczenia stopni i odznaki. — Mallory dał siedzącym z tyłu kabiny pilotów Andrei i Millerowi znak, że ich również dotyczy ten rozkaz, po czym znów przeniósł wzrok na Reynoldsa. — Sierżanckie winkły, oznaki pułkowe, baretki orderów — wszystko.

— A to niby dlaczego?! — Mallory'emu przyszło na myśl, że dawno nie spotkał nikogo tak łatwo wpadającego w gniew, jak Reynolds. — Zasłużyłem sobie na te winki, wstążki, tę odznakę! Nie widzę...

Mallory uśmiechnął się.

— Sprzeciwiacie się przełożonemu? — spytał.

— Niech pan nie będzie taki cholernie drażliwy — odparł Reynolds.

— Niech pan nie będzie taki cholernie drażliwy, panie kapitanie!

— Niech pan nie będzie taki cholernie drażliwy, panie kapitanie! — poprawił się Reynolds i nieoczekiwanie uśmiechnął. — No dobra, więc kto ma nożyczki?

— Sami rozumiecie, że ostatnia rzecz, jakiej pragniemy, to wpaść w ręce wroga — wyjaśnił Mallory.

— Amen — dodał śpiewnie Miller.

— Ale jeśli mamy zdobyć informację, którą chcemy zdobyć, to będziemy musieli działać w pobliżu, a nawet pośród szeregów nieprzyjaciela. Mogą nas schwycić i temu służyć ma nasza bajeczka.

— Wolno nam wiedzieć, co to za bajeczka, panie kapitanie? — spytał cicho Groves.

— Oczywiście — odparł z rozdrażnieniem Mallory i dodał z powagą: — Czy nie rozumiecie, że podczas takiej akcji przeżycie zależy od jednej i tylko jednej rzeczy — całkowitego wzajemnego zaufania? Jak tylko zaczniemy mieć jeden przed drugim tajemnicę, koniec z nami!

W głębokim półcieniu z tyłu kabiny pilotów Andrea i Miller popatrzyli sobie w oczy i wymienili zmęczone cyniczne uśmiechy.

Przechodząc z kabiny pilotów do kabiny ładunkowej bombowca Mallory musnął ręką ramię Millera. Po mniej więcej dwóch minutach Amerykanin ziewnął, przeciągnął się i przedostał na tył samolotu. Mallory czekał na niego w tylnej części kadłuba. W rękę trzymał dwie złożone kartki. Rozwinął jedną z nich i pokazał Millerowi, zapalając jednocześnie latarkę. Miller przypatrywał się kartce kilka chwil, po czym uniósł brwi.

— I co to ma być? — spytał.

— Mechanizm spustowy tysiąc pięćset funtowej podwodnej miny. Naucz się go na pamięć.

Miller z kamienną twarzą przyjrzał się rysunkowi i zerknął na drugą kartkę w rękę Mallory'ego.

— A tam co pan ma?

Mallory pokazał mu. Była to mapa w dużej skali, na której główny obiekt stanowiło coś, co wyglądało na krzywe jezioro z bardzo długą odnogą na wschodzie, załamujące się pod kątem prostym i tworzące króciutką odnogę południową, ta zaś z kolei kończyła się czymś, co przypominało ścianę zapory. Poniżej zapory

krętym wąwozem płynęła rzeka.

— I jak ci się to widzi? — spytał Mallory. — Pokaż oba te rysunki Andrei i każ mu je zniszczyć.

Zostawił pochłoniętego „odrabianiem lekcji” Millera i wrócił do kabiny pilotów. Pochylił się nad stolikiem nawigacyjnym Grovesa.

— Trzymamy kurs? — spytał.

— Tak, panie kapitanie. Właśnie przelatujemy nad południowym krańcem wyspy Hvar. Na lądzie przed nami widać trochę światła.

Mallory podążył wzrokiem za wyciągniętą ręką Grovesa, dojrzał kilka plam światła, a potem sięgnął ręką w bok, żeby zachować równowagę, bo wellington zaczął raptownie wspinać się w górę. Spojrzał na Reynoldsa.

— Wspinamy się, panie kapitanie. Mamy przed sobą kilka wysokich gór. Za jakieś pół godziny powinniśmy zobaczyć światła na partyzanckim lądowisku.

— Za trzydzieści trzy minuty — dorzucił Groves. — Mniej więcej dwadzieścia po pierwszej.

Blisko pół godziny Mallory przesiedział na składanym krzeselku w kabynie pilotów, wyglądając przez przednią szybę. Po kilku minutach Andrea zniknął i już się nie pojawił w kabynie. Miller nie powrócił. Groves zajmował się nawigacją, Reynolds pilotowaniem, Saunders wsłuchiwał się w przenośną radiostację, a wszyscy milczeli. Kwadrans po pierwszej Mallory wstał, dotknął pleców Saundersa, polecił mu spakować sprzęt i poszedł na tył samolotu. Zastał Andreę i wyglądającego jak siedem nieszczęść Millera z karabinczykami spadochronów już umocowanymi do liny wyciągającej czasze. Andrea odsunął drzwi i właśnie wyrzucał przez nie kawałeczki porwanej kartki, które wciągał wir strumienia zaśmigłowego. Mallory zadrżał w zniechęcającym mroźnym powietrzu. Andrea uśmiechnął się, przywołał go gestem do otwartych drzwi i wskazał w dół.

— Na dole jest mnóstwo śniegu! — Ryknął mu do ucha.

Na dole było rzeczywiście mnóstwo śniegu. Mallory pojął w tej chwili, czemu Jensen tak nalegał, żeby nie lądować samolotem w tych stronach. Teren pod nimi był w najwyższym stopniu nierówny i niemal w całości złożony z szeregu głębokich, krętych dolin i stromych gór. Prawdopodobnie połowę krajobrazu w dole porastały gęste sosnowe lasy, a wszystko to przykrywała bardzo gruba pierzyna śniegu. Mallory cofnął się w głąb zapewniającej jaką taką osłonę kabiny ładunkowej bombowca i zerknął na zegarek.

— Pierwsza szesnaście — oznajmił, zmuszony, tak jak Andrea, krzyczeć.

— Czy pański zegarek przypadkiem się nie śpieszy?! — wrzasnął unieszczęśliwiony Miller.

Mallory zaprzeczył kręcąc głową, a Miller potrząsnął swoją. Zabrzęczał dzwonek, więc Mallory przedostał się do kabiny pilotów, mijając po drodze idącego w przeciwną stronę Saundersa. Kiedy do niej wszedł, Reynolds zerknął krótko



przez ramię i wskazał wprost przed siebie. Mallory pochylił się nad jego ramieniem i spojrzał w dół przez wiatrochron. Skinął głową.

Trzy światła, tworzące długie „V”, były jeszcze kilka mil przed nimi, ale płonęły tam na pewno. Mallory odwrócił się, dotknął ramienia Grovesa i wskazał tył samolotu. Groves wstał i wyszedł.

— Gdzie są czerwone i zielone światła sygnalizacyjne? — spytał Mallory Reynoldsa.

Reynolds wskazał je.

— Wciśnijcie czerwone. Ile nam zostało?

— Trzydzieści sekund. Mniej więcej.

Mallory jeszcze raz spojrzał w przód. Światła na ziemi były o ponad połowę bliżej od nich, niż gdy patrzył za pierwszym razem.

— Włączcie automatycznego pilota — polecił Reynoldsowi. — Zamknijcie dopływ paliwa.

— Zamknąć... Zostało tyle benzyny, że...

— Zamknijcie zbiorniki, do cholery! I na tył! Pięć sekund.

Reynolds wykonał rozkaz. Mallory zaczął, po raz ostatni sprawdził szybko położenie świateł lądowania w przodzie, nacisnął guzik zapalający zielone światło i szybko przedostał się do kabiny ładunkowej. Zanim dotarł do otwartych drzwi, nawet Reynolds, ostatni z piątki, już wyskoczył. Mallory umocował karabińczyk, ścisnął dłońmi krawędź drzwi i odepchnął się wyskakując w mroźną bośniacką noc.

Gwałtowne szarpnięcie upręży spadochronu skłoniło go do szybkiego spojrzenia w górę — wklęśła krągłość rozpostartej czaszy była pokrzepiającym widokiem. Spojrzał w dół i zobaczył równie pokrzepiające widowisko stworzone przez pięć otwartych spadochronów, z których dwa, tak jak i jego własny, huśtały się z gołą dziko w powietrzu. Przyszło mu na myśl, że są rzeczy, których on, Andrea i Miller muszą się jeszcze długo uczyć. Należało do nich panowanie nad opadającym spadochronem.

Zerknął w górę, ku wschodowi, żeby sprawdzić, czy dostrzeże wellingtona, ale już zniknął z oczu. Kiedy patrzył i słuchał, pracujące niemal w idealnej zgodzie oba silniki samolotu raptem zamilkły. Minęły długie sekundy, podczas których w uszach miał tylko świst wiatru, a potem dobiegł go metaliczny huk wybuchu, kiedy bombowiec rozbił się o ziemię albo na jakimś niewidocznym zboczu górskim w przodzie. Nie było ognia, a przynajmniej on go nie zobaczył, a jedynie grzmot, po którym zaległa cisza. Po raz pierwszy tej nocy zza chmur wyjrzał księżyc.

\* \* \*

Andrea wylądował ciężko na nierównym kawałku gruntu, fiknął dwa koziołki, na próbę wstał, stwierdził, że nic mu się nie stało, nacisnął przycisk szybko

zwalnijący uprząż spadochronu, po czym odruchowo, instynktownie — gdyż miał w sobie coś przypominającego komputer, który zapewnia przeżycie — błyskawicznie wykonał pełny obrót. Ale nie czyhało na niego żadne bezpośrednie zagrożenie, a przynajmniej żadnego nie dostrzegł. Z większą już zatem swobodą przyrzekał się lądowisku.

Skonstatował ponuro, że mieli piekielne szczęście. Lądując sto metrów dalej na południe, spędziliby resztę tej nocy, a nawet, o ile się w tym wyznawał, resztę wojny, na wierzchołkach nieprawdopodobnie wysokich sosen, jakich jeszcze nie widział. Szczęście było jednak po ich stronie i wylądowali na wąskiej polanie stykającej się ze skalistym, urwistym zboczem góry.

A raczej, było po stronie wszystkich, z wyjątkiem jednego. Jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie wylądował Andrea, wpychał się na polanę róg lasu. Jego najbardziej wysunięte drzewo stanęło jednemu ze spadochroniarzy na drodze do twardej ziemi. Andrea w zdumieniu uniósł pytająco brwi i ruszył nieśpiesznym biegiem.

Spadochroniarz, którego spotkało nieszczęście, wisiał na najniższym konarze sosny. Ręce miał wplecione w olinowanie spadochronu, nogi zgięte, kolana i kostki złączone w klasycznej pozycji lądowania, a stopy o jakiś metr nad ziemią. Szczelnie zaciskał powieki. Kapral Miller wyglądał jak jedno wielkie nieszczęście.

Andrea zbliżył się i lekko dotknął jego ramienia. Miller otworzył oczy, spojrział na Andreeę, a ten wskazał w dół. Amerykanin skierował tam wzrok i opuścił nogi, które zawisły parę centymetrów nad ziemią. Andrea wyjął nóż, przeciął linki spadochronu i Miller dokończył podróży. Z kamienną twarzą obciągnął bluzę munduru i badawczo na próbę uniósł łokieć. Andrea z równie kamienną twarzą wskazał na polanę. Trzech spośród czterech skoczków wylądowało szczęśliwie, czwarty, Mallory, właśnie dotykał nogami ziemi.

W dwie minuty potem, kiedy całą szóstką odeszli niewielki kawałek od najbardziej wysuniętego na wschód ogniska sygnałowego, czyjś okrzyk poprzedził pojawienie się młodego żołnierza, który nadbiegł ku nim od skraju lasu. Spadochroniarze unieśli pistolety i prawie natychmiast opuścili z powrotem, bo nie było okazji do ich użycia. Żołnierz niósł broń w opuszczonej ręce, trzymając ją za lufę, a drugą, wolną, machał im w podnieceniu na powitanie. Miał na sobie strój przypominający spłowiały, obszarpany niby-mundur, złożony z sortów zdobytych na różnych armiach, długą falistą czuprynę, zeza w prawym oku i rzadką rudą brodę. Bez wątplenia witał ich. Powtarzając wciąż od nowa niezrozumiałe pozdrowienia, raz i drugi uściskał wszystkim wokół ręce, a jego radość znamionował szeroki uśmiech.

W przeciągu pół minuty dołączył do niego jeszcze co najmniej tuzin partyzantów, bez wyjątku brodatych i ubranych w takie same nieokreślone mundury — żaden nie podobny do drugiego — i równie jak on rozradowanych. A potem, jakby na jakiś sygnał zamilkli i rozstąpili się nieznacznie na boki, bo z lasu wyłonił się

mężczyzna, który z pewnością był ich dowódcą. Mało przypominał swych podwładnych. Różnił się od nich tym, że był gładko ogolony i nosił polowy mundur angielski, wyglądający na jednoczęściowy kombinezon. Różnił się też od nich tym, że się nie uśmiechał — sprawiał zresztą wrażenie kogoś, kto uśmiecha się rzadko albo wcale. Różnił się także i tym, że był mierzącym co najmniej metr dziewięćdziesiąt olbrzymem o jastrzębich rysach, a za pasem nosił zatknięte ni mniej, ni więcej tylko cztery paskudne myśliwskie noże — przesadny arsenał, który u kogoś innego wyglądałby niedorzecznie, a nawet śmiesznie, lecz w jego przypadku nie wzbudzał najmniejszej ochoty do żartów. Śniadą twarz miał ponurą. Przemówił do nich wprawdzie wolno i nienaturalnym tonem, lecz w poprawnej angielszczyźnie.

— Dobry wieczór. — Powiódł wokół pytającym wzrokiem. — Jestem kapitan Droszny.

Mallory wystąpił naprzód.

— Kapitan Mallory — przedstawił się.

— Witamy w Jugosławii, kapitanie Mallory... w partyzanckiej Jugosławii. — Droszny wskazał głową na dogasające ognisko, wykrzywił twarz w grymasie, który być może był próbą uśmiechu, ale nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby wymienić uścisk dłoni. — Jak pan widzi, oczekiwaliśmy was.

— Te ogniska bardzo nam pomogły — odparł z uznaniem Mallory.

— Dziękuję. — Droszny popatrzył na wschód i znów na Mallory'ego, kręcąc głową. — Szkoda tego samolotu.

— Szkoda, że w ogóle jest wojna.

Droszny skinął głową.

— Chodźmy. Nasza kwatera jest niedaleko.

Nie zamienili więcej ani słowa. Idący przodem Droszny od razu skrył się w lesie. Podążającego za nim Mallory'ego zaciekawily, doskonale w tej chwili widoczne w jasnym świetle księżyca, ślady, które Droszny zostawiał w głębokim śniegu. Uznał je za bardzo osobliwe. Każda z podeszew butów Jugosłowianina odciskała w śniegu trzy znaki w kształcie litery „v”, obcasy po jednym takim, zaś pierwszy „ptaszek” na prawej podeszwie miał z prawej strony wyraźną charakterystyczną przerwę. Mallory podświadomie odnotował w pamięci ten osobliwy szczegół. Zrobił to tylko z tego powodu, iż ludzie tacy jak on zawsze spostrzegają i zapamiętują to, co niezwykle. Dzięki temu zachowują życie.

Stok stał się bardziej stromy, śnieg głębszy, a przez rozłożyste, mocno ośnieżone gałęzie sosen przesączało się skąpo blade światło księżyca. Od wschodu wiał lekki wiatr, mróz był ostry. Przez blisko dziesięć minut nikt się nie odezwał, a wtedy nagle rozległ się głos Drosznego, cichy, lecz wyraźny i zmuszający do posłuchu przez swoją rytmiczność i alarmujący ton.

— Stójcie. — Droszny dramatycznym gestem wskazał w górę. — Stójcie! Słuchajcie!

Zatrzymali się, zadarli głowy, chciwie wytyżając słuch. A przynajmniej zadarli je wytyżając słuch Mallory i jego ludzie, bo Jugosłowianie mieli co innego do roboty — szybko, sprawnie, w jednej chwili, bez żadnego ustnego rozkazu czy gestu wrazili lufy swoich pistoletów maszynowych i karabinów w boki i plecy spadochroniarzy z taką siłą i nie znoszącą sprzeciwu władczością, że wydawanie jeszcze jakichś poleceń było całkiem zbędne.

Szóstka skoczków zareagowała na to jak było do przewidzenia. Reynolds, Groves i Saunders, mniej przyzwyczajeni do zmiennych kolei losu niż ich trzej starsi towarzysze, zareagowali zgodnie mieszaniną gniewnego przestachu i zaskoczenia, od którego rozdziawia się usta. Mallory się zamyślił. Miller uniósł pytająco brwi. Andrea zaś, jak należało oczekiwać, niczego po sobie nie okazał, bo był zbyt zajęty tym, czym zawsze odpowiadał na każdą fizyczną przemoc.

Prawą, zgiętą ręką, którą od razu niósł w geście oczywście poddania, chwycił karabin strażnika z lewej za lufę, wyrwał mu go i łokciem lewej ręki trzasnął go bezlitośnie w splot słoneczny, tak, że człowiek ten sapnął z bólu i chwiejnie cofnął się dwa kroki. Andrea, który chwycił już oburącz karabin drugiego strażnika, bez wysiłku wyszarpnął mu go z rąk, uniósł wysoko w górę i płynnym, błyskawicznym ruchem opuścił go w dół. Strażnik upadł, jakby zwałił się na niego most. Wijący się strażnik po lewej ręce Andrei, nadal zgięty w pół i krzyczący z bólu, próbował wymierzyć w niego z karabinu, kiedy kolba pistoletu Greka rąbnęła go w twarz. Wydał z siebie krótki dźwięk przypominający kasznięcie i padł bez zmysłów na poszycie lasu.

Jugosłowianom zajęło aż trzy sekundy, w ciągu których wszystko to się rozegrało, by ocknęli się z chwilowego paraliżującego niedowierzania. Pół tuzina partyzantów rzuciło się na Andreę i przygwoździło go do ziemi. W zacieklej kółtłowaniu, która nastąpiła, Andrea miotał się na wszystkie strony ze zwykłą mu ochotą, ale gdy jeden z Jugosłowian zaczął go walić w głowę kolbą pistoletu, skapitulował i znieruchomiał. Mając za plecami dwa pistolety, a na ramionach cztery przytrzymujące ręce, został poderwany na nogi — dwóch jego pogromców ucierpiało wszakże znacznie bardziej niż on.

Droszny, świdrując Greka ponurym wzrokiem, podszedł do niego, wydobył z pochwy jeden z noży i z tak brutalną siłą przycisnął mu jego czubek do szyi, że przeciął skórę i po lśniąącym ostrzu popłynęła krew. Przez chwilę wydawało się, że Jugosłowianin wbije nóż po rękojeść, potem jednak spojrzął na bok i spuścił wzrok na dwóch skręconych, leżących w śniegu mężczyzn. Skinął głową w stronę najbliższego stojącego partyzanta.

— Co z nimi? — spytał.

Młody Jugosłowianin uklęknął, przyjrzał się najpierw temu, który oberwał lufą karabinu, obmacał krótko jego głowę, zbadał drugiego leżącego i wstał. W przesączającym się przez gałęzie świetle księżyca jego twarz była nienaturalnie

blada.

— Josif nie żyje. Zdaje się, że ma złamany kark — odparł. — A jego brat... oddycha ale szczękę ma chyba... — zamilkł niepewnie.

Droszny przeniósł spojrzenie na Andreę. Rozciągnął wargi, uśmiechnął się wilczo i nacisnął nóż trochę mocniej.

— Powinienem cię zabić już teraz. Ale zabiję cię później. — Schował nóż do pochwy, przysunął do twarzy Andrei zaciśnięte dłonie i krzyknął: — Osobiście! Tymi rękami!

— Tymi rękami... — powoli i znacząco Andrea przyjrzał się dokładnie czterem parom rąk krępującym mu ramiona, a potem z pogardą spojrzał na Drosznego. — Twoja odwaga mnie przeraża — rzekł.

Zaległa krótka, pełna niedowierzania cisza. Trzech młodych sierżantów przyglądało się tej scenie z minami wyrażającymi różne stopnie osłupienia i niewiary w to, co widzą. Mallory i Miller patrzyli beznamiętnie. Przez kilka chwil Droszny wyglądał jak ktoś, kto się przesłyszał, lecz potem z twarzą wykrzywioną wściekłym gniewem wyrznął Andreę w twarz wierzchem dłoni. Z prawego kącika ust Greka natychmiast popłynęła krew, ale on sam nie poruszył się i nie zmienił miny.

Oczy Drosznego zwężyły się. Andrea znów się krótko — uśmiechnął. Droszny ponownie uderzył go w twarz, tym razem wierzchem drugiej dłoni. Skutek był taki sam, tylko że tym razem krew pociekła z lewego kącika ust Greka. Andrea znów się uśmiechnął, ale ten, kto zajrzał by mu w oczy, zobaczyłby w nich wykopany grób. Droszny obrócił się na pięcie, odszedł, zbliżył do Mallory'ego i zatrzymał.

— To pan dowodzi tymi ludźmi? — spytał.

— Tak.

— Jak na dowódcę... jest pan bardzo milczący, co, kapitanie Mallory?

— A co mogę powiedzieć człowiekowi, który mierzy z pistoletu do przyjaciół i sprzymierzeńców? — odparł beznamiętnie Mallory. — Będę rozmawiał z pańskim przełożonym, a nie z jakimś szaleńcem.

Droszny poczerwieniał. Zrobił krok, podnosząc rękę do zadania ciosu. Bardzo szybko, lecz tak płynnie i spokojnie, że nie wyglądało to na pośpiech, nie bacząc na lufy karabinów wbijających mu się w boki, Mallory uniósł swój luger i wycelował go w twarz Jugosłowianina. Trzask odbezpieczanego pistoletu zabrzmiał w nagłej, nienaturalnej głębokiej ciszy niczym uderzenie młota.

A cisza ta była zaiste nienaturalnie głęboka. Jeśli nie liczyć pewnego nieznanego ruchu, tak wolnego, że niemal niedostrzegalnego, zarówno partyzanci, jak spadochroniarze, zamarli tworząc żywy obraz, którego nie powstydziliby się fryz w jońskiej świątyni. Miny trzech sierżantów, tak jak większości partyzantów, wyrażały zdumienie i niedowierzanie. Dwóch pilnujących Mallory'ego Jugosło-

wian spojrzęło pytająco na Drosznego. Droszny wpatrywał się w Mallory'ego jak w wariata. Andrea nie patrzył na nikogo. Miller zaś miał minę zblazowanego, znużonego wszystkim światowca, co tylko on potrafił. Ale to właśnie on zrobił ów niewielki ruch, ruch, który zakończył się z chwilą, kiedy jego kciuk spoczął na bezpieczniku schmeissera. Po kilku sekundach jednak Miller cofnął kciuk — kolej na schmeissery miała przyjść, lecz jeszcze nie nadeszła.

Droszny dziwnie powolnym gestem opuścił rękę w dół i cofnął się dwa kroki. Twarz miał nadal poczerwieniałą z gniewu, ciemne oczy okrutne i bezlitosne, ale panował nad sobą.

— Nie wie pan, że musimy zachować ostrożność? — spytał. — Dopóki nie upewnimy się, kim jesteście?

— Skąd mam o tym wiedzieć? — Mallory skinął głową w stronę Andrei. — Kiedy następnym razem każe pan im zachować ostrożność względem mojego przyjaciela, niech pan uprzedzi ich, żeby trzymali się od niego trochę dalej. Zareagował w jedyny znany sobie sposób. I wiem dlaczego.

— Wyjaśni to pan później. Oddajcie broń.

— Nie — odparł Mallory i schował luger do kabury.

— Oszalał pan? Na mój rozkaz odbiorą ją wam?

— Rzeczywiście — przyznał logicznie Mallory. — Ale przedtem musielibyście nas przecież zabić, prawda? Wątpię, czy po tym pozostałby pan długo kapitanem, przyjacielu.

Gniew w spojrzeniu Drosznego ustąpił miejsca namysłowi. Oстрыm tonem wydał komendę po serbskochorwacku, na co jego żołnierze ponownie wycelowali broń w Mallory'ego i jego pięciu towarzyszy. Ale nie próbowali rozbroić jeńców. Droszny odwrócił się, dał ręką znak i znowu ruszył w górę po zalesionym stoku. Mallory pomyślał, że Droszny nie należy do tych, którzy kochają ryzyko.

Przez dwadzieścia minut wdrapywali się po śliskim zboczu wzgórza. Z ciemności nad ich głowami doleciał czyjś głos, na który Droszny odpowiedział nie przerywając marszu. Minęli dwóch wartowników z karabinami maszynowymi i w niecałą minutę później znaleźli się w kwaterze Drosznego.

Był to średnich rozmiarów obóz partyzancki — jeśli stojące szerokim kręgiem, zbudowane z obrobionych siekierą bali, toporne chaty można nazwać obozem — usytuowany w jednej z tych bardzo głębokich leśnych kotlin, które, jak się Mallory miał przekonać, były tak charakterystyczne dla Bośni. Z dna owej dolinki wyrastały dwa koncentryczne pierścienie sosen, znacznie wyższych i potężniejszych od tych, które rosną w Europie Zachodniej, mocarnych sosen, których potężne konary, splecione pięćdziesiąt metrów nad ziemią, tworzyły śnieżny baldachim tak gęsty i szczelny, że w obrębie obozu na ubitej ziemi nie było nawet śladu sypkiego śniegu — z tej samej przyczyny baldachim ów zasłaniał z góry światła w dół, dlatego nikt nie próbował zaciemniać kilkunastu oświetlonych okien chat, a na

dworze wisały na hakach naftowe lampy oświetlające teren obozu. Droszny zatrzymał się i powiedział do Mallory'etgo:

— Pan pójdzie ze mną. Reszta zostanie tutaj.

Zaprowadził go do największej chaty w obozie. Andrea samorzutnie zsunął z ramion plecak i usiadł na nim, inni zaś, z mniejszym lub większym wahaniem, zrobili to samo. Strażnicy przyglądali się im niepewnie, a potem odstąpili od nich, stojąc nieregularnym, lecz czujnym półkolem. Reynolds obrócił się w stronę Andrei z miną całkowicie pozbawioną podziwu i życzliwości.

— Jesteś wariat — wyszeptał cicho z wściekłością. — Skończony wariat. Mogli cię zabić. A przez ciebie mogli zabić nas wszystkich. Co ci jest, cierpisz na nerwicę wojenną?

Andrea nie odpowiedział. Zapalił jedno ze swoich szkaradnych cygar i spokojnie otaksował Reynoldsa wzrokiem, a przynajmniej z takim spokojem, na jaki był w stanie się zdobyć.

— Wariat to za słabe określenie! — Groves, jeśli to cokolwiek zmienia, był nawet bardziej zagniewany niż Reynolds. — A może nie wiedziałeś, że zabijasz partyzanta? Nie rozumiesz, co to oznacza?! Nie rozumiesz, że tacy ludzie zawsze muszą stosować środki ostrożności?!

Andrea nie powiedział, czy rozumie to, czy nie rozumie. Pyknął ze swojego cygara i pojednawczo popatrzył na Grovesa.

— Spokojnie, spokojnie. Nie wygaduj takich rzeczy — odezwał się uspokajającym tonem Miller. — Możliwe, że Andrea odrobinę się pośpieszył, ale...

— Boże, miej nas w opiece — powiedział żarliwie Reynolds i z rozpaczą spojrzął na kolegów sierżantów. — Jesteśmy tysiąc mil od domu i pomocy, mając na karku oldboyów, których palce świerzbią, żeby sobie postrzelać. — Obrócił się do Millera i sparodiował go przedrzeźniając: — „Nie wygaduj takich rzeczy”!

Miller zrobił urażoną minę i odwrócił wzrok.

\* \* \*

Izba była duża, pusta i niewygodna. Jedyнным ustępstwem na rzecz wygód był ogień z sosnowych drewn, trzaskający na prymitywnym palenisku. Na całe umeblowanie składały się dwa krzesła, ława i porysowany sosnowy stół.

Mallory odnotował je tylko podświadomie. Nim jeszcze zdążył zarejestrować je w pamięci, usłyszał, jak Droszny mówi:

— To kapitan Mallory. A to mój dowódca.

Zbyt intensywnie wpatrywał się w mężczyznę, który siedział przy stole.

Był on niski, krępy, w wieku pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Głębokie zmarszczki wokół oczu i ust mógł zawdzięczać pogodzie, humorowi, albo jednemu i drugiemu naraz — w tej chwili lekko się uśmiechał. Miał na sobie mundur

niemieckiego kapitana, a pod szyją nosił Żelazny Krzyż.



#### IV. Piątek, godz. 02:00-03:30

Niemiecki kapitan rozsiadł się na krześle i złożył dłonie koniuszkami palców. Zdawał się rozkoszować obecną chwilą.

— Jestem hauptmann Neufeld, kapitanie Mallory — przedstawił się i spojrzął na mundur Mallory'ego tam, gdzie powinny się znajdować insygnia. — A przynajmniej mniemam, że pan nim jest. Zaskoczył pana mój widok?

— Strasznie się cieszę, że mogę pana poznać, kapitanie Neufeld. — Zaskoczenie na twarzy Mallory'ego ustąpiło miejsca początkom długiego, nieśpiesznego uśmiechu, a wówczas westchnął z głęboką ulgą. — Nawet pan nie wie, jak bardzo... — Nie przestając się uśmiechać, obrócił się w stronę Drosznego i natychmiast uśmiech na jego twarzy zastąpiło przerażenie. — Ale kim jest ten?! Co to za człowiek, kapitanie? Kim są, na miły Bóg, ci na zewnątrz? Bo są na pewno... są na pewno...

— Jego człowiek zabił dziś jednego z moich — przerwał mu grobowym głosem Droszny.

— Co takiego?! — Neufeld, z którego twarzy też zniknął uśmiech, wstał tak gwałtownie, że łydkami i udami z trzaskiem przewrócił krzesło na podłogę.

Mallory, nie bacząc na to, przeniósł wzrok z powrotem na Drosznego.

— Kim jesteście?! Mówże pan, na miły Bóg!

— Nazywają nas czetnikami — odparł wolno Droszny.

— Czetnikami? Czetnikami? A kim, u licha, są ci czetnicy?

— Wybacz pan, kapitanie, ale zmusza mnie pan, bym się z niedowierzaniem uśmiechnął. — Neufeld odzyskał już spokój i nadzwyczaj przezornie przybrał obojętny wyraz twarzy, w której ożywione były tylko oczy. Mallory doszedł do wniosku, że tych, którzy lekkomyślnie nie doceniają tego Niemca, może spotkać coś bardzo niemiłego. — Kto jak kto, ale pan? Dowodzi pan misją specjalną wysłaną do tego kraju i nie poinformowano pana na tyle, by wiedział pan, że czetnicy, to nasi jugosłowiańscy sprzymierzeńcy?

— Sprzymierzeńcy? Aha! — twarz Mallory'ego wypogodziła się na znak, że zrozumiał. — Zdrajcy. Jugosłowiańscy quislingowie. Czy tak?

Z gardła Drosznego wydobył się jak spod ziemi grzmot i czetnik ruszył na Mallory'ego, prawą dłoń zaciskając na rękojeści noża. Neufeld osadził go w miejscu ostrą komendą i krótkim, siekącym ruchem ręki w dół.

— A poza tym, o jakiej to specjalnej misji pan mówi? — spytał Mallory. Przyjrzał się po kolei obu rozmówcom i uśmiechnął się ironicznie ze zrozumieniem. — A tak, rzeczywiście przybyliśmy tu z misją specjalną, ale nie taką, jak pan myśli. A przynajmniej nie z taką, o jakiej pan, jak przypuszczam, myśli.

— Nie? — Mallory'emu przyszło na myśl, że techniką unoszenia brwi Neufeld niemal dorównuje Millerowi. — To na jakiej podstawie pan sądzi, że was

oczekiwaliśmy?

— Bóg jeden wie — odparł szczerze Mallory. — Myśleliśmy, że czekają na nas partyzanci. Niestety, właśnie z tego powodu zginął żołnierz Drosznego.

— Właśnie z tego powodu zginął żołnierz Drosznego... — Neufeld zmierzył Mallory'ego umyślnie nieruchomym wzrokiem, podniósł krzesło i usiadł zamyślny. — Chyba powinien pan nam to wyjaśnić.

\* \* \*

Jak przystało na kogoś, kto wiódł burzliwe życie na londyńskim West Endzie, Miller miał we zwyczaju korzystać przy posiłkach z serwetki, co też w tej chwili właśnie robił. Zatknąwszy ją za kołnierz bluzy mundurowej, i siedząc na plecaku w obozie Neufelda, grymaśnie jadł z menażki jakiś nieokreślony gulasz. Siedzący blisko niego sierżanci krótką chwilę przyglądali się temu widowisku ze szczerym niedowierzaniem, po czym wrócili do przyciszonej rozmowy. Andrea, pykający nieodłączne cygaro, którego zapach wykrzywił nos, nic sobie nie robiąc z kilku czujnych i mających powody do obaw strażników, przechadzał się bez zainteresowania po obozie, wszędzie zatruwając atmosferę. Z oddali, niesiony przez mroźne nocne powietrze, dobiegł czyjś cichy głos, śpiewający przy wtórze chyba gitary. Kiedy Andrea zakończył obchód obozowiska, Miller podniósł wzrok i skinął głową w kierunku, skąd dochodziła muzyka.

— Kto to gra? — spytał.

— Może radio — odparł Andrea, wzruszając ramionami.

— Muszą sobie kupić nowe. Moje wyrobione ucho...

— Słuchajcie — przerwał mu napiętym, alarmującym szeptem Reynolds. — Naradziliśmy się.

Miller z fantazją skorzystał z serwetki i odparł uprzejmym tonem:

— Niepotrzebnie. Pomyślcie o matkach i narzeczonych, które byście osierocili.

— O czym ty mówisz?

— Mówię o ucieczce stąd — odparł Miller. — Może zrobimy to kiedy indziej?

— A dlaczego nie teraz? — spytał wojowniczo Groves. — Są mniej czujni...

— Czyżby? — Miller westchnął. — Ach, młodzież, młodzież. Przyjrzyjcie się lepiej. Chyba nie myślicie, że Andrea tak kocha ruch? Trzej sierżanci przyjrżeli się lepiej, ukradkiem, dyskretnie, po czym spojrzeli pytająco na Andreeę.

— Pięć ciemnych okien — odparł Andrea. — Za nimi pięć ciemnych postaci. Z pięcioma ciemnymi pistoletami maszynowymi.

Reynolds skinął głową i odwrócił wzrok.

\* \* \*

— A więc dobrze. — Mallory zauważył, że Neufeld bardzo lubi składać dłonie koniuszkami palców. Znał kiedyś sędziego mającego te same inklinacje, który skazywał ludzi na powieszenie. — Niewątpliwie opowiedział nam pan nadzwyczaj zdumiewającą historię, drogi kapitanie.

— Rzeczywiście — potwierdził Mallory. — Nie mogła być inna, żeby wyjaśnić nadzwyczaj zdumiewającą sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

— Racja, racja. — Powoli i bez pośpiechu Neufeld zaczął wyliczać na palcach inne racje. — Twierdzi pan, że przez kilka miesięcy dowodził szajką handlarzy penicyliną i lekarstwami na południu Włoch. Jako aliancki oficer łącznikowy nie miał pan najmniejszych trudności z zaopatrzeniem się w nie u Amerykanów i w angielskich bazach lotniczych.

— Pod koniec mieliśmy niewielkie trudności — przyznał Mallory.

— Dochodzę do tego. Twierdzi pan również, że dostawy te były przekazywane Wehrmachtowi.

— Wolałbym, żeby nie powtarzał pan bez przerwy słowa „twierdzi” takim tonem — odparł z irytacją Mallory. — Proszę to sprawdzić u szefa wywiadu wojskowego marszałka Kesselringa w Padwie.

— Z przyjemnością — odparł Neufeld. Podniósł słuchawkę telefonu, przemówił krótko po niemiecku i odłożył ją.

— Ma pan bezpośrednie połączenie ze światem zewnętrznym? — spytał zaskoczony Mallory. — Stąd?!

— Mam bezpośrednie połączenie z barakiem, który jest o pięćdziesiąt metrów stąd i w którym stoi bardzo silny nadajnik radiowy. Do rzeczy. Twierdzi pan ponadto, że pana schwytano, że został pan skazany przez sąd wojskowy i że czekał pan na zatwierdzenie wyroku śmierci. Zgadza się?

— Jeżeli wasza sieć szpiegowska we Włoszech jest tak dobra, jak się słyszy, to jutro się pan o tym dowie — odparł z przekąsem Mallory.

— Na pewno, na pewno. Potem uciekł pan z więzienia, zabił strażników i w sali odpraw podsłuchiwał agentów odprawianych przed misją do Bośni. — Neufeld znów zetknął dłonie koniuszkami palców.

— W tej sprawie być może mówi pan prawdę. Powiedział pan, że w jakim celu przylecieli?

— Niczego nie powiedziałem. Właściwie to nie zwróciłem na to uwagi. Chodziło chyba o odnalezienie zaginionych dowódców angielskich misji i o próbę zniszczenia waszej siatki szpiegowskiej. Nie jestem pewien. Mieliśmy ważniejsze rzeczy na głowie.

— Nie wątpię — odparł z odrazą Neufeld. — Takie, jak ratowanie własnej skóry. Co się stało z pańskimi szlifami oficerskimi, kapitanie? Z baretkami? Z gu-

zikami?

— Pan z pewnością nigdy nie stawał przed brytyjskim sądem wojskowym, kapitanie.

— Sam pan mógł je odpruć — odparł ze spokojem Neufeld.

— No a potem, jak sędzę, przed kradzieżą tego samolotu, wypuścić z jego zbiorników trzy czwarte paliwa?

— Mielście w zbiornikach tylko jedną czwartą paliwa?

— Mallory potwierdził skinieniem głowy.

— I wasz samolot nie zapalił się przy rozbiciu?

— Nie zamierzaliśmy się rozbić — wyjaśnił ze znużeniem Mallory cierpliwym tonem. — Chcieliśmy wylądować. Ale zabrakło nam paliwa... I to, jak teraz wiemy, w niewłaściwym miejscu.

— Ilekroć partyzanci zapalają na lądowiskach ogniska, my też zapalamy kilka — rzekł z roztargnieniem Neufeld. — A ponadto wiedzieliśmy, że pan — ktoś, na pewno przyleci. Zabrakło benzyny, co? — Po następnej krótkiej wymianie zdań przez telefon Neufeld ponownie zwrócił się do Mallory'ego. — Wszystko bardzo ładnie... Jeżeli to prawda. Pozostaje nam tylko jeszcze wyjaśnić śmierć żołnierza kapitana Drosznego.

— Przykro mi z tego powodu. To była okropna pomyłka. Ale pan z pewnością to rozumie. Wylądować pomiędzy wami, wpaść prosto na was, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęliśmy. Słyszeliśmy o losie angielskich spadochroniarzy zrzuconych na niemieckie terytorium.

Neufeld znów złożył palce.

— Prowadzimy wojnę. Proszę mówić.

— Chcieliśmy wylądować na terenach partyzanckich, przemknąć się przez ich linie i poddać się. Kiedy Droszny wycelował w nas pistolety, pomyśleliśmy, że wpadliśmy w ręce partyzantów, że powiadomiono ich o skradzeniu przez nas samolotu. Dla nas mogło to oznaczać tylko jedno.

— Niech pan zaczeka na zewnątrz. Kapitan Droszny i ja wyjdziemy do pana za chwilę.

Mallory wyszedł z chaty. Andrea, Miller i trójka sierżantów siedzieli cierpliwie na plecakach. Z oddali wciąż dobiegała muzyka. Przez chwilę Mallory przysłuchiwał się jej nastawiwszy ucha, a potem ruszył przez obóz, żeby dołączyć do reszty. Miller delikatnie otarł usta serwetką i podniósł wzrok na nadchodzącego.

— Miło się gawędziło? — spytał.

— Zasunąłem im bujda na resorach. Tę, o której rozmawialiśmy w samolocie. — Mallory spojrzał na trzech sierżantów. — Który z was mówi po niemiecku?

Wszyscy trzej pokręcili przecząco głowami.

— Świetnie. Zapomnijcie też, że mówicie po angielsku. Gdyby was przesłuchiwali, nie wiecie nic.

— Ja nie wiem nic i bez przesłuchiwania — poskarżył się rozgoryczony Reynolds.

— Tym lepiej — pocieszył go Mallory. — bo niczego nie wygadacie, no nie?

Zamilkł i odwrócił się, bo w drzwiach chaty pojawili się Neufeld z Drosznym.

— Może czekając na potwierdzenie zjedlibyśmy coś i napili się wina — zaproponował Neufeld, kiedy do niego podszedł. Tak jak wcześniej Mallory, nadstawił ucha i posłuchał śpiewu. — Ale przedtem musi pan poznać naszego trubadura.

— Wystarczy nam jedzenie i wino — rzekł Andrea.

— Wybrał pan nie to, co lepsze. Sam się pan o tym przekona. Chodźmy.

Jadalnia, jeżeli pomieszczenie to w ogóle zasługiwało na takie miano, znajdowała się około czterdziestu metrów dalej. Neufeld otworzył drzwi, odsłaniając wnętrze prymitywnego, byle jak skleconego baraku z dwoma koślawymi stołami na kozłach i czterema ławami, stojącymi na glinianej polepie. W drugim końcu izby na nieodzownym palenisku płonął nieodzowny ogień z sosnowych drzew. W pobliżu niego, przy drugim krańcu dalej stojącego stołu, trzech mężczyzn — sądząc po ich płaszczach z postawionymi wysokimi kołnierzami i broni u boków, z pewnością wartowników zluzowanych z posterunków — piło kawę i przysłuchiwało się cichemu śpiewowi postaci, która siedziała przy ogniu.

Śpiewak miał na sobie obdartą futrzaną kurtkę z kapturem, nawet jeszcze bardziej od niej niewiarygodnie obszarpane spodnie i rozłazące się niemal we wszystkich szwach buty z cholewami. Prawie całą twarz zasłaniała mu grzywa ciemnych włosów i duże ciemne okulary w oprawkach.

Przy nim siedziała dziewczyna, która w tej chwili niewątpliwie spała, z głową złożoną na jego ramieniu. Ubrana była w angielski płaszcz wojskowy z wysokim kołnierzem, będący w mocno oplakany stan, tak długi, że całkowicie zakrywał jej podkulone nogi. Rozczochranych, platynowych, rozrzuconych na ramionach włosów nie powstydzilyby się żadna Skandynawka, ale szerokie kości policzkowe, ciemne brwi i długie ciemne rzęsy opadające na bardzo blade policzki, należały bez wątpienia do Słowianki.

Neufeld przemierzył izbę, zatrzymał się z boku paleniska i pochylił nad śpiewającym.

— Chciałbym ci przedstawić kilku przyjaciół, Petar — powiedział.

Petar opuścił gitarę, uniósł głowę, a potem obrócił się i dotknął ramienia dziewczyny. Natychmiast podniosła głowę i szeroko otworzyła oczy, wielkie i smoliste. Bardzo przypominała zaszczute zwierzę. Rozejrzała się dookoła niemal dziko, i zerwała szybko na nogi, za sprawą sięgającego kostek płaszcza wydając się jeszcze drobniejsza niż była, a potem wyciągnęła rękę, żeby pomóc wstać gitarzyście. Kiedy wstawał, potknął się — był bez wątpienia niewidomy.

— To Maria — powiedział Neufeld. — Mario, to kapitan Mallory.

— Kapitan Mallory — powtórzyła cichym, nieco schrypłym głosem, w którym nie było prawie śladu obcego akcentu. — Jest pan Anglikiem, kapitanie?

Mallory uznał, że nie miejsce i czas wyjaśniać swoje nowozelandzkie pochodzenie. Uśmiechnął się.

— Tak, w pewnym sensie — odrzekł.

Maria odwzajemniła mu uśmiech.

— Zawsze pragnęłam poznać Anglika. — Zrobiła krok w stronę wyciągniętej ręki Mallory'ego odepchnęła ją i otwartą dłońią z całej siły uderzyła go w twarz.

— Mario! — Neufeld zmierzył ją groźnym spojrzeniem. — Kapitan jest po naszej stronie.

— To Anglik i zdrajca! — ponownie zamachnęła się podniesioną ręką, lecz nagle unieruchomił ją chwyt Andrei. Krótką chwilę szarpała się z nim nadaremnie, po czym ustąpiła. W jej zagniewanej twarzy błyszczały ciemne oczy. Andrea podniósł wolną ręką i oddany czułemu wspomnieniu pogładził swój policzek.

— Do diaska, ona przypomina mi moją własną Marię — rzekł z podziwem i uśmiechnął się do Mallory'ego. — Te Jugosłowianki wiedzą, od czego są ręce.

Mallory ponuro rozmasował swój policzek i zwrócił się do Neufelda.

— Może Petar... Tak brzmi jego imię...

— Nie. — Neufeld stanowczo potrząsnął głową. — Później. Zjedzcie. — Poprowadził Mallory'ego do stołu w drugim końcu izby, gestem zaprosił pozostałych, żeby zajęli miejsca, sam również usiadł i dodał: — Przepraszam. To moja wina. Powinienem być mądrzejszy.

— Czy jej... mmm... nic nie jest? — spytał delikatnie Mallory.

— Ma pan na myśli, że przypomina dzikie zwierzę?

— Jak na domowe zwierzątko, jest dość niebezpieczna, nie sądzi pan?

— Jest absolwentką uniwersytetu belgradzkiego. Wydziału języków obcych. Podobno zdała z odznaczeniem. W jakiś czas po skończeniu studiów powróciła do domu w bośniackich górach. Dowiedziała się tam, że jej rodziców i dwóch małych braci zamordowano. Od tej pory... tak się zachowuje.

Mallory poruszył się na ławie i spojrzał na dziewczynę. Jej ciemne, nieruchome, szeroko rozwarte oczy były utkwione w nim, a ich spojrzenie bynajmniej nie budziło otuchy. Obrócił się z powrotem w stronę Neufelda.

— Kto to zrobił? Pytam o jej rodziców.

— Partyzanci — wtrącił z furią Droszny. — Partyzanci, bodaj szczyły ich czarne dusze! Rodzice Marii należeli do nas. Byli czetnikami.

— A ten śpiewak? — spytał Mallory.

— To jej starszy brat. — Neufeld potrząsnął głową. — Niewidomy od urodzenia. Dokądkolwiek idą, ona zawsze prowadzi go za rękę. Jest jego wzrokiem, jego życiem.

Siedzieli w milczeniu aż do chwili, kiedy wniesiono jedzenie i wino. Gdyby jakaś armia maszerowała o takim wikcie, nie zaszłaby daleko, pomyślał Mallory. Słyszał, że u partyzantów jest bardzo krucho z żywnością, lecz to, co na stole, dowodziło, iż czetnicy i Niemcy mają się niewiele lepiej. Bez zapachu nabrał łyżką — bo widelec nie zdałby się tu na nic — trochę szarawego gulaszu, gulaszu, w którym pośród papkowatego sosu niewiadomego pochodzenia pływały osamotnione kawałki niezidentyfikowanego mięsa. Spojrzał przez stół na Andreę i zdumiał się wytrzymałością żołądka swojego przyjaciela, która musiała stać za jego niemal już opróżnionym talerzem. Miller odwrócił oczy od stojącego przed nim talerza i ostrożnie łyknął wstrętnego czerwonego wina. Trzej sierżanci jak dotąd nawet nie spojrzeli na jedzenie, zbyt zajęci przyglądaniem się dziewczynie przy palenisku. Neufeld spostrzegł ich zainteresowanie i uśmiechnął się.

— Przyznaję, panowie, że w życiu nie widziałem piękniejszej dziewczyny, i Bóg jeden wie, jak by wyglądała po kąpiel. Ale ona nie dla was, panowie. Dla nikogo. Jest już poślubiona. — Przyjrzał się ich pytającym minom. — Nie mężczyźni. Ideałowi... jeżeli śmierć można nazwać ideałem. Ślubowała śmierć partyzantom.

— Milutka osóbką — mruknął Miller.

Nie było innych uwag, bo też nie było o czym mówić. Zjedli w ciszy, którą zakłócał jedynie cichy śpiew dobiegający od paleniska. Głos śpiewaka był nawet melodyjny, ale jego gitara, niestety, rozstrojona. Andrea odsunął od siebie pusty talerz, z irytacją popatrzył na niewidomego muzyka i zwrócił się do Neufelda.

— Co on takiego śpiewa? — spytał.

— Podobno starą bośniacką pieśń miłosną. Bardzo starą i bardzo smutną. W Anglii też ją śpiewacie. — Neufeld strzelił palcami. — Tak, mam. To „Dziewczyna, którą zostawiłem”.

— Niech pan mu każe zaśpiewać co innego — mruknął Andrea.

Neufeld spojrział na niego zaintrygowany i odwrócił głowę, gdyż właśnie wszedł niemiecki sierżant i nachyliwszy się, szepnął mu coś do ucha. Neufeld skinął głową i sierżant wyszedł.

— No tak — powiedział w zamyśleniu. — Zawiadomiono nas przez radio, że patrol znalazł wasz samolot. Zbiorniki rzeczywiście były puste. Chyba nie musimy czekać na potwierdzenie z Padwy, prawda, kapitanie Mallory?

— Nie całkiem rozumiem.

— Nieważne. Proszę mi powiedzieć, czy słyszał pan o generale Vukaloviciu?

— Jakim generale?

— Vukaloviciu.

— Nie jest po naszej stronie — rzekł z przekonaniem Miller. — Z takim nazwiskiem?!

— Z pewnością jesteście jedynymi w Jugosławii, którzy o nim nie słyszeli. Znają go tu wszyscy. Partyzanci, czetnicy, Niemcy, Bułgarzy, każdy. To jeden z jugosłowiańskich bohaterów narodowych.

— Podaj mi pan wina — powiedział Andrea.

— Radzę wam posłuchać — rzekł ostrym tonem Neufeld. — Vukalović dowodzi piechotą partyzancką w sile niemal dywizji, która od prawie trzech miesięcy siedzi schwytna w potrzasku w zakolu rzeki Neretwy. Vukalović, tak jak i ci, którymi dowodzi, jest szaleńcem. Oni zupełnie nie mają się gdzie skryć. Brakuje im broni, kończy im się amunicja i są bliscy śmierci z głodu. Ich wojsko jest odziane w łachmany. Są skończeni.

— To dlaczego nie uciekną? — spytał Mallory.

— Ucieczka jest niemożliwa. Od wschodu drogę odcinają im urwiska nad Neretwą. Od północy i zachodu nieprzebyte góry. Jedyne możliwe do pomyślenia wyjście jest na południu, przez most na Neretwie. A przy nim czekają nasze dwie dywizje pancerne.

— Nie ma żadnych wąwozów? — spytał Mallory. — Górskich przełęczy?

— Są dwa. Oba zablokowane przez nasze najlepsze oddziały bojowe.

— Więc dlaczego się nie poddadzą? — spytał sensownie Miller. — Nikt ich nie zaznajomił z regułami wojny?

— Mówię wam, to szaleńcy — oświadczył Neufeld. — Skończeni szaleńcy.

\* \* \*

Dokładnie w tej samej chwili Vukalović i jego partyzanci dowodzili innym Niemcom, do jak wyjątkowych granic posunęło się ich szaleństwo.

Przełęcz Zachodnia była wąskim, krętym, kamienistym wąwozem o urwistych ścianach, będącym jedynym przejściem przez nieprzebyte góry, które zamykały od wschodu Kocioł Zenicy. Już od trzech miesięcy jednostki niemieckiej piechoty, zasilone ostatnio przez rosnącą liczbę świetnie wyszkolonych oddziałów strzelców alpejskich, próbowały zdobyć ten przesmyk i od trzech miesięcy były odpierane w krwawych walkach. Ale Niemcy nigdy nie rezygnowali i tej przeraźliwie zimnej nocy, w świetle kapryśnie świecącego księżyca i pośród łagodnie, z przerwami sypiącego śniegu, podjęli kolejną próbę ataku.

Przeprowadzili go z chłodną zawodową biegłością i ekonomią działań zrodzoną z długiego i gorzkiego doświadczenia. Posuwali się wąwozem nacierając w trzech w miarę równych szeregach, podążających w słusznych odstępach. Połączenie trzech elementów — białych śnieżnych kombinezonów, wykorzystanie każdej najmniejszej osłony terenowej i ograniczenie szybkich krótkich skoków w przód jedynie do chwili, kiedy księżyc chował się za chmury — sprawiało, że prawie niepodobna było ich zobaczyć. Niemniej bez trudu można było ustalić, gdzie są, gdyż



mieli aż nadto dużo amunicji do pistoletów i karabinów, których lufy niemal bez przerwy błyskały ogniem. Prawie równie często, ale w pewnej odległości za nimi, przeraźliwy głuchy huk stojących w górach dział zdradzał pozycje przesuwającej się wolno artyleryjskiej zapory ogniowej, która poprzedzała Niemców na kamiennym stoku wąskiego wąwozu.

Jugosłowiańscy partyzanci czekali u jego wylotu, kryjąc się za redutą z głazów, pośpiesznie ułożonych w stos kamieni i rozłupanych pni drzew, które roztrząsał ogień niemieckiej artylerii. Chociaż śnieg był głęboki, a wschodni wiatr ostry i kłujący niczym szpilki, niewielu partyzantów miało płaszcze. Ubrani byli w zdumiewająco różnorodny mundur, mundury, które w przeszłości należały do żołnierzy angielskich, niemieckich, włoskich, bułgarskich i jugosłowiańskich, a jedyną ich cechą wspólną były czerwone gwiazdy, naszyte z prawej strony furazerek. Przeważnie cienkie, postrzępione mundury nie za dobrze chroniły ich przed dojmującym zimnem, dlatego drżeli prawie nieustannie. Zdumiewająco wielu spośród nich było rannych — wszędzie widziało się nogi w łubkach, ręce na temblakach, obandażowane głowy. Ale najczęstszą cechą wspólną u tej zbieraniny broniących się obdartusów były ich ściągnięte, wymizerowane twarze, na których głębokie, wyżłobione przez głód bruzdy mogły się równać tylko ze spokojem i całkowitą determinacją ludzi, którzy nie mają już nic do stracenia.

W pobliżu środka tej grupy obrońców stało dwóch mężczyzn, schowanych za grubym pniem jednej z niewielu ocalałych sosen. Łatwo było rozpoznać posrebrzone czarne włosy i głęboko pobrużdżoną — a w tej chwili jeszcze bardziej wyczerpaną — twarz generała Vukalovicia. Ale jego ciemne oczy błyszczały mocno jak zawsze, kiedy nachylił się, by przyjąć papierosa i ogień od dzielącego z nim tę kryjówkę oficera, śniadego majora z haczykowatym nosem i czarnymi włosami, z których co najmniej połowę skrywał zakrwawiony bandaż. Vukalović uśmiechnął się.

— Naturalnie, że jestem szalony, drogi Stefanie. I ty też jesteś szalony... Bo w przeciwnym razie oddałbyś tę pozycję wiele tygodni temu. Wszyscy jesteśmy szaleni. Nie wiedziałeś o tym?

— Wiem. — Major Stefan przesunął wierzchem dłoni po tygodniowym zarście na brodzie. — Wylądowałeś tu na spadochronie przed godziną... to było szaleństwo. Przecież... — Urwał, bo o parę stóp od nich wystrzelił karabin, i podszedł do chudego, niespełna siedemnastoletniego chłopca, który patrzył w dół na bielejący w mroku wąwóz przez celownik lee-enfielda. — Trafiłeś go? — spytał.

Chłopak odwrócił się i podniósł wzrok. Dzieciak, pomyślał z rozpaczą Vukalović, jeszcze dzieciak, który nadal powinien chodzić do szkoły!

— Nie jestem pewien, panie majorze — odparł chłopiec.

— Ile pocisków ci zostało? Policz je?

— Nie muszę. Siedem.

— Nie strzelaj, dopóki nie będziesz pewny, że trafisz. — Stefan obrócił się do Vukalovicia. — Mój Boże, omal nie wpadłeś w ręce Niemców.

— Gorzej bym wyszedł, nie mając tego spadochronu — odparł spokojnie Vukalović.

— Jest tak mało czasu. — Stefan uderzył w dłoń zaciśniętymi w pięść palcami. — Tak mało go zostało. Twój powrót tutaj to szaleństwo. Znacznie bardziej potrzebują cię...

Urwał raptownie, przez ułamek sekundy nasłuchiwał, rzucił się na Vukalovicia i razem zwalili się ciężko na ziemię, a gwizdzący pocisk moździerzowy zarył się parę metrów od nich wśród luźnych kamieni i wybuchł w zderzeniu z ziemią. Ktoś w pobliżu krzyknął z bólu. Spadł drugi pocisk z moździerza, trzeci, czwarty — wszystkie w niespełna dziesięciometrowych odstępach.

— Dobrze się wstrzelali, przekłęci. — Stefan podniósł się prędko i spojrzał w wąwóz. Przez długie sekundy nie widział nic, bo tarczę księżycy przysłoniła ciemna chmura, jednakże kiedy księżyc zza niej wyszedł, major ujrzał wroga aż nadto wyraźnie. Na jakiś, prawie na pewno wcześniej ustalony sygnał, Niemcy w ogóle przestali się kryć i w tej chwili pędzili tak szybko, jak tylko mogli, wspinając się ciężko po stoku, z karabinami w pogotowiu, a kiedy tylko zaświecił księżyc, nacisnęli spusty. Stefan padł na ziemię, kryjąc się za głazem. — Teraz! — krzyknął. — Teraz!

Pierwsza nierówna palba partyzantów trwała zaledwie kilka sekund, po czym dolinę spowił czarny cień. Strzelanina ustała.

— Strzelajcie dalej! — krzyknął Vukalović. — Nie przerywać ognia! Podchodzą. — Wystrzelił serię ze swojego pistoletu maszynowego i powiedział do Stefana: — Ci w dole wiedzą co robią.

— Powinni. — Stefan odbezpieczył ręczny granat i rzucił go w dół. — Po takiej lekcji, jaką od nas dostali.

Znów zaświecił księżyc. Pierwsi niemieccy piechurzy znajdowali się najwyższej dwadzieścia pięć metrów od nich. Obie walczące strony obrzuciły się granatami i ostrzelały z najbliższej odległości. Część niemieckich żołnierzy padło, ale znacznie więcej poszło dalej, rzucając się na partyzancką redutę. Chwilowo wszystko się zmieszało. Gdzieniegdzie rozgorzały zaciekle walki wręcz. Żołnierze krzyczeli na siebie, klęli, zabijali się nawzajem. Ale reduta nie padła. Raptem księżyc znów zakryły ciężkie, ciemne chmury, wąwóz utonął w mroku i powoli wszystko ucichło. Odległy grzmot artylerii i ognia moździerzy ścichł do głuchego pomruku, a w końcu zamilkł.

— Czy to podstęp? — spytał cicho Vukalović. — Myślisz, że znów zaatakują?

— Nie dziś — odparł z przekonaniem Stefan. — To wprawdzie dzielni żołnierze, ale...

— Ale nie szaleńcy?

— Ale nie szaleńcy.

Z ponownie otwartej rany po twarzy Stefana ciekła krew, ale się uśmiechnął. Wstał i obrócił się, bo podszedł do niego krzepki sierżant i krótko zasalutował.

— Odeszli, panie majorze — zameldował. — Tym razem straciliśmy siedmiu naszych, a czternastu zostało rannych.

— Na dole, dwieście metrów stąd, wystaw posterunki — polecił Stefan. — Słyszałeś? — spytał, obracając się w stronę Vukalovicia. — Siedmiu zabitych. Czternastu rannych.

— A ilu zostało?

— Dwustu. Może dwustu pięciu.

— Z czterystu. — Vukalović wykrzywił usta. — Mój Boże, z czterystu.

— A sześćdziesięciu z nich jest rannych.

— Teraz przynajmniej możesz ich odesłać do szpitala.

— Nie ma szpitala — odparł ze smutkiem Stefan — nie miałem czasu ci o tym powiedzieć. Dziś rano go zbombardowali. Obaj lekarze zginęli. Wszystkie zapasy medykamentów poszły w diabły! W jednej chwili.

— Przepadły? Wszystkie? — Vukalović zamilkł na dłuższą chwilę. — Trochę wam przyślą z dowództwa. Ranni, którzy mogą chodzić, dojdą do bazy o własnych siłach.

— Ranni stąd nie odejdą. Nie zechcą.

Vukalović ze zrozumieniem skinął głową.

— Ile macie amunicji? — spytał.

— Na dwa dni. Trzy, jeśli się postaramy.

— Sześćdziesięciu rannych. — Vukalović wolno z niedowierzaniem potrząsnął głową. — Bez żadnej pomocy medycznej. Amunicja na wyczerpaniu. Bez jedzenia. Bez dachu nad głową. I nie odejdą? Czy oni też oszaleli?

— Tak jest.

— Schodzę nad rzekę — oznajmił Vukalović. — Zobaczyć się w kwaterze głównej z pułkownikiem Laszlą.

— Tak, generale. — Stefan uśmiechnął się blado. — Wątpię, czy uznasz go za bardziej poczytalnego ode mnie.

— Nie sądzę — odparł Vukalović.

Stefan zasalutował, odwrócił się, ścierając z twarzy krew zrobił kilka krótkich chwiejnych kroków i przykląkł, by dodać otuchy ciężko rannemu partyzantowi. Vukalović patrzył za nim z twarzą bez wyrazu, potrząsając głową, a potem także on odwrócił się i odszedł.

\* \* \*

Mallory skończył się posilać i zapalił papierosa.

— Więc co się stanie z partyzantami z tego, jak pan go nazywa, Kotła Zenicy? — spytał.

— Zechcą się z niego wyrwać — odparł Neufeld. — A przynajmniej spróbują to zrobić.

— Ale sam pan powiedział, że to niemożliwe.

— Dla tych szalonych partyzantów nic nie jest aż tak niemożliwe, by tego nie spróbowali — odparł Neufeld. — Dałby Bóg — dodał z goryczą — żebyśmy prowadzili normalną walkę z normalnymi ludźmi, takimi jak Anglicy, czy Amerykanie. W każdym razie mamy wiadomość — wiarygodną wiadomość — że próba wyrwania się z Kotła jest już blisko. Sęk w tym, że są tu dwie przełęcze — chociaż oni zdolni są nawet próbować przebić się przez most na Neretwie — my zaś nie wiemy, którądy to nastąpi.

— Bardzo ciekawe. — Andrea spojrział z irytacją na niewidomego grajka, który wciąż śpiewał tą samą bośniacką starą pieśń miłosną. — Możemy się teraz trochę przespać?

— Niestety, nie dziś. — Neufeld i Droszny wymienili uśmiechy. — Zdobędziecie dla nas informację, którądy będą się przebijać partyzanci.

— My? — Miller opróżnił szklankę i sięgnął po butelkę. — Szaleństwo to rzecz zaraźliwa.

Możliwe, że Neufeld nie dosłyszał tej uwagi.

— Kwatera partyzantów znajduje się z dziesięć kilometrów stąd. Zgłosicie się tam jako członkowie prawdziwej angielskiej misji wojskowej, którzy zabłądzili. A kiedy poznacie ich plany, oznajmicie, że jedziecie do ich komendy głównej w Drvarze, czego oczywiście nie zrobicie. Zamiast tego natychmiast powrócicie tutaj. Cóż łatwiejszego.

— Miller ma rację — rzekł z przekonaniem Mallory. — Pan rzeczywiście oszalał!

— Dochodzę do wniosku, że w ogóle za dużo mówimy tu o szaleństwie. — Neufeld uśmiechnął się. — A może wolelibyście, żeby kapitan Droszny przekazał was swoim ludziom? Zapewniam, że ogromnie zasmucił ich los... hmm... zmarłego towarzysza.

— Pan nie może tego od nas żądać! — odparł w zapiekłym gniewie Mallory. — Partyzanci na pewno dostaną o nas wiadomość przez radio. Prędzej czy później. A wtedy... pan wie, co się wtedy stanie. Pan po prostu nie może tego od nas żądać!

— Mogę i zażadam — odparł Neufeld, bez sympatii przyglądając się Mallory'emu i piątce jego towarzyszy. — Tak się składa, że nie lubię tych, co handlują lekarstwami i narkotykami.

— Wątpię, czy pańska opinia wiele waży w pewnych kręgach — rzekł Mallory.

— To znaczy?

— Dyrektorowi wywiadu wojskowego Kesselringa bynajmniej się ona nie spodoba.

— Jeżeli nie wrócicie, o niczym się nie dowiedzą. A jeżeli wrócicie... — Neufeld uśmiechnął się i dotknął Żelaznego Krzyża na szyi — najprawdopodobniej dodadzą mi do niego Liście Dębu.

— Sympatyczny gość, no nie? — odezwał się, nie wiadomo do kogo, Miller.

— A więc chodźmy. — Neufeld wstał od stołu, — Petar?

Niewidomy śpiewak skinął głową, przewiesił gitarę przez ramię i wstał, a jego siostra wraz z nim.

— O co chodzi? — spytał Mallory.

— To przewodnicy.

— Tych dwoje?!

— No, przecież sami nie znajdziecie tu sobie tak łatwo drogi, prawda? — rzekł logicznie Neufeld. — Petar i jego siostra — a właściwie ona — znają Bośnię lepiej od miejscowych lisów.

— Ale czy partyzanci nie... — zaczął Mallory, ale Neufeld przerwał mu.

— Pan nie zna Bośni. Tych dwoje wędruje tu wszędzie bez najmniejszych przeszkód i nikt ich nie odprawi od drzwi. Bośniacy wierzą, a Bóg świadkiem, że nie bez racji, iż oni są przeklęci i obrzuceni urokiem. To kraj przesądów, kapitanie Mallory.

— Ale... ale skąd będą wiedzieć, dokąd nas zaprowadzić?

— Będą wiedzieć. — Neufeld skinął głową Drosznemu, ten powiedział coś szybko po serbskokochochwacku do Marii, ona zaś z kolei przemówiła do Petara, który wy dobył z gardła jakieś dziwne dźwięki.

— Dziwny język — skomentował Miller.

— Petar ma wadę wymowy — wyjaśnił krótko Neufeld. — Już się z nią urodził. Umie śpiewać, ale nie mówić — są takie wypadki. Dziwi was, że ludzie uważają ich za przeklętych? — obrócił się w stronę Mallory'ego. — Niech pan zaczeka ze swoimi ludźmi przed barakiem.

Mallory skinął głową i dał znak pozostałym, żeby wyszli przed nim. Spostrzegł, że Neufeld natychmiast wdał się w przyciszoną wymianę zdań z Drosznym, który skinął głową, przywołał jednego z czetników i wysłał go z jakimś poleceniem. Znalazszy się przed barakiem, Mallory odsunął się z Andream nieco od reszty i szepnął mu do ucha coś, czego nie dosłyszeli, a na co Grek prawie nie dostrzegalnie skinął głową.

Z baraku wyłonili się Neufeld i Droszny, a za nimi Maria, prowadząca za rękę Petara. Gdy zbliżali się do grupki Mallory'ego, Andrea niedbałym krokiem podszedł do nich, paląc swoje nieodłączne cygaro. Wrósł w ziemię przed zaskoczonym Neufeldem i zuchwale dmuchnął mu dymem w twarz.

— Pan mi się niezbyt podoba, kapitanie Neufeld — oznajmił i spojrzał na Drosznego. — A ten handlarz noży również.

Neufeld w jednej chwili poczerwieniał, a twarz ściągnęła mu się z gniewu. Ale szybko się opanował.

— Nie obchodzi mnie ani trochę, co pan sobie o mnie myśli — odparł, powstrzymując wybuch. — Ale radzę panu nie wchodzić w drogę kapitanowi Drosznemu, przyjacielu. To dumny Bośniak... A na Bałkanach nie ma sobie równych we władaniu nożem.

— Nie ma sobie równych... — Andrea ryknął śmiechem i dmuchnął Drosznemu dymem prosto w twarz. — Ten szlifierz noży rodem z opery komicznej?

Droszny kompletnie osłupiał, ale na krótko. Obnażył zęby tak, że nie powstydziliby się tego żaden bośniacki wilk, zamaszystym ruchem wyciągnął z pochwy przy pasie paskudnie zakrzywiony nóż i rzucił się na Andreę, zadając od dołu hakowaty cios, ale Greka, którego rozważę w działaniu przewyższała tylko nadzwyczajna szybkość ruchów, z jaką przemieszczał swe potężne ciało, już nie było tam, gdzie trafiło ostrze. Była tam za to jego ręka. Pochwycił nią śmigającą w górę jak błyskawica dłoń Drosznego za przegub i niemal natychmiast potem dwaj potężni mężczyźni zwalili się ciężko na ziemię, tocząc się w śniegu i walcząc o nóż.

Walka pomiędzy nimi rozpętała się tak raptownie, z tak niespodziewaną, niewiarygodną prędkością, że przez kilka sekund wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię. Trzech młodych sierżantów, Neufeld i czetnicy mieli kompletnie osłupiałe miny. Mallory, który stał tuż za plecami wielkookiej dziewczyny, potarł w zadumie podbródek, a Miller przyglądał się tej scenie z zaciekawieniem, lekko zblazowany, subtelnie strząsając popiół z papierosa.

Niemal w tej samej chwili Reynolds, Groves i dwóch czetników doskoczyło do walczących, próbując ich rozdzielić. Udało im się to dopiero przy pomocy Saundersa i Neufelda. Drosznego i Andreę postawiono na nogi — pierwszy miał wykrzywioną twarz, a w oczach nienawiść, Andrea zaś ze spokojem powrócił do palenia cygara, które w sobie tylko wiadomy sposób odnalazł, gdy ich rozdzielono.

— Ty wariacie! — naskoczył na niego z furią Reynolds. — Jesteś obłąkany! Jesteś... przeklętym psychopata! Byłbyś nas wszystkich zabił.

— Wcale bym się tym nie dziwił — rzekł w zamyśleniu Neufeld.

— Chodźmy. Dość tych głupstw.

Wyprowadził ich z obozowiska, a po drodze dołączyła do nich grupka czetników, niewątpliwie pod dowództwem młodziana z rzadką rudą brodą i zezującym okiem, pierwszego czetnika, który ich powitał po wylądowaniu.

— Co to za ludzie i co tu robią? — spytał Mallory Neufelda. — Nie pójda z nami.

— To eskorta — wyjaśnił Neufeld. — Tylko na pierwsze siedem kilometrów.

— Eskorta? A po co nam eskorta? Z waszej strony przecież nic nam nie grozi, ani też, jak pan twierdzi, ze strony jugosłowiańskich partyzantów.

— Nie obawiamy się o wasz los — odparł kostycznie Neufeld. — Obawiamy się o pojazd, którym przejedziecie większą część drogi. Pojazdów w tej części Bośni jest niewiele i są bardzo cenne, a kręcą się tu liczne partyzanckie patrole.

W dwadzieścia minut później, pośród bezksiężycowej nocy i padającego śniegu, dotarli do drogi, która była najzwyczajszym traktem, wijącym się po dnie zalesionej doliny. Czekala tam na nich jedna z najdziwniejszych czterokołowych machin, jakie Mallory i jego towarzysze widzieli w życiu — niewiarygodnie wielkawa, niemiłosiernie poobijana ciężarówka, która na pierwszy rzut oka, sądząc z unoszących się z niej kłębow dymu, płonęła. W rzeczywistości był to mocno przedwojenny wehikuł napędzany parą, niegdyś rozpowszechniony na Bałkanach. Miller ze zdumieniem przyjrzał się spowitej dymem ciężarówce i zwrócił się do Neufelda.

— Pan to nazywa pojazdem? — spytał.

— Może pan to sobie nazywać jak chce. Chyba że wolicie iść na piechotę.

— Dziesięć kilometrów? To już wolę narazić się na uduszenie.

Miller wdrapał się na ciężarówkę, reszta za nim, aż wreszcie na zewnątrz pozostali tylko Neufeld z Drosznym.

— Oczekuję, że wrócie jutro przed południem — powiedział Neufeld.

— Jeżeli w ogóle wrócimy — odparł Mallory. — Jeśli przesłano przez radio wiadomość...

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą — odrzekł obojętnie Neufeld.

Z potężnym grzechotem, trzęsąc się, dymiąc i wypuszczając parę, wśród obfitego akompaniamentu kaszlu tych, którzy z zaczerwienionymi oczami siedzieli na jej osłoniętej brezentem skrzyni, ciężarówka szarpnęła bez przekonania ruszając i potoczyła się wolno dnem doliny. Neufeld i Droszny patrzyli za nią.

— Szczwane lisy — powiedział Neufeld, kręcąc głową.

— Bardzo szczwane lisy — przyznał Droszny. — Ale chcę dostać tego dużego, kapitanie.

Neufeld klepnął go w ramię.

— Dostaniesz go, przyjacielu — przyrzekł. — No, już ich nie widać. Czas na pana.

Droszny skinął głową i przeraźliwie zagwizdał na palcach. Z oddali doleciał warkot zapalanego silnika, a wkrótce potem zza kępy sosen wyłonił się stary fiat, nadjechał po ubitym śniegu głośno dzwoniąc łańcuchami przeciwnieżnymi i zatrzymał się przy dwóch mężczyznach. Droszny zajął siedzenia obok kierowcy i wóz ruszył śladami ciężarówki.

## V. Piątek, godz. 03:30-05:00

Czternastu ludzi stłoczonych na wąskich bocznych ławkach pod brezentową budą ciężarówki w żaden sposób nie mogło nazwać tej jazdy przyjemną. Na siedzeniach nie było poduszek, pojazd nie miał najwyraźniej żadnych resorów, a źle umocowana plandeka przepuszczała do środka w równych proporcjach olbrzymie ilości lodowatego nocnego powietrza i szczypiącego w oczy dymu. Mallory pomyślał, że przynajmniej skutecznie pomaga im to nie zasnąć.

Naprzeciwko niego siedział Andrea, na którym gęsta dusząca atmosfera pod budą ciężarówki nie robiła żadnego wrażenia, co wcale nie było zaskoczeniem, jeśli zważyć, że gryzący i natrętny dym z pojazdu był drobiazgiem wobec wyziewów czarnego cygara, które Grek ścisnął w zębach. Andrea leniwie spojrzął przed siebie i pochwycił wzrok Mallory'ego. Mallory skinął mu głową, a był to ruch tak nieznaczny, że uszedłby uwagi nawet najbardziej podejrzliwych. Andrea wolno spuścił oczy i zatrzymał wzrok na prawej, swobodnie spoczywającej na kolanie ręce przyjaciela. Mallory oparł się plecami o burtę i westchnął, a jego prawa ręka zaczęła się ześlizgiwać w dół, aż jej kciuk wskazał wprost na podłogę. Andrea wydmuchnął z ust kolejną, godną Wezuwiusza chmurę gryzącego dymu i obojętnie odwrócił wzrok.

Grzechocząca, zgrzytająca, spowita dymem ciężarówka przez kilka kilometrów jechała dnem doliny, aż wreszcie skręciła w lewo na jeszcze węższy szlak i zaczęła piąć się w górę. W niecałe dwie minuty potem, jadący za nią fiat, który wiózł na przednim siedzeniu Drosznego, wykonał ten sam skręt.

Stok był w tym miejscu tak stromy, a koła ciężarówki traciły na oblodzonej nawierzchni tyle siły napędowej, że wiekowy napędzany drewnem i parą wehikuł jechał w tempie niewiele szybszym od spacerowego. Jadący nim Andrea i Mallory jak zwykle czuwali, ale Miller i trzech sierżantów chyba się zdrzemnęli, trudno powiedzieć, ze zmęczenia, czy też z powodu pierwszych skutków zezadzenia. Siedzący przy sobie Petar i Maria zapewne spali. Natomiast Czetnicy chyba nie mogli już być bardziej rozbudzeni niż w tej chwili i po raz pierwszy przestali się kryć z tym, że rozdarcia i dziury w brezentowej plandecie nie powstały przypadkowo. Sześciu ludzi Drosznego klęczało bowiem na ławach, wystawiając lufy pistoletów maszynowych przez dziury w brezencie. Było jasne, że ciężarówka przejeżdża przez tereny partyzanckie, a przynajmniej przez ziemię niczyją na tym dzikim, surowym terytorium.

Czetnik klęczący na samym przodzie nagle oderwał twarz od dziury w plandecie i kolbą pistoletu zastukał w szoferkę. Ciężarówka charcząc zahamowała z ulgą. Rudobrody czetnik zeskoczył na ziemię, rozejrzał się szybko, czy nie ma zasadzki, a potem pokazał innym, by wysiedli, wielokrotnymi ponaglającymi ruchami ręki jasno dając do zrozumienia, że nie uśmiecha mu się marudzić w takim



miejscu ani chwili dłużej, niż to niezbędne. Jeden po drugim Mallory i towarzysze zeskoczyli w zmarznięty śnieg. Reynolds pomógł zsiąść na ziemię niewidomemu śpiewakowi i wyciągnął rękę, chcąc pomóc jego gramolącej się przez tylną klapę siostrze. Bez słowa odtrąciła jego dłoń i zgrabnie zeskoczyła. Zdziwiony Reynolds popatrzył na nią z urazą. Mallory spostrzegł, że ciężarówka zatrzymała się na wprost leśnej polany. Cofając się, manewrując i wypuszczając jeszcze gęstsze kłęby dymu, wykorzystwała tę wolną przestrzeń, by w nadzwyczaj krótkim czasie zawrócić, i z brzękiem potoczyła się w dół leśnym duktem z prędkością znacznie większą niż przy wjeździe. Czetnicy gapili się beznamiętnie ze skrzyni odjeżdżającego pojazdu, bez jednego gestu pożegnania.

Maria wzięła Petara za rękę, spojrzała chłodno na Mallory'ego, gwałtownie odwróciła głowę i ruszyła małą ścieżynką biegnącą prostopadle do szlaku. Mallory wzruszył ramionami i też zaczął iść, a za nim trzech sierżantów. Andrea i Miller przez kilka chwil stali w miejscu, patrząc w zamyśleniu na zakręt, za którym właśnie zniknęła ciężarówka. A potem ruszyli także oni, rozmawiając przyciszonymi głosami.

\* \* \*

Wiekowa, napędzana parą ciężarówka niedługo zachowała początkowy rozpęd. Niespełna czterysta metrów za zakrętem, osłaniającym ją przed wzrokiem Mallory'ego i towarzyszy, zahamowała i stanęła. Dwóch czetników, rudobrody dowódca eskorty i drugi, z czarną brodą, przeskoczył poprzez klapę jej skrzyni i natychmiast skryło się w lesie. Ciężarówka znów zagrzechotała, a w mroźnym nocnym powietrzu zawisła ciężka chmura buchającego z niej dymu.

Kilometr dalej na tej samej drodze rozegrała się niemal identyczna scena. Fiat zatrzymał się, ślizgając, Droszny pośpiesznie opuścił siedzenie dla pasażera i zniknął między sosnami. Fiat szybko zawrócił i odjechał drogą.

\* \* \*

Ścieżka biegnąca w górę po gęsto zalesionym stoku była bardzo wąska i kręta, a śnieg na niej już nie ubity, a miękki, głęboki i bardzo utrudniający marsz. Księżyc nie świecił, wschodni wiatr dmuchał im w twarze coraz gęstszym śniegiem, a mróz był siarczysty. Ścieżka często się rozwidlała, lecz idąca z bratem na czele pochodu Maria nie zawahała się ani razu — wiedziała dokładnie, a przynajmniej sprawiała wrażenie, że wie, dokąd zmierza. Kilkakrotnie potknęła się w głębokim śniegu, ostatnim razem tak mocno, że pociągnęła za sobą brata. Kiedy zdarzyło się to znowu, Reynolds podskoczył do niej i chwycił pod ramię, chcąc pomóc. Ale wściekle targnęła ręką i wyrwała mu się. Reynolds popatrzył na nią

zdumiony, a potem zwrócił się w stronę Mallory'ego.

— O co jej, do diabła, chodzi... Przecież ja tylko chciałem pomóc...

— Zostawcie ją, sierżancie — poradził Mallory. — Dla niej jesteście jednym z nich.

— Jestem jednym z...

— Nioscie angielski mundur. Do tej bieduli tylko to dociera. Zostawcie ją samej sobie.

Reynolds potrząsnął głową, jakby nie był w stanie tego pojąć. Umocował bezpieczniej plecak na ramionach, obejrzał się za siebie na ścieżkę, przygotował do marszu, a potem obejrzał jeszcze raz. Pochwyił Mallory'ego za ramię i wskazał ręką.

Andrea pozostał już trzydzieści metrów w tyle. Uginając się pod ciężarem plecaka, schmeissera i lat, najwyraźniej miał spore kłopoty ze wspinaczką i z sekundy na sekundę zostawał coraz bardziej z tyłu. Na znak i wezwanie Mallory'ego reszta oddziału zatrzymała się i spojrzała za siebie przez gęsto sypiący śnieg, czekając aż Andrea ich dogoni. Andrea jednak zaczął się już zataczać jak pijany i chwycił się za bok, jakby go rozboleł. Reynolds spojrzał na Grovesa, obaj popatrzyli na Saundersa i cała trójka wolno potrząsnęła głowami. Andrea dogonił ich i przez twarz przebiegł mu skurcz bólu.

— Przepraszam — wysapał ochryple. — Za chwilę dojdę do siebie.

Saunders zawahał się, a potem podszedł do niego. Uśmiechnął się przepraszająco i wyciągnął rękę, wskazując na plecak i schmeisser.

— No, ojczulku. Daj, poniosę. Przez ułamek sekundy na twarzy Andrei zabłysła, bardziej wyobrażona, niż widoczna, groźba, jednakże strząsnął plecak z ramion i oddał go znużonym ruchem. Saunders wziął od niego plecak i badawczo wskazał na schmeisser.

— Dzięki. — Andrea uśmiechnął się blado. — Ale bez niego czuję się zagubiony.

Niepewnie podjęli wspinaczkę, często oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Grek. Ich obawy były usprawiedliwione. Po trzydziestu sekundach Andrea przystanął, mocno zacisnął powieki i zgiął się niemal wpół z bólu.

— Muszę odpocząć... — wysapał. — Idźcie. Dogonię was.

— Zostanę z tobą — powiedział zatroskany Miller.

— Nie potrzebuję nikogo do pomocy — odburknął Andrea. — Sam sobie poradzę.

Miller nic na to nie powiedział. Spojrzał na Mallory'ego i raptownie wskazał głową w górę. Mallory odpowiedział mu pojedynczym skinieniem głowy i dał znak dziewczynie. Z ociąganiem ruszyli dalej, pozostawiając Andreę i Millera z tyłu. Reynolds dwukrotnie obejrzał się przez ramię z miną, która była dziwną mieszanką troski i rozdrażnienia, potem jednak wzruszył ramionami i gorliwie zaczął się

wspinać po stoku.

Andrea, z gradową miną, wciąż trzymając się za żebra, pozostawał zgięty w pół aż do chwili, gdy ostatni z grupy zniknął za najbliższym zakrętem w górze, wtedy zaś wyprostował się bez wysiłku, poślinionym palcem wskazującym zbadał kierunek wiatru, ustalił, że wieje w górę szlaku, wyjął cygaro, zapalił je i z wyraźnym zadowoleniem wydmuchał dym. Jego nagłe ozdrowienie było zdumiewające, ale na Millerze nie zrobiło najmniejszego wrażenia, bo uśmiechnął się tylko i wskazał głową w dół. Andrea odpowiedział mu uśmiechem i uprzejmym gestem zaprosił go, by szedł pierwszy.

Trzydzieści metrów niżej, w miejscu, skąd nic nie zasłaniało im widoku na prawie stumetrowy odcinek drogi w dole, schowali się za pniem olbrzymiej sosny. Stali tam około dwóch minut, wpatrując się w dół i czujnie nasłuchując, kiedy raptem Andrea skinął głową, schylił się i pieczołowicie odłożył cygaro na odsłoniętą suchą pięć ziemi za pniem sosny.

Nie zamienili ani słowa — nie musieli. Miller przeczołgał się, okrążając pień, przed sosną i starannie ułożył się w głębokim śniegu w pozycji orła, z szeroko rozpostartymi rękami i nogami, z twarzą zwróconą w stronę bez wątpienia oślepiającego oczy śniegu. Za sosną, Andrea obrócił schmeisser w rękach, chwytając go za lufę, z zakamarków munduru wydobył nóż i zatknął go za pas. Obaj z Millerem zastygli w bezruchu, jakby umarli i zamarli na kość podczas długiej, srogiej jugosłowiańskiej zimy.

Prawdopodobnie dlatego, że Miller tak głęboko zapadł się w śnieg w pozycji orła, iż prawie cały się skrył, zauważył dwóch czetników znacznie wcześniej niż oni jego. Najpierw byli zaledwie dwoma bezkształtnymi, niewyraźnymi, przypominającymi duchy postaciami wolno wyłaniającymi się spośród padającego śniegu. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznał w nich dowódcę eskorty czetników i jednego z jego podwładnych.

Zobaczyli Millera dopiero wówczas, gdy znaleźli się nie- całe trzydzieści metrów od niego. Zatrzymali się, przyjrzeni, na co najmniej pięć sekund zamarli, wymienili spojrzenia, zdjęli pistolety maszynowe i potykając się puścili biegiem pod górę. Miller zamknął oczy. Nie musiał patrzeć, bo o wszystkim, co chciał wiedzieć, informowały go uszy — zbliżające się skrzypiące kroki na śniegu, ich raptowne zamilknięcie, sapanie mężczyzny, który się nad nim pochylił.

Miller odczekał, aż poczuje na twarzy oddech tamtego, a wtedy otworzył oczy. Niespełna trzydzieści centymetrów od twarzy ujrzał oczy rudobrodego czetnika. Rozpostarte ręce Amerykanina zatoczyły łuk w górę zbiegając się, a jego mocne, zakrzywione palce wpiły się w gardło zaskoczonego mężczyzny, który się nad nim pochylił.

Nim Andrea bez najmniejszego szmeru wyłonił się cały zza pnia sosny, schmeisser, którym się zamachnął, osiągnął już najniższy punkt swojej amplitudy.

Czarnobrody czetnik właśnie ruszał na pomoc koledze, kiedy kątem oka zauważył Greka i wyrzucił ręce w górę, chcąc zasłonić się przed ciosem. Z równym skutkiem mógłby się zasłaniać dwiema słomkami. Andrea skrzywił się od samego wstrząsu przy uderzeniu, upuścił schmeisser, wyjął nóż i runął na drugiego czetnika, rozpaczliwie szamocącego się w uścisku Millera.

Miller wstał i wraz z Grekiem wpatrzył się w dwóch zabitych. Zaintrygowany przyjrzał się rudobrodemu, a potem nieoczekiwanie schylił się, chwycił go za brodę i pociągnął. Broda została mu w ręku, odsłaniając wygoloną twarz i bliznę, która biegła od kącika ust do podbródka czetnika.

Andrea i Miller wymienili domyślne spojrzenia, ale żaden nie skomentował tego faktu. Odciągnęli dwóch zabitych kawałek od ścieżki i ukryli w leśnym podszyciu. Andrea podniósł suchą gałąź, zamiótł nią śnieg ze śladami po ciągniętych ciałach i potyczce u stóp sosny. Wiedział, że za godzinę ślady jego zamiatania znikną pod świeżym śniegiem. Wziął z ziemi odłożone cygareto i cisnął gałąź daleko między drzewa. Nie oglądając się za siebie dwaj mężczyźni zaczęli żwawo wspinać się na wzgórze.

Było mało prawdopodobne, żeby obejrząwszy się, dostrzegli twarz wyglądającą zza pnia drzewa w niższej partii wzgórza. Droszny dotarł do zakrętu ścieżki w samą porę, żeby ujrzeć, jak Andrea kończy zacierać ślady i wyrzuca gałąź, ale nie mógł się domyślić, co to wszystko znaczy.

Zaczekał, aż tamci dwaj znikną z oczu, dla bezpieczeństwa i całkowitej pewności odczekał jeszcze dwie minuty, a wówczas pośpieszył ścieżką, z tyleż zdeorientowaną, co podejrzliwą miną na śniadej, bandyckiej twarzy. Doszedł do sosny, gdzie wpadli w pułapkę dwaj czetnicy, krótko obejrzał teren, potem zaś ruszył po śladach zamiatania na śniegu prowadzących w las i dezorientacja na jego twarzy wprawdzie ustąpiła miejsca samej podejrzliwości, a ta całkowitej pewności.

Rozsunął krzaki i popatrzył na dwóch czetników, którzy leżeli na wpół pogrzebani w wypełnionej śniegiem rozpadlinie w tak dziwnie bezkształtnych pozach, jakie mogą przybrać tylko martwi. Po kilku chwilach wyprostował się, odwrócił i spojrzał w górę wzgórza tam, gdzie zniknęli Andrea z Millerem. Jego twarz nie była miłym widokiem.

Andrea i Miller wspięli się na wzgórze w dobrym tempie. Kiedy zbliżali się do jednego z niezliczonych zakrętów ścieżki, z przodu dobiegło ich ciche granie gitary, dziwnie stłumione i ściszone w tonie przez padający śnieg. Andrea zwolnił, wyrzucił cygareto, pochylił się i chwycił za zebrę. Miller troskliwie wziął go pod ramię.

Zobaczyli, że główna grupa jest niecałe trzydzieści metrów przed nimi. Oni także zwolnili tempo marszu — głęboki śnieg i biegnąca coraz bardziej stromo ścieżka uniemożliwiały szybsze posuwanie się. Reynolds obejrzał się — poświęcał na to bardzo wiele czasu i sprawiał wrażenie zaniepokojonego — dostrzegł Andreego

i Millera, zawołał do Mallory'ego, a ten zatrzymał grupę i zaczął, aż tamci dwaj ich dogonią. Z troską spojrzął się na Andreę.

— Czujesz się gorzej? — zagadnął.

— Daleko jeszcze? — spytał chrapliwie Andrea.

— Na pewno mniej niż mila.

Andrea nic na to nie powiedział, a tylko stał, ciężko dysząc, z udręczoną miną chorego, który rozważa perspektywę przejścia jeszcze jednej mili pod górę przez głęboki śnieg. Saunders, który już i tak dźwigał dwa plecaki, podszedł do niego nieśmiało z propozycją.

— Wiesz, byłoby lepiej, gdybyś... — zaczął.

— Wiem. — Andrea uśmiechnął się boleśnie, zsunął z ramienia schmeisser i wręczył go Saundersowi. — Dziękuję ci, synu.

Petar wciąż cicho brzdąkał na gitarze, której dźwięki brzmiały nieopisanie dziwnie w ciemnym widmowym sosnowym lesie. Miller spojrzął na grajka i spytał Mallory'ego:

— Po co nam muzyka podczas marszu?

— To pewnie hasło rozpoznawcze Petara.

— Tak jak twierdził Neufeld? Że nikt nie tyka naszego śpiewającego czetnika?

— Coś w tym guście.

Ruszyli ścieżką dalej. Mallory przepuścił innych i znalazł się przy zamykającym pochód Andrei. Bez zainteresowania spojrzął na przyjaciela, okazując zaledwie umiarkowane zatroskanie jego stanem. Andrea pochwycił jego spojrzenie i bardzo nieznacznie skinął głową. Mallory odwrócił wzrok.

W kwadrans później zostali zatrzymani przez trzech mężczyzn, mierzących do nich z pistoletów maszynowych, którzy nagle wyrosli jak spod ziemi, zaskakując ich tak całkowicie, że nawet Andrea nic by tu nie zdziałał — nawet z bronią w ręku. Reynolds spojrzął natarczywie na Mallory'ego, na co ten uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Wszystko w porządku — powiedział. To partyzanci, spójrzcie na czerwone gwiazdy na ich furazerkach. Zwyczajna czujka, która strzeże jednego z głównych szlaków.

I tak też rzeczywiście było. Maria przemówiła krótko do jednego z żołnierzy, który po wysłuchaniu jej kiwnął głową i ruszył ścieżką, skinąwszy na ich grupkę, żeby poszła za nim. Dwóch pozostałych partyzantów zostało na miejscu, zegnając się zabobonnie, kiedy Petar znów trącił struny gitary. Mallory pomyślał, że Neufeld nie przesadził co do miary lęklivego szacunku i strachu, jaki wzbudzali niewidomy grajek i jego siostra.

Po nie całych dziesięciu minutach doszli do kwatery głównej partyzantów, wyglądem i usytuowaniem dziwnie przypominającej obóz kapitana Neufelda —

był tu taki sam nierówny krąg topornych baraków stojących głęboko na dnie identycznej jamy-kotliny i podobnie grube, strzeliste sosny. Ich przewodnik powiedział coś do Marii, która odwróciła się oziębło do Mallory'ego z pogardą na twarzy bardzo jasno wskazującą, jak ogromnie mierzi ją zwracanie się do niego.

— Pójdziemy do baraku gościnnego. Zamelduje się pan u komendanta. Ten żołnierz pana zaprowadzi.

Przewodnik potwierdził jej słowa skinieniem głowy. Mallory poszedł za nim przez obozowisko, do sporego, całkiem dobrze oświetlonego baraku. Przewodnik zastukał, otworzył drzwi, dał mu znak, żeby wszedł do środka, i sam wszedł za nim.

Komendant był wysokim, szczupłym brunetem o orlich arystokratycznych rysach twarzy, tak często spotykanych u bośniackich górali. Z wyciągniętą ręką wyszedł Mallory'emu na spotkanie, i uśmiechnął się.

— Major Broznik, do pańskich usług — przedstawił się. — Jest bardzo, bardzo późno, ale jak pan widzi wciąż jesteśmy na nogach i na chodzie. Przyznaję jednak, że spodziewałem się tu pana wcześniej.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Nie wie pan... Przecież pan jest kapitan Mallory, prawda?

— Nie znam nikogo takiego. — Mallory wbił wzrok w Broznika, zerknął w bok na przewodnika i znów spojrział na majora.

Broznik zmarszczył na chwilę twarz, a potem się rozpogodził. Po kilku jego słowach przewodnik zrobił w tył zwrot i wyszedł. Mallory wyciągnął rękę.

— Kapitan Mallory, do usług — powiedział. — Przepraszam za ten incydent, majorze, ale koniecznie musimy porozmawiać w cztery oczy.

— Nie ufa pan nikomu? Nawet w moim obozie?!

— Nikomu.

— Nawet swoim ludziom?

— Nie wierzę w ich nieomyślność. Nie wierzę w swoją nieomyślność. Nie wierzę w pańską nieomyślność.

— Słucham? — spytał major Broznik głosem tak chłodnym, jak jego wzrok.

— Czy nie zniknęło panu przypadkiem dwóch ludzi, jeden rudy, drugi brunet, rudy z zezem w oku i szramą biegnącą od ust do podbródka?

— Co pan o nich wie? — spytał Broznik podchodząc bliżej.

— Tak?! A więc zna ich pan?

Broznik potwierdził skinieniem głowy.

— Zginęli podczas akcji — odparł wolno. — W zeszłym miesiącu.

— Znaleźliście ich ciała?

— Nie.

— Bo żadnych ciał nie było. Zdezterterowali... Przeszli do czetników.

— Ależ to byli czetnicy... Którzy przekonali się do naszej sprawy.

— W takim razie przekonali się z powrotem do sprawy czetników. Śledzili nas. Z rozkazu kapitana Drosznego. Musiałem ich zlikwidować.

— Musiał pan ich... zlikwidować?

— Proszę tylko pomyśleć — rzekł ze znużeniem Mallory. — Gdyby tu przybyli — co z całą pewnością planowali zrobić w przyzwoitym odstępie czasu po nas — to byśmy ich nie rozpoznali, a pan powitałby ich jak uciekinierów z niewoli. Donieśliby o każdym naszym kroku. Nawet gdybyśmy ich rozpoznali i rozprawili się z nimi, to i tak mogą tu być inni czetnicy, którzy donieśliby swoim szefom, że pozbyliśmy się ich cerberów. Dlatego też usunęliśmy ich po cichu, bez hałasu, w bardzo odległym miejscu, a potem ukryliśmy.

— Pod moją komendą nie mam żadnych czetników, kapitanie.

— Trzeba bardzo mądrego rolnika, majorze, który widząc na wierzchu beczki dwa zepsute jabłka, z ręką na sercu powie, że niżej nie ma takich więcej — odrzekł cierpko Mallory. — Nie wolno ryzykować. Ani trochę. Nigdy. — Uśmiechnął się, żeby jego słowa nie zabrzmiały obraźliwie, i dorzucił szybko: — a teraz, panie majorze, zajmijmy się informacją, jaką pragnie uzyskać hauptmann Neufeld.

\* \* \*

Powiedzieć, że barak gościnny nie zasługuje na tak życzliwe miano, byłoby bardzo poważnym niedopowiedzeniem. Ledwo by uszedł jako szopa dla mniej cenionych zwierząt gospodarskich, jako miejsce do spania dla ludzi zaś wyróżniał się brakiem tego wszystkiego, co nowoczesne, zgnuśniałe europejskie społeczeństwa uznają za minimum podstawowych wygod niezbędnych do cywilizowanego życia. Nawet starogrecy Spartanie uznaliby, że przedobrzo tutaj w surowości. Pojedynczy rozchwiany stół na kozłach, jedna ława, dogasające palenisko i klepisko zamiast podłogi — bynajmniej nie było tu przytulnie jak w domu.

W środku przebywało sześć osób — trzy stały, jedna siedziała, a dwie leżały wyciągnięte na nierównej polepie. Petar, który siedział na podłodze przynajmniej tym razem bez siostry, w rękach ścisnął milczącą gitarę i spoglądał ślepo w dogasający żar. Andrea, bez wątpienia przyjemnie rozluźniony, leżał w śpiworze i palił, sądząc z częstych udręczonych spojrzeń rzucanych w jego stronę, chyba bardziej niż zazwyczaj szkaradne cygaro. Ułożony podobnie jak on Miller czytał książkę wyglądającą na cienki tomik wierszy. Reynolds i Groves, którzy nie mogli zasnąć, stali beczynnym przy jedynym oknie i bez wyraźnego powodu gapili się na słabo oświetlone obozowisko. Kiedy Saunders wyjął ze skrzynki radionadajnik i ruszył z nim do drzwi, odwrócili się.

— Śpijcie dobrze — powiedział z odrobiną gorzkości.

— Dobrze? — Reynolds uniósł brwi. — A ty dokąd?

— Do baraku radiowego po drugiej stronie. Przesłać meldunek do Termoli.

Nie wolno mi zakłócać wam miłych snów, kiedy będę nadawał.

Saunders wyszedł z baraku. Groves podszedł do stołu i usiadł przy nim, podpierając rękami opadającą głowę. Reynolds pozostał przy oknie, obserwując, jak Saunders idzie przez obóz i wchodzi do ciemnego baraku po drugiej stronie. Wkrótce w jego oknie zapłonęło światło, bo Saunders zapalił lampę.

Wtem Reynolds przesunął wzrok, reagując na nagłe pojawienie się prostokąta światła. Drzwi baraku majora Broznika właśnie się otworzyły i na chwilę stanął w nich Mallory, trzymając w dłoni prawdopodobnie kartkę papieru. Drzwi zamknęły się i Mallory ruszył w stronę baraku radiowego.

Reynolds raptownie wzmógł czujność i zastygł nieruchomo. Mallory zdążył zrobić zaledwie dziesięć kroków, kiedy jakaś ciemna postać oderwała się od jeszcze ciemniejszego od niej cienia baraku i zagroziła mu drogę. Reynolds całkiem odruchowo sięgnął do lugera przy pasie, lecz po chwili wolno cofnął rękę. Cokolwiek oznaczało to spotkanie, z pewnością niczym Mallory'emu nie groziło, bo Maria, jak Reynolds dobrze wiedział, nie nosiła broni. A to właśnie ona bez wątpienia rozmawiała w tej chwili tak zażyłe z kapitanem.

Zdezorientowany Reynolds przycisnął twarz do szyby. Przez blisko dwie minuty wpatrywał się w zdumiewający widok dziewczyny, która z taką zajadliwością spoliczkowała Mallory'ego i która nie ominęła żadnej okazji, by okazać mu swoją graniczącą z nienawiścią niechęć, a teraz nie tylko że rozmawiała z nim z ożywieniem, ale na dodatek bardzo przyjaźnie. Reynoldsa tak kompletnie zbił z pantafyku ten niewytłumaczalny zwrot wypadków, że jego mózg popadł jakby w trans, z którego nagle wyrwał go widok kapitana, który dodając otuchy dziewczynie objął ją i zaczął głaskać tak, jakby ją pocieszał albo współczuł, bądź wyrażał i jedno, i drugie, nie wywołując tym jednak u niej najmniejszych oznak niechęci. Nie było na to wytłumaczenia... a jedyne wyjaśnienie, które dawało się przyjąć, było bezwzględnie złowieszcze. Reynolds obrócił się gwałtownie i bez słowa ponaglającym gestem przywołał Grovesa do siebie. Groves wstał szybko, podszedł do okna i wyjrzał, ale kiedy to zrobił, po Marii nie było już śladu. Mallory szedł samotnie przez obóz w stronę baraku radiowego, a w rękę nadal trzymał kartkę. Groves spojrział pytająco na Reynoldsa.

— Stali razem — szepnął Reynolds. — Mallory i Maria. Widziałem ich. Rozmawiali!

— Co takiego? Jesteś pewien?

— Przysięgam. Naprawdę ich widziałem! On ją nawet obejmował... Odejdź od okna! Idzie Maria.

Bez pośpiechu, żeby nie wywołać żadnych uwag ze strony Andrei lub Millera, odwrócili się, jakby nigdy nic podeszli do stołu i usiedli. Po paru chwilach do środka weszła Maria, w milczeniu na nikogo nie patrząc przeszła przez barak do paleniska, usiadła przy Petarze i wzięła go za rękę. Mniej więcej w minutę po niej



zjawił się Mallory i usiadł na sienniku przy Andrei, który wyjął z ust cygaro i spojrzął na niego pytająco, choć nie natarczywie. Mallory dyskretnie sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje, i skinął głową. Andrea powrócił do delektowania się cygarem.

Reynolds spojrzął niepewnie na Grovesa, a potem spytał Mallory'ego:

— Czy nie powinniśmy wystawić warty, panie kapitanie?

— Warty? — spytał z rozbawieniem Mallory. — A w jakim celu? To obóz partyzantów, sierżancie. Przyjaciół. A oni, jak sami widzieliśmy, mają przecież własne świetnie zorganizowane straże.

— Nigdy nic nie wiadomo...

— Wiem. Prześpijcie się.

— Saunders jest tam sam — nie dał za wygraną Reynolds. — Nie podoba mi się...

— Szyfruje i wysyła dla mnie krótki meldunek. Zajmie mu to tylko kilka minut.

— Ale...

— Zamknij się — przerwał mu Andrea. — Słyszałeś, co powiedział kapitan?

Reynoldsa ogromnie to wszystko zmartwiło i zaniepokoiło, a jego niepokój objawił się tym, że natychmiast wrogo się najeżył.

— Zamknąć się? A z jakiej to racji mam się zamknąć? Ty mi nie będziesz rozkazywał. A skoro już wydajemy sobie nawzajem polecenia, to może być tak zgasił to przekłete śmierdzące cygaro!

Miller znużonym ruchem odłożył tomik wierszy.

— Co do tego cygara, młodzieńcze, to całkiem się z tobą zgadzam — rzekł. — Ale zakarbuj sobie w pamięci, że zwracasz się do wojskowego w stopniu pułkownika.

Amerikanin powrócił do lektury. Przez kilka chwil Reynolds i Groves z rozdziawionymi ustami wpatrywali się w siebie, a potem Reynolds wstał i spojrzął na Andreeę.

— Bardzo przepraszam, panie pułkowniku — odezwał się. — Ja... ja nie miałem pojęcia...

Andrea wspaniałomyślnym gestem ręki nakazał mu milczenie i na powrót oddał się rozkoszom palenia cygara. W ciszy upłynęły minuty. Siedząca przy palenisku Maria położyła głowę na ramieniu brata, ale był to jedyny ruch, jaki zrobiła, i wydawało się, że śpi. Miller w niemym zachwycie pokręcił głową nad jakimś wytworem poetyckiej weny, niepojętym dla zwykłego śmiertelnika, niechętnie zamknął książkę i wślizgnął się głębiej w śpiwór. Andrea zgasił cygaro na polepie i zrobił to samo. Mallory już chyba zasnął. Groves położył się, a oparty na stole Reynolds złożył głowę na rękach. Przez pięć minut, a może dłużej, nie zmienił pozycji, drzemiąc niespokojnie, gdy wtem poderwał głowę, usiadł ze wzdrygnięciem,

spojrzał na zegarek, podszedł do Mallory'ego i potrząsnął go za ramię. Mallory poruszył się.

— Dwadzieścia minut — oznajmił Reynolds alarmującym tonem. — Minęło dwadzieścia minut, a Saundersa nie ma.

— I co z tego, więc minęło dwadzieścia minut — odrzekł cierpliwie Mallory. — Tyle czasu mogło mu zająć nawiązanie łączności, przekazanie meldunku znacznie mniej.

— Tak jest. Czy mogę sprawdzić, panie kapitanie?

Mallory ze znużeniem skinął głową i zamknął oczy. Reynolds wziął schmeisser, wyszedł z baraku i cicho zamknął za sobą drzwi. Odbezpieczył broń i pobiegł przez obozowisko.

W baraku radiowym nadal paliło się światło. Reynolds chciał zajrzeć do środka przez okno, ale zima była tak surowa, że zarosło szronem. Obszedł więc barak i dotarł do drzwi. Były lekko uchylone. Oparł palec na spuście pistoletu i otworzył je tak, jak uczono otwierania drzwi komandosów — gwałtownie kopiąc w nie prawą nogą.

W środku nie było nikogo, a raczej nikogo, kto mógłby zrobić mu krzywdę. Reynolds wolno opuścił broń i z twarzą stężałą z przerażenia wszedł z wahaniem, poruszając się niemal jak we śnie.

Saunders opierał się ciężko na stole transmisyjnym, z głową ułożoną pod nienaturalnym kątem i rękami bezwładnie zwieszonymi w dół. Spomiędzy łopatek sterczała mu rękojeść noża. Prawie podświadomie Reynolds spostrzegł, że nie widać tu nigdzie krwi — śmierć nastąpiła natychmiast. Leżący na podłodze nadajnik, przemieniony w poskręcana, poszarpaną masę metalu, był z pewnością nie do naprawienia. Niepewnie, nie bardzo wiedząc po co to robi, Reynolds sięgnął ręką i dotknął ramienia nieboszczyka. Saunders poruszył się, policzek ześlizgnął mu się ze stołu, a ciało poleciało w bok, padając ciężko na szczątki rozbitego nadajnika. Reynolds pochylił się nad kolegą. Opalona brązowa skóra radiooperatora nabrała pergaminowej szarości, a nie widzące, zamglone oczy strzegły myśli, których już nie było. Reynolds krótko i gorzko zaklął, wyprostował się i wybiegł z baraku.

W baraku gościnnym wszyscy spali, a przynajmniej sprawiali wrażenie, że śpią. Reynolds podbiegł do leżącego Mallory'ego, przykląkł na kolano i bezpardonowo potrząsnął go za ramię. Mallory poruszył się, otworzył zmęczone oczy i podparł się na łokciu. Bez entuzjazmu spojrział pytająco na sierżanta.

— Powiedział pan, że jesteśmy wśród przyjaciół! — Niemal wysyczał cicho i zjadliwie Reynolds. — Powiedział pan: bezpieczni! Że Saundersowi nic nie grozi! Zapewnił pan! Był pan tego pewny jak cholera!

Mallory nie odpowiedział. Usiadł raptownie na sienniku, a z oczu uleciał mu wszelki sen.

— Saunders? — spytał.

— Lepiej niech pan ze mną pójdzie — odparł Reynolds.

W milczeniu opuścili barak, w milczeniu przeszli przez wyludniony obóz i w milczeniu weszli do baraku radiowego. Mallory zatrzymał się w progu. Przez najwyżej dziesięć sekund, które jednak sierżantowi dłużyły się nieprzytomnie, wpatrywał się pochmurnie w zamordowanego i rozbity nadajnik, nie okazując po sobie żadnych uczuć. Reynolds odczytał jego minę, czy też jej brak, całkiem opacznie i przestał panować nad długo powstrzymywaną wściekłością.

— I co, zamierza pan coś wreszcie zrobić z tym fantem, zamiast, psiakrew, stać tu całą noc?

— Każdy pies ma prawo raz ugryźć — odparł spokojnie Mallory. — Ale więcej nie mówcie do mnie takim tonem. Co zrobić, na przykład?

— Co zrobić? — Reynolds wyraźnie walczył o to, żeby zachować spokój. — Znaleźć przyjemniaczka, który to zrobił.

— Będzie to bardzo trudne — ocenił Mallory. — Moim zdaniem, niemożliwe. Jeżeli przyszedł z zewnątrz, to do tej pory odszedł już stąd daleko i oddala się od nas z każdą chwilą. Obudźcie Andreę, Millera i Grovesa i każcie im tu przyjść, sierżancie. A potem pójdziecie do majora Broznika i powiecie mu, co się stało.

— A pewnie, że im powiem — rzekł z goryczą Reynolds — i powiem również, że gdyby pan mnie posłuchał, to by do tego nie doszło. Ale nie, skądże znowu, pan nie będzie słuchał.

— No więc wy mieliście rację, a ja się myliłem. A teraz wykonajcie polecenie.

Reynolds zawahał się, najwyraźniej bardzo bliski otwartego buntu. Na jego zagniewanym obliczu malowały się na przemian to podejrzliwość, to nieposłuszeństwo. Jednakże coś szczególnego w minie Mallory'ego sprawiło, że przeważył w nim umiar i uległość, skinął więc tylko ponuro, nieprzyjaźnie głową, odwrócił się i odszedł.

Mallory zaczekał, aż skręci za róg baraku, wyjął latarkę i bez większych nadziei zaczął przeszukiwać ubity śnieg przed wejściem. Jednakże niemal zaraz potem znieruchomiał, pochylił się i przysunął latarkę blisko ziemi.

Ślad odcisniętej stopy był zaiste bardzo fragmentaryczny, obejmował zaledwie przednią część podeszwy prawego buta. Odcisk zawierał dwa „ptaszki”, z których pierwszy miał wyraźną przerwę. Mallory przyśpieszył kroku idąc tam, gdzie wiódł odcisk szpiczastego noska, i napotkał jeszcze dwa identyczne karbowane, słabo odcisnięte, ale łatwe do rozpoznania nacięcia, zanim zmarznięty śnieg zastąpiła zmarznięta ziemia obozowiska — grunt tak twardy, że nie zachowujący żadnych śladów stóp. Mallory wrócił po własnych śladach, starannie zacierając wszystkie trzy odciski czubkiem buta, i przy baraku radiowym znalazł się zaledwie o sekundy przed Reynoldsem, Andreą, Millerem i Grovesem. Wkrótce potem dołączył do nich major Broznik z kilkoma innymi partyzantami.

Przeszukali wnętrze baraku radiowego, ale nie znaleźli nic zdradzającego tożsamość mordercy. Centymetr po centymetrze obejrzeliby śnieg wokół chaty, z tym samym całkowicie negatywnym skutkiem. Potem zaś, wzmocnieni już liczebnie przez kilkudziesięciu zaspanych partyzantów, przeszukali jednocześnie i zabudowania, i las wokół obozowiska — ale ani sam obóz, ani otaczające go drzewa nie wydały żadnych tajemnic.

— Na tym możemy zakończyć — zdecydował Mallory. — Wymknął się.

— Na to wygląda — zgodził się major Broznik. Był głęboko zatroskany i okropnie zły, że coś takiego wydarzyło się w jego obozie. — Na resztę nocy trzeba zdwoić warty.

— Nie ma potrzeby — odparł Mallory. — Nasz znajomy nie wróci.

— Nie ma potrzeby! — powtórzył Reynolds, małpując go bezlitośnie. — Co do tego biedaka Saundersa też nie było, pana zdaniem, potrzeby. I gdzie on jest teraz? Śpi spokojnie w łóżku? Diabła tam! Nie ma...

Andrea mruknął ostrzegawczo, zrobił krok w stronę sierżanta, ale Mallory powstrzymał go krótkim, pojednawczym gestem prawej ręki.

— Oczywiście, zależy to wyłącznie od pana, majorze — powiedział. — Przepraszam, że z naszego powodu pan i pańscy ludzie macie bezsenność. Do zobaczenia rano. — Uśmiechnął się z przymusem. — Chociaż to przecież już niedługo.

Odwrócił się, żeby odejść, i wówczas spostrzegł, że drogę zastąpił mu sierżant Groves, którego zazwyczaj zadowolona mina była w tej chwili lustrzanym odbiciem zawziętej wrogości Reynoldsa.

— A więc wymknął się, czy tak? — spytał Groves. — Wymknął się do wszystkich diabłów i przepadł. I na tym koniec?

Mallory otaksował go spojrzeniem.

— No, niezupełnie. Tego bym nie powiedział. Niedługo znajdziemy go.

— Niedługo? Prędzej niż skona ze starości.

— W ciągu doby? — spytał Andrea, wpatrując się w Mallory'ego.

— Szybciej.

Andrea skinął głową, a potem wraz z Mallorym odwrócił się i odszedł w stronę baraku gościnnego. Reynolds z Grovesem — oraz stojący tuż za ich plecami Miller — śledzili wzrokiem dwójkę odchodzących, a potem spojrzeli sobie w nadal ściągnięte i zachmurzone twarze.

— Spójrz tylko na tę przemiałą parkę poczciwców. Są kompletnie przybici losem biednego Saundersa. — Groves pokręcił głową. — Nic ich to nie obchodzi. Po prostu nic.

— Och, tego bym nie powiedział — wtrącił nieśmiało Miller — po prostu nie okazują tego po sobie. A to zupełnie co innego.

— Twarze jak u Indian — mruknął Reynolds. — Jednego słowa żalu z po-

wodu śmierci Saundersa.

— No, bo to przecież banał, a różni ludzie różnie reagują. Owszem, żal i gniew to naturalna reakcja w takich wypadkach, ale gdyby Andrea i Mallory tracili czas reagując w ten sposób na wszystko, co ich spotyka, to załamałoby się kompletnie dawno temu. A więc przestali na to reagować w taki sposób. Robią, co należy. Tak jak zrobią co należy z mordercą waszego przyjaciela. Być może to do was nie dotarło, ale przed chwilą wysłuchaliście wyroku śmierci.

— A ty skąd to wiesz? — spytał niepewnie Reynolds. Kiwnął głową w stronę Mallory'ego i Andrei, którzy właśnie wchodzili do baraku gościnnego. — Skąd wiedzą to oni? Nie zamienili ani słowa.

— Telepatia.

— Jak to „telepatia”?

— Za dużo trzeba by wyjaśniać — odparł ze znużeniem Miller. — Zapytajcie mnie o to rano.

## VI. Piątek, godz. 08:00-10:00

Korony wysokich sosen, ich gęste, splecione, ośnieżone konary tworzyły prawie nieprzenikalne sklepienie, które skutecznie zasłaniało widok z przycupniętego na dnie jamy obozu majora Broznika na przebłyskujące na ułamki sekund niebo w górze. Nawet przy pełni księżyca w letni dzień na dole panował w najlepszym razie półmrok — takiego zaś ranka jak dzisiejszy, w godzinę po świtaniu, przy śniegu sypiącym z zachmurzonego nieba, natężenie światła niewiele różniło się od tego o dwunastej w rozgwieżdżoną noc. W baraku służącym za jadalnię, gdzie Mallory i jego oddział jedli śniadanie z majorem Broznikiem, było wyjątkowo ciemno, a mrok bardziej potęgowały niż rozpraszały dwie kopcające lampy, będące tu jedynymi prymitywnymi źródłami światła.

Ponurą atmosferę znacznie pogłębiało zachowanie się i miny siedzących przy stole. Jedli w posępnej ciszy, z opuszczonymi głowami, przeważnie nie patrząc na siebie. Wypadki minionej nocy bardzo wszystkich poruszyły, ale nikogo aż tak bardzo, jak Reynoldsa i Grovesa, których twarze wyraźnie zdradzały szok, jakim było dla nich zamordowanie Saundersa. Nie tknęli jedzenia.

Na domiar tego nastroju milczącej rozpaczy stało się oczywiste, iż obiekcje co do jakości partyzanckiej kuchni mają trwałą i głęboki charakter. Śniadanie podane przez dwie młode partyzantki — członkinie armii marszałka Tito — składało się z polenty, bardzo nieapetycznej potrawy z kukurydzianej mąki, oraz z rakii, niespotykanej krzepkiej jugosłowiańskiej wódki. Miller wyraźnie bez zapału zjadł śniadanie.

— Zawsze to jakieś urozmaicenie, nie powiem — odezwał się nie wiadomo do kogo.

— Nic innego nie mamy — rzekł przepraszająco Broznik. Odłożył łyżkę i odsunął od siebie talerz. — I nawet tego nie mogę jeść. Nie dzisiaj. Wszystkie wejścia do kotliny są strzeżone, a jednak zeszłej nocy morderca pojawił się w moim obozie. Ale być może wcale nie mijał wartowników, może już był w środku. To niesłychane — zdrajca w mojej własnej kwaterze! A jeżeli tak jest rzeczywiście, to ja nie umiem go nawet znaleźć. W głowie się nie mieści!

Była to niepotrzebna uwaga, bo wszystko już sobie powiedzieli, więc nikt nawet nie spojrział na Broznika — dla wszystkich było jasne z tonu jego głosu, że odczuwa gorzki żal, zakłopotanie i gniew. Andrea, który ze smakiem kończył swoją porcję, spojrział na dwa talerze stojące przed Grovesem i Reynoldsem, a potem pytająco na samych sierżantów, którzy potrząsnęli przecząco głowami. Sięgnął więc po ich talerze, ustawił je przed sobą i z oznakami niezmięszzonego apetytu zabrał się do jedzenia. Reynolds i Groves nie wierząc własnym oczom wpatrzyli się w niego z przestachem, zapewne zdumieni jego niewybrednością, albo też, co bardziej prawdopodobne, zaszokowani tym, iż ktoś może się opychać aż tak w kilka

zaledwie godzin po śmierci kolegi. Natomiast Miller popatrzył na Andreę niemal z przerażeniem, przełknął jeszcze jeden kęs polenty i z subtelnym niesmakiem zmarszczył nos. Odłożył łyżkę i ponuro spojrzął na Petara, który jadł niezdarnie, z gitarą przewieszoną przez ramię.

— Czy on nigdy nie rozstaje się z tą przeklętą gitarą? — spytał zirytowanym tonem.

— To nasz zagubiony — odparł cicho Broznik. — Tak go nazywamy. Nasz biedny zagubiony ślepiec. Zawsze ją nosi albo ma pod ręką. Zawsze. Nawet kiedy śpi — nie zauważyliście tego w nocy? Ceni sobie tę gitarę na równi z życiem. Kilka tygodni temu jeden z naszych dla kawału próbował mu ją odebrać, na co Petar, choć niewidomy, o mało go nie zabił.

— On w ogóle nie ma słuchu — rzekł zaintrygowany Miller. — Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak fatalnie grał na gitarze.

Broznik lekko się uśmiechnął.

— To prawda. Ale czy pan nie rozumie? On ją może czuć. Może jej dotykać. Ta gitara należy wyłącznie do niego. Nic innego nie pozostało mu na tym świecie ciemnym, ponurym i opustoszałym. Nasz biedny zagubiony.

— Mógłby ją chociaż nastroić — mruknął Miller.

— Dobry z pana człowiek, przyjacielu. Stara się pan odciągnąć nasze myśli od tego, co nas dzisiaj czeka. Ale nikt nic na to nie poradzi. — Broznik zwrócił się do Mallory'ego. — Dotyczy to również pańskich nadziei na przeprowadzenie tego wariackiego planu uwolnienia schwytyanych agentów i rozbicia miejscowej sieci niemieckiego kontrwywiadu. To szaleństwo! Szaleństwo!

Mallory machnął na to wymijająco ręką.

— No a wy sami? — rzekł. — Nie macie żywności. Nie macie artylerii. Minimalną ilość broni, a do niej właściwie żadnej amunicji. Żadnych medykamentów. Czołgów. Samolotów. Nadziei... A jednak walczyacie. Czy to normalne?

— Punkt dla pana. — Broznik uśmiechnął się, przesunął po stole butelkę z rakiją i zaczął, aż Mallory napełni szklanekę. — Za szaleńców tego świata! — wzniósł toast.

\* \* \*

— Rozmawiałem właśnie z majorem Stefanem z Przełęczu Zachodniej — powiedział generał Vukalović. — Uważa, że oszaleliśmy. Zgadzasz się z nim, Laszlo?

Leżący na brzuchu obok Vukalovicia pułkownik opuścił lornetkę. Był krzepkim, ogorzałym, krępy męczyzną w średnim wieku, ze wspaniałymi czarnymi wąsami, które niewątpliwie woskował.

— Całkowicie, generale — odparł po chwili zastanowienia.

— Nawet ty? — zaprotestował Vukalović. — Ty, który masz ojca Czecha?

— Pochodził z wysokich Tatr — wyjaśnił Laszlo. — A tam mieszkają sami wariaci.

Vukalović uśmiechnął się, oparł wygodniej na łokciach, spojrzął w dół przez wylom pomiędzy skałami, podniósł lornetkę do oczu i wolno unosząc ją w górę, przyjrzał się widokowi na południe od siebie.

Bezpośrednio na wprost jego stanowiska opadało na przestrzeni jakichś sześćdziesięciu metrów w dół nagie, skaliste zbocze. U podnóża przechodziło ono stopniowo w długi trawiasty płaskowyż, w najszerszym miejscu dochodzący do najwyżej dwustu metrów, ale ciągnący się w obie strony prawie tak daleko, jak sięgał wzrok, na prawo — ku zachodowi, a na lewo — zakręcając na wschód, północny wschód i wreszcie na północ.

Za skrajem płaskowyżu grunt raptownie opadał, tworząc brzeg szerokiej, bystrej rzeki, rzeki o charakterystycznej dla wysokich gór zielonkawobiałej barwie, zielonej od topniejących wiosennych lodów, białej od piany powstałej na sterczących skałach i porohach w jej korycie. Wprost na północ od miejsca, gdzie leżeli Laszlo z Vukalovićem, brzegi rzeki łączył pomalowany na zielono i biało, bardzo solidny stalowy most na wspornikach. Za rzeką, po drugiej stronie, trawiasty brzeg piął się w górę przechodząc bardzo łagodnie w stok, który ciągnął się ze trzydzieści metrów aż do bardzo wyraźnie wytyczonej granicy lasu olbrzymich sosen, biegnących hen daleko na południe. Pośród najbardziej wysuniętych drzew majaczyła pewna ilość matowych stalowych przedmiotów, niewątpliwie czołgów. A najdalej, za rzeką i sosnowym lasem, piętrzyły się wyszczerbione, oślepiające pod błyszczącą pokrywą śniegu góry, ponad nimi zaś, lecz bardziej na południowy wschód, przez niestosownie błękitne prześwity na zaciągniętym wszędzie indziej śniegowymi chmurami niebie, świeciło równie jak one białe i oślepiające słońce.

Vukalović odjął lornetkę od oczu i westchnął.

— Nie wiesz, ile czołgów jest w tamtym lesie za rzeką? — spytał.

— Wszystko bym dał za to, żeby wiedzieć. — Laszlo uniósł ręce w nieznanym, bezradnym geście — może dziesięć. Może dwieście. Nie mam pojęcia. Naturalnie, wysłaliśmy zwiadowców, ale nie wrócili. Może porwał ich rzeczny nurt przy przeprawie przez Neretwę. — Spojrzął na Vukalovicia nad czymś się zastanawiając. — Nie wiesz, skąd zaatakują — przez przełęcz Zenicy, Zachodnią czy od strony mostu — prawda?

Vukalović pokręcił przecząco głową.

— Ale spodziewasz się, że niedługo?

— Bardzo niedługo — Vukalović uderzył pięścią w skalisty grunt. — Naprawdę nie ma sposobu na wysadzenie tego przekłętego mostu?!

— RAF bombardował go pięciokrotnie — odparł z przygnębieniem Laszlo. — Do tej pory Anglicy stracili dwadzieścia siedem samolotów... Na brzegach Ne-



retwy jest dwieście działek przeciwlotniczych, a dziesięć minut lotu stąd baza Messerschmittów. Niemieckie radary wychwytyją angielskie bombowce, kiedy przekraczają linię brzegu, a kiedy dolatują tutaj, czekają już na nie messerschmitty. A poza tym pamiętaj, że ten most jest z obu stron osadzony w skale.

— Bezpośrednie trafienie albo figa?

— Bezpośrednie trafienie w cel szerokości siedmiu metrów z wysokości trzech kilometrów! To niemożliwe. A w dodatku most jest świetnie zamaskowany, że nawet z ziemi ledwie go widać z odległości pięciuset metrów. Podwójnie niemożliwe.

— Niemożliwe także dla nas — rzekł niewesoło Vukalović.

— Niemożliwe. Ostatnią próbę podjęliśmy dwie noce temu.

— Podjęliście... zabroniłem wam tego.

— Ty nas o to prosiłeś! Ale ja, pułkownik Laszlo, miałem naturalnie swoje zdanie. Kiedy nasze oddziały znalazły się w połowie tego płaskowyżu, Niemcy wystrzelili pociski oświetlające — Bóg jeden wie, skąd wiedzieli, że atakujemy. A potem ich reflektory...

— I szrapnele — dokończył Vukalović. — I działka automatyczne. Straty w ludziach?

— Straciliśmy pół batalionu.

— Pół batalionu! A powiedz mi, mój drogi, co by było, gdyby — w nieprawdopodobnym zresztą przypadku — twoi żołnierze dotarli do mostu?

— Mieli trochę kostek amatu, trochę granatów ręcznych...

— Żadnych ogni sztucznych? — spytał z głębokim sarkazmem Vukalović.

— Te to dopiero by się wam przydały. Ten most jest ze stali osadzonej w żelbecie, człowieku! Porywać się na coś takiego to szaleństwo!

— Tak jest, generale. — Laszlo odwrócił wzrok. — Być może powinieneś mnie odwołać ze stanowiska.

— Chyba powinienem. — Vukalović przyjrzał się wyczerpanej twarzy pułkownika. — Zrobiłbym to na pewno, gdyby nie pewien szkopał.

— Szkopał?

— Wszyscy inni dowódcy moich pułków to tacy sami wariaci jak ty. A jeżeli Niemcy zaatakują... Kto wie, czy nawet nie tej nocy?

— Zostaniemy tutaj. Jesteśmy Jugosłowianami i nie mamy dokąd iść. Co innego możemy zrobić?

— Co innego? Dwa tysiące żołnierzy z pukawkami, przeważnie wyczerpanych, przymierających głodem i cierpiących na brak amunicji, przeciwko być może aż dwóm wyborowym niemieckim dywizjom pancernym. I wy zostajecie? Wiedziecie, że zawsze możecie się poddać.

Laszlo uśmiechnął się.

— Z całym szacunkiem, generale, ale nie pora na żarty — odparł.

Vukalović klepnął go w ramię.

— Mnie również to nie bawi. Idę do zapory, na naszą północno-wschodnią redutę. Sprawdzę, czy pułkownik Janzy, to też taki wariat jak ty. I jeszcze jedno.

— Tak?

— Jeżeli zaatakują, być może wydam rozkaz odwrotu.

— Odwrotu?!

— Nie poddania. Odwrotu. Odwrotu po to, żeby, miejmy nadzieję, zwyciężyć.

— Nie wątpię, że wiesz, o czym mówisz.

— Nie wiem. — Nie dbając o to, że z drugiego brzegu może go trafić strzelec wyborowy, Vukalović wstał, gotów do odejścia. — Słyszałeś już kiedyś o kapitanie Mallorym? — spytał. — Keithie Mallorym, Nowozelandczyku?

— Nie — odparł szybko Laszlo, a po krótkiej chwili dodał: — Ale zaraz. Czy to ten, który wspinał się na góry?

— Ten sam. Ma jednak, jak mnie poinformowano, także inne uzdolnienia. — Vukalović pogładził zarośnięty podbródek. — Jeżeli wszystko, co o nim słyszałem, jest prawdą, to sądzę, że całkiem bezstronnie zasługuje na miano wielce utalentowanego człowieka.

— I co z tym wielce utalentowanym człowiekiem? — spytał zaciekawiony Laszlo.

— Tylko jedno. — Vukalović raptem bardzo spoważniał, a nawet spochmurniał. — Że kiedy wszystko zawiedzie i nie ma już żadnej nadziei, gdzieś na świecie zawsze znajdzie się ktoś, do kogo można się zwrócić. Może to być jeden jedyny człowiek. Najczęściej tak właśnie jest. Ale ten człowiek znajduje się zawsze. — Zamilkł, namyślając się. — A przynajmniej tak mówią.

— Tak, generale — powiedział grzecznie Laszlo. — Ale co do tego Keitha Mallory'ego...

— Pomódl się za niego dzisiaj przed snem. Ja to zrobię.

— Pomodłę się. A za nas? Za nas też mam się pomodlić?

— Nie zaszkodziłoby — odparł Vukalović.

\* \* \*

Stoki kotliny wznoszące się w górę od obozowiska majora Broznika były strome i bardzo śliskie, tak że wspinająca się kawalkada ludzi i kuców posuwała się z wielkim trudem. A przynajmniej większość z nich. Na eskortie złożonej z ciemnowłosych, krępych bośniackich partyzantów, dla których teren ten był chlebem powszednim, wspinaczka nie robiła najmniejszego wrażenia. Nie przeszkadzała też ona wyraźnie w żaden sposób Andrei w rytmicznym zaciąganiu się dymem tradycyjnego, ohydnie cuchnącego cygara. Reynolds spostrzegł to i fakt ów dostarczył

świeżego pokarmu i tak już mocno go dręczącym myślom i mrocznym podejrzeniom.

— Zdaje się, że w ciągu nocy cudownie pan ozdrowiał, pułkowniku Stavros — odezwał się z przekąsem.

— Mów mi Andrea. — Grek wyjął cygaro z ust. — Nawala mi serce. Co jakiś czas. — Cygaro wróciło na miejsce.

— Jestem tego pewien — mruknął Reynolds. Obejrzał się podejrzliwie — i to po raz dwudziesty — przez ramię. — Gdzie, do diabła, jest Mallory?

— Gdzie, do diabła jest kapitan Mallory! — skarcił go Andrea.

— No więc, gdzie?

— Dowódca wyprawy odpowiada za wiele spraw. Ma wiele zajęć na głowie. Kapitan Mallory jest prawdopodobnie w tej chwili czymś zajęty.

— Mów sobie zdrów — mruknął Reynolds.

— A to co ma znaczyć?

— Nic.

Kapitan Mallory, jak słusznie domyślał się Andrea, był w tej chwili rzeczywiście czymś zajęty. W kancelarii Broznika pochylał się właśnie wraz z majorem nad mapą, rozłożoną na stojącym na krzyżakach stole. Broznik wskazał punkt na północnym skraju mapy.

— Zgoda. Jest to rzeczywiście najbliższy ewentualny pas startowy dla samolotu. Ale znajduje się wysoko w górach. O tej porze roku będzie tam nadal prawie metr śniegu. Są inne, lepsze miejsca.

— Ani przez chwilę w to nie wątpię, — odparł Mallory. — Odległe pola zawsze wyglądają ładniej, możliwe, że także odległe lotniska. Ale ja nie mam czasu na dotarcie do nich. — Palcem wskazującym stuknął w mapę. — Potrzebuję pasa startowego tutaj i tylko tutaj, do wieczora. Będę ogromnie zobowiązany, jeżeli w ciągu najbliższej godziny wyśle pan jeźdźca do Konjic i natychmiast przekaze przez radio moje żądanie waszemu dowództwu w Drvarze.

— Przywykł pan żądać natychmiastowych cudów, kapitanie Mallory? — spytał chłodno Broznik.

— To nie wymaga cudów. Jedynie tysiąca ludzi. Nóg tysiąca ludzi. To niewielka cena za życie dziesięciu tysięcy, prawda? — Mallory wręczył Broznikowi karteczkę. Długość fali i szyfr. Niech z Konjic nadadzą to jak najszybciej. — Spojrzał na zegarek. — Mają już nade mną dwadzieścia minut przewagi. Muszę się pośpieszyć.

— Z pewnością — odparł szybko Broznik. Zawahał się, bo chwilowo zabrakło mu słów, po czym niezręcznie dodał: — Kapitanie Mallory, ja... ja...

— Wiem. Proszę się nie martwić. Zresztą tacy jak ja nigdy nie dożywają sędziwego wieku. Jesteśmy na to za głupi.

— A czy nie dotyczy to nas wszystkich, nas wszystkich? — Broznik ucisnął

Mallory'emu rękę. — Dziś wieczorem pomodłę się za pana.

Mallory chwilę milczał, po czym skinął głową.

— Niech to będzie długa modlitwa — powiedział.

\* \* \*

Bośniaccy zwiadowcy, którzy, tak jak reszta oddziału, dosiadali teraz kuców podążając na przedzie zjeżdżali w dół krętym szlakiem po łagodnych, gęsto zalesionych stokach doliny, a za nimi ramię w ramię Andrea z Millerem i Petar na kucy, którego Maria trzymała za uzdę. Reynolds i Groves, przypadkiem albo umyślnie, pozostali nieco z tyłu i wiedli przyciszoną rozmowę.

— Ciekawe, o czym tam rozmawiają Mallory z majorem — powiedział w zamyśleniu Groves.

Reynolds gorzko wykrzywił usta. — Może lepiej, że nie wiemy o czym.

— Być może masz rację. Po prostu jestem ciemny jak tabaka w rogu. — Groves zamilkł i dodał błagalnie: — Broznik gra uczciwie. Tego jestem pewien. W jego sytuacji musi.

— Możliwe. Mallory też?

— Też, na pewno.

— Na pewno? — spytał rozeźlony Reynolds. — Chryste Panie, człowieku! Przecież mówiłem ci, że widziałem go na własne oczy. — Z zasrożoną i surową miną wskazał głową na jadącą dwadzieścia metrów przed nimi Marię. — Ta dziewczyna uderzyła go — i to jak mocno! — tam, w obozie Neufelda, a zaraz potem widzę tę parę, jak grucha sobie miło pod chatą Broznika. Dziwne, co? A wkrótce potem ginie Saunders. Przypadek? Mówię ci, Groves, że mógł to zrobić sam Mallory. Mogła to zrobić przed spotkaniem z nim ta dziewczyna, tylko że jest fizycznie niemożliwe, żeby zdołała wbić aż po rękojeść sześciocalowy nóż. Jednak Mallory na pewno by zdołał. Miał dość czasu — i okazję — kiedy wręczał ten przeklęty meldunek w baraku radiowym.

— A po co miałyby to robić, na miłość boską? — zaprotestował Groves.

— Ponieważ dostał od Broznika jakąś pilną wiadomość. Musiał pokazać, że przesyła meldunek do Włoch. Ale może wysłanie go było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Może zapobiegł przesłaniu go w jedyny znany sobie sposób... i rozbił nadajnik, żeby już nikt więcej na pewno z niego nie skorzystał. Być może właśnie dlatego zabronił mi stać na warcie albo pójść do Saundersa — po to, żebym nie odkrył, że on już nie żyje — no bo w takim wypadku, ze względu na czas, podejrzenie automatycznie padłoby na niego.

— Fantazjujesz — odparł zaniepokojony Groves, bo wbrew jego chęciom rozumowanie Reynolds'a wywarło na nim pewne wrażenie.

— Tak myślisz? A nóż w plecach Saundersa... to też wytwór mojej wyob-

rażni?

\* \* \*

W pół godziny potem Mallory dołączył do oddziałku. Jadąc truchtem minął Reynoldsa i Grovesa, którzy rozmyślnie nie zwrócili na niego uwagi, Marię i Petara, którzy zachowali się tak samo, i zajął pozycję za plecami Millera i Andrei.

W szyku tym przez blisko godzinę jechali gęsto zalesionymi dolinami Bośni. Niekiedy wyjeżdżali na polany wśród sosen, polany, gdzie kiedyś były siedziby ludzkie, małe wioski i sioła. Teraz jednak nie było tam ludzi ni ich siedzib, bo wioski przestały istnieć. Polany były podobne, przejmująco i przygnębiająco podobne. Z niegdyś prostych, ale mocnych domów, w których żyli ciężko pracujący, lecz szczęśliwi Bośniacy, pozostały jedynie spalone i poczerniałe zgliszcza tętniących dawniej życiem ludzkich siedlisk, a w powietrzu nadal wisiał mocny gryzący swąd starego dymu, słodko-gorzki fetor rozkładu i śmierci, nieme świadectwo bezlitosnego okrucieństwa i całkowitej bezwzględności wojny prowadzonej przez Niemców i jugosłowiańskich partyzantów. Gdzieniedzie nadal jeszcze stały nieznaczne małe domki z kamienia, być może nie warte bomb, pocisków artyleryjskich, moździerzowych czy benzyny, ale kilka większych budynków też uszło zagładzie. Głównym celem ataków były chyba szkoły i cerkwie. W jednym przypadku, o czym świadczył jakiś osmalony metalowy sprzęt, stał się nim mały wiejski szpitalik, tak zrównany z ziemią, że żaden z fragmentów ruin nie miał nawet metra wysokości. Mallory zastanawiał się, jaki los spotkał pacjentów owego szpitala, lecz nie myślał już o losie setek tysięcy Jugosłowian — komandor Jensen wymienił liczbę trzystu pięćdziesięciu tysięcy, ale dodając do niej kobiety i dzieci, na pewno było ich co najmniej milion — skupionych pod sztandarami marszałka Tito. Niezależnie od patriotyzmu, niezależnie od gorącego umiłowania wolności i chęci zemsty, nie mieli oni dokąd pójść. Zdał sobie sprawę, że ludziom tym nie pozostało dosłownie nic, że mają do stracenia już tylko swoje życie, które najwyraźniej niezbyt sobie cenią, za to wszystko do zyskania, niszcząc wroga. Przyszło mu na myśl, że gdyby był niemieckim żołnierzem, to nie za bardzo uśmiechałoby mu się służyć w Jugosławii. Wehrmacht nie był w stanie wygrać wojny, której nie wygraliby żołnierze żadnego zachodnioeuropejskiego kraju, bo ludność zamieszkująca wysokie góry jest właściwie nie do pokonania.

Mallory zauważył, że bośniaccy zwiadowcy nie patrzą na boki, przejeżdżając przez wymarłe zburzone wsie ziomków, którzy prawie na pewno w większości już nie żyli. Zdał sobie sprawę, że nie musieli patrzeć, bo przecież mieli wspomnienia, a nawet one były ponad ich siły. Gdyby litość dla wrogów była w ogóle możliwa, to Mallory'emu było w tej chwili żal Niemców.

Niebawem wjechał z wąskiego, krętego górskiego szlaku na wąską, ale sto-

sunkowo szerszą drogę, a przynajmniej szeroką na tyle, by zmieściły się na niej jadące rzędem samochody. Zwiadowca na przedzie uniósł wysoko rękę i zatrzymał kuca.

— Zdaje się, że to niepisana ziemia niczyja — powiedział Mallory. — To chyba tutaj wysadzili nas dziś rano z ciężarówki.

Jego domysł znalazł potwierdzenie. Partyzanci zawrócili swoje wierzchowce, uśmiechnęli się szeroko, pomachali rękami, zawołali coś niezrozumiałego na pożegnanie i ponagliwszy kuca odjechali z powrotem drogą, którą przyjechali.

Z Andrea i Mallorym na przedzie oraz dwoma sierżantami zamykającymi pochód siedmioro członków oddziału ruszyło w drogę. Śnieg przestał padać, chmury w górze odpłynęły, a pomiędzy rzadziejącymi tu już sosnami przeświecało słońce. Nagle patrzący w lewo Andrea wyciągnął rękę i dotknął ramienia Mallory'ego. Mallory spojrzał w kierunku, który wskazywał mu ręką. Niecałe sto metrów w dół pod nimi las urywał się i przez drzewa prześwitywało z oddali coś zdumiewająco zielonego. Mallory obrócił się w siodle.

— Zjeżdżamy tam — powiedział. — Chcę się rozejrzeć. Nie wychodźcie z lasu.

Kuce wybrały łagodną i pewną drogę w dół po śliskim stoku. Około dziesięciu kroków od brzegu lasu na znak Mallory'ego jadący zsiadli i pieszo zaczęli ostrożnie posuwać się od sosny do sosny, kryjąc się za pniami. Ostatnie metry przebyli na czworakach i płasko przywarli do ziemi, częściowo schowani za pniami najniżej rosnących drzew. Mallory wydobył lornetkę, przetarł jej zamglone chłodem szkła i podniósł do oczu.

Zaśnieżony teren kończył się kilkaset metrów niżej. Jeszcze niżej zobaczył popękane, wyżłobione skałki, poprzątkane ciemną ziemią, a jeszcze dalej pas rzadkiej, odrażającej trawy. Wzdłuż dolnej granicy tego trawiastego pasa biegła żuźlowa smołowana droga, która była na oko w wyjątkowo dobrym, jak na ten rejon, stanie. Około stu metrów dalej, mniej więcej równoległe do niej biegł pojedynczy i nadzwyczaj wąski tor kolejowy — z porzewiałymi szynami i zarośnięty trawą, tak jakby nie korzystano z niego od lat. Tuż za torem grunt opadał nagle, tworząc skalne urwisko, ku wąskiemu, zakrzywionemu jezioru, którego przeciwległy brzeg charakteryzował się znacznie bardziej stromymi przepaściami o zupełnie gładkich ścianach, prawie pionowo, bez odchyłeń wspinających się ku dzikim ośnieżonym wierzchołkom gór.

Ze swojego miejsca leżący Mallory miał bezpośredni widok na zakrzywione w prawo jezioro, jezioro prawie niewiarygodnej piękności. W jasnych, błyszczących promieniach słońca, które świeciło tego ranka, iskrzyło się ono i mieniło niczym najczystsze szmaragdy. Jego gładkie lustro marszczyły niekiedy powiewy zabłąkanego wiatru, powiewy, dzięki którym szmaragdowy odcień wód nabierał głębi i zbliżał się barwą do niemal półprzezroczystego akwamarynu. Jezioro w naj-

szerszym miejscu miało co najwyżej czterysta metrów, ale z pewnością wiele kilometrów długości — długa, prawa odnoga, która wiała się i lawirowała pomiędzy górami, ciągnęła się na wschód prawie jak sięgnąć wzrokiem, natomiast krótka południowa odnoga po lewej ręce, otoczona coraz to bardziej pionowymi ścianami, kończyła się na betonowych wałach zapory. Jednakże uwagę patrzących przyciągało i przykuwało nade wszystko odbicie błyszczących gór widoczne w równie jak one niewiarygodnym szmaragdowym zwierciadle.

— No, no, no, ale piękny widok — mruknął Miller.

Andrea obrzucił go długim, nic nie mówiącym spojrzeniem i znów skupił uwagę na jeziorze.

Zaciekawienie Grovesa od razu pokonało w nim urazy.

— Co to za jezioro, panie kapitanie? — spytał.

Mallory opuścił lornetkę.

— Nie mam zielonego pojęcia. Mario? — zagadnął. Nie odpowiedziała. — Mario! Co... to... za... jezioro?

— Zalew na Neretwie — odparła ponuro — największy w Jugosławii.

— A więc jest ważny?

— Jest ważny. Kto ma w ręku tę zaporę, ma w ręku środkową Jugosławię.

— A mają ją w ręku Niemcy, prawda?

— Mają Niemcy. Mamy my! — w jej uśmiechu było coś więcej niż tylko ślad triumfu — my — Niemcy — zabezpieczyliśmy ją całkowicie. Z obu stron są skały. Tam, na wschodzie — w górnym końcu — jest w wąwozie zapora z pali, o szerokości dziesięciu jardów. Nocą i dniem strzegą jej patrole. Tak jak i samej zapory. Można się na nią dostać po stopniach — a raczej, po drabinkach — umocowanych w skale tuż przy niej.

— Bardzo ciekawa informacja — rzekł cierpko Mallory. — Dla brygady spadochroniarzy. Ale my mamy inne, pilniejsze zadanie. Chodźcie.

Spojrzał na Millera, ten zaś skinął głową i nie śpiesząc się ruszył z powrotem w górę zbocza, a za nim dwóch sierżantów, Maria i Petar. Mallory z Andrea pozostał jeszcze kilka chwil dłużej.

— Ciekaw jestem, jak wygląda — mruknął Mallory.

— Co? — spytał Andrea.

— Zapora po drugiej stronie.

— I drabinka wpuszczona w ścianę?

— I drabinka wpuszczona w ścianę.

\* \* \*

Z miejsca, w którym leżał, wysoko na szczycie skały po prawej czyli zachodniej stronie wąwozu rzeki Neretvy, generał Vukalović miał wspaniały widok

na drabinę wpuszczoną w skałę, prawdę mówiąc miał wspaniały widok na całą zewnętrzną ścianę zapory i wąwóz, który zaczynając się u jej podnóża, biegł blisko półtora kilometra na południe i ginął z oczu za ostrym zakrętem w prawo.

Sama zaporą była dość wąska, bo miała niewiele ponad trzydzieści metrów długości, lecz bardzo wysoka i kształtem przypominała nieco literę V, opadając ku zielonkawobiałemu nurtowi spienionej wody, wypływającej z rur wylotowych u jej podstawy. Na wierzchołku zapory, nieco wyżej, na jej wschodnim krańcu, stał budynek nastawni oraz dwa małe baraki, z których jeden, jak można było się domyślić po dobrze widocznych żołnierzach patrolujących jej szczyt, służył na pewno za wartownię. Ponad tymi zabudowaniami wznosiły się niemal pionowo w górę na wysokość około dziesięciu metrów ściany wąwozu, które wyżej zakrzywiały się, tworząc przerażający nawis.

Z nastawni wiodła na dno wąwozu zygzakowata, pomalowana na zielono drabinka, umocowana klamrami do lica skały. Od jej stóp zaś zbiegała w dół wąwozu mniej więcej stumetrowa wąska ścieżka, która kończyła się jak uciął w miejscu, gdzie jakieś obsunięcie się ziemi dawno temu wyłobilo wielką rozpadlinę. Prowadził stąd na przeciwległy brzeg Neretvy, do drugiej ścieżki, most przerzucony przez rzekę.

Jak na most, nie imponował niczym, był to bowiem wiekowy, rozklekotany most wiszący, który robił wrażenie, jakby w każdej chwili gotów był zwalić się pod własnym ciężarem w rwący nurt, a co gorsza, na pierwszy rzut oka wydawało się, że w tym miejscu umieścił go ktoś niespełna rozumu, gdyż wisiał na wprost olbrzymiego głazu, o kilkanaście metrów od osuwiska, głazu bez wątpienia osadzonego tak niepewnie, że tylko najodważniejszy śmiałek guzdrałby się przechodząc przez tę wiszącą konstrukcję. Jednakże, prawdę mówiąc, dla mostu tego nie było tu innego miejsca. Od jego zachodniego krańca biegła wzdłuż rzeki wąska, usiana kamieniami ścieżka, która mijając wyglądający na skrajnie niebezpieczny bród, by w końcu skrócić i zginąć z oczu wraz z rzeką.

Generał Vukalović opuścił lornetkę, obrócił się do sąsiada u swojego boku i uśmiechnął się.

— Na wschodzie bez zmian, co pułkowniku? — zagadnął.

— Na wschodzie bez zmian — potwierdził pułkownik Janzy. Był drobnym, urwisowatym, komicznym osobnikiem z młodzieńczą twarzą i nie licującymi z nią siwymi włosami. Obrócił się i spojrzał na północ. — Ale nie bez zmian, niestety, na północy.

Vukalović odwrócił się i jego uśmiech zniknął, znów podniósł lornetkę do oczu i spojrzał na północ. Niecałe pięć kilometrów od nich, w porannym słońcu widać było wyraźnie gęsto zalesioną Przełęcz Zenicy, od tygodnia stanowiącą pas zażartych walk pomiędzy broniącymi jej północnymi oddziałami Vukalovicia, którymi dowodził pułkownik Janzy, a jednostkami nacierającej niemieckiej 11 Grupy



Armii. Wznosiły się tam w tej chwili liczne obłoki dymu, na lewo wzbijał się w górę jego gruby spiralny słup, zasnuwając ciemnym kirem błękitne, bezchmurne akurat niebo, a odległy grzechot strzałów z broni ręcznej, przerywany co jakiś czas głośniejszym grzmotem artylerii, był prawie bezustanny. Vukalović opuścił lornetkę i spojrzął w zamyśleniu na Janzego.

— Zmiękczyją nas przed głównym atakiem? — spytał.

A jakżeby inaczej? Przed ostatecznym uderzeniem.

— Ile mają czołgów?

— Trudno tu o pewność. Mój sztab, podsumowawszy raporty, ocenia, że sto pięćdziesiąt.

— Sto pięćdziesiąt!

— Tyle im wyszło... a przynajmniej pięćdziesiąt z nich to „tygrysy”.

— Miejmy nadzieję, że twoi sztabowcy nie umieją liczyć. — Vukalović ze zmęczeniem potarł zaczerwienione oczy. Podczas minionej nocy nie zmrużył oka, nie spał też podczas poprzedniej. — Chodźmy sprawdzić, ilu doliczymy się my.

\* \* \*

Prowadzili ich teraz Petar i Maria, a Reynolds i Groves najwyraźniej mając ochotę tylko na swoje towarzystwo, zamykali grupę, jadąc pięćdziesiąt metrów z tyłu. Mallory, Andrea i Miller jechali wąską drogą ramię w ramię. Grek spojrzął na Mallory’ego, badając go wzrokiem.

— Co ze śmiercią Saundersa? — spytał. — Podejrzewasz kogoś?

Mallory potrząsnął głową.

— Spytaj mnie o coś innego — odparł.

— A ta wiadomość, którą dałeś mi do przesłania? Co to było?

— Meldunek o naszym szczęśliwym dotarciu do obozu Broznika. Nic więcej.

— To jakiś psychopata — odrzekł Miller. — Ktoś, kto biegle włada nożem. Tylko psychopata zabiłby z takiego powodu.

— Może nie zabił z tego powodu — odparł spokojnie Mallory. — Może myślał, że to wiadomość innego rodzaju.

— Innego rodzaju? — Miller uniósł brwi tak, jak tylko on jeden potrafił. — No, a jaki rodzaj... — Pochwycił spojrzenie Andrei, urwał i rozmyślił się, postanawiając, że nic więcej nie powie. Wraz z Andrea wpatrzył się z ciekawością w Mallory’ego, który chyba coś w duchu analizował.

Bez względu na powód owej analizy, nie zajęła mu ona wiele czasu. Zachowując się jak ktoś, kto właśnie doszedł do pewnego wniosku, Mallory podniósł głowę i ściągając uzdę swojego kuca, wezwał Marię, by się zatrzymała. Razem zaczęli czekać, aż dogonią ich Reynolds z Grovesem.

— Mamy do wyboru sporo możliwości, ale — na nasze szczęście lub nie-szczęście — postanowiłem, co następuje — oznajmił Mallory i blado się uśmiechnął. — Szczęśliwy, nawet gdyby to miał być jedyny argument, będzie taki rozwój wypadków, który pozwoli nam wynieść się stąd jak najszybciej. Rozmawiałem z majorem Brozikiem i dowiedziałem się, czego chciałem. Twierdzi, że...

— A więc zdobył pan informacje dla Neufelda? — spytał Reynolds. Jeśli chciał ukryć pogardę w swoim głosie, to spisał się fatalnie.

— Pal sześć Neufelda — odparł bez gniewu Mallory. — Szpiedzy partyzantów wysłedzili, gdzie trzymani są czterej pojmani alianccy agenci.

— Wyśledzili? — spytał Reynolds. — To dlaczego partyzanci się tym nie zajmą?

— Z całkiem usprawiedliwionego powodu. Bo agenci ci są trzymani w głębi terenu zajętego przez Niemców. W niezdobytym forcie amunicyjnym wysoko w górach.

— I co my zrobimy z tymi alianckimi agentami trzymanymi w owym niezdobytym forcie?

— To proste. A raczej — poprawił się Mallory — proste w teorii. Wydobędziemy ich stamtąd i dziś w nocy uciekniemy.

Reynolds i Groves wybałuszyli na niego oczy, a potem z osłupiałymi minami spojrzeli na siebie ze szczerym niedowierzaniem. Andrea i Miller starannie unikali nawzajem swojego wzroku i wszystkich innych.

— Pan oszalał! — oświadczył z niezłomnym przekonaniem Reynolds.

— Pan oszalał, panie kapitanie! — poprawił go karcąco Andrea.

Reynolds spojrział nic nie pojmując na Andreę i znów przeniósł wzrok na Mallory'ego.

— Z całą pewnością! — rzekł z naciskiem. — Uciekniemy? Ale dokąd, na miły Bóg?!

— Do domu. Do Włoch.

— Do Włoch?! — przetrwanie tej wstrząsającej wieści zajęło Reynoldsowi pełne dziesięć sekund, a wówczas spytał z sarkazmem: — Polecimy tam samolotem, jak się domyślam?

— Cóż, płynąć w pław przez Adriatyk to jednak kawał drogi, nawet dla tak zdrowego młodego człowieka jak wy. No bo jak inaczej, jeśli nie samolotem.

— Samolotem? — spytał odrobinę skołowany Groves.

— Samolotem. Niecałe dziesięć kilometrów stąd jest wysoko, wysoko w górach płaskowyż, znajdujący się przeważnie w rękach partyzantów. Dziś wieczorem o dziesiątej przyleci tam samolot.

Groves, tak jak ludzie, którzy nie pojęli tego, co właśnie usłyszeli, powtórzył to oświadczenie Mallory'ego w formie pytania.

— Dziś wieczorem o dziewiątej przyleci samolot? Załatwił pan to teraz?

— Jakże mogłem to zrobić? Przecież nie mamy radia.

Nieufna mina Reynoldsa świetnie uzupełniała sceptyczny ton jego głosu.

— Ale skąd może mieć pan pewność... Że o dziewiątej? — spytał.

— Ponieważ, począwszy od szóstej dziś wieczorem, będzie przelatywał nad tym pasem co trzy godziny, jeśli trzeba to przez cały tydzień, bombowiec wellington.

Mallory trącił kuca kolanem i oddziałek ruszył, a Reynolds i Groves zajęli swoją zwykłą w nim pozycję, jadąc dobry kawałek za innymi. Po jakimś czasie Reynolds, którego twarz wyrażała uczucia od wrogości po za dumę, utkwiał wzrok w plecach Mallory'ego, a po chwili zwrócił się do Grovesa.

— No, no, no. Jak to się wszystko wspaniale złożyło. Przypadkiem wysłano nas do obozu Broznika. Broznik przypadkiem wie, gdzie są trzymani ci czterej agenci. Przypadkiem na określone lotnisko o określonej porze przyleci samolot... No a poza tym ja przypadkiem z całą pewnością wiem, że na tym górskim płaskowyzu nie ma żadnego lotniska. Nadal uważasz, że gra się z nami szczerze i w otwarte karty?

Z nieszczęśliwej miny Grovesa jasno wynikało, że bynajmniej tak nie uważa.

— Więc co zrobimy, na miłość boską? — spytał.

— Będziemy się pilnować.

Pięćdziesiąt metrów przed nimi Miller odchrząknął i rzekł taktownie do Mallory'ego:

— Zdaje się, że Reynolds stracił nieco swojego... hmm... zaufania do pana, panie kapitanie.

— Nic dziwnego — odparł z przekąsem Mallory. — Podejrzewa, że to ja wbiłem Saundersowi w plecy ten nóż.

Tym razem Andrea i Miller wymienili spojrzenia, a na ich twarzach odmalowały się uczucia tak bliskie kompletnego zaskoczenia, jak tylko jest to możliwe u osobników z minami pokerzystów.

## VII. Piątek, godz. 10:00-12:00

Kilkaset metrów od obozu Neufelda napotkali kapitana Drosznego i grupkę jego czetników. Droszny powitał ich wyraźnie bez serdeczności, ale przynajmniej udało mu się, Bóg jeden wie jak wielkim kosztem, zachować pewne pozory pokojowej neutralności.

— A więc wróciliście? — spytał.

— Jak widać — potwierdził Mallory.

Droszny spojrzał na kuce.

— I to podróżując z wygodami.

— To prezent od naszego dobrego znajomego, majora Broznika. — Mallory uśmiechnął się szeroko. — Myśli, że jedziemy na nich do Konjic.

Drosznego chyba nie za bardzo obchodziło, co myśli major Broznik. Potrząsnął głową, zawrócił konia i szybkim kłusem odjechał do obozu Neufelda.

Kiedy w obozie zsiadli z kuców, Droszny natychmiast wprowadził Mallory'ego do chaty niemieckiego kapitana. Neufeld, podobnie jak czetnik, powitał go bez wielkiego zachwyty, lecz przynajmniej zdołał zabarwić swoją obojętność nutką życzliwości. Minę też miał tylko trochę zaskoczona, co natychmiast wyjaśnił.

— Szczerze mówiąc, kapitanie, nie spodziewałem się pana więcej ujrzeć. Było tak wiele... hmm... rzeczy nie do przewidzenia. Jednak bardzo się cieszę, że pana widzę... Bo nie powróciłby pan przecież bez informacji, którą pragnąłem zdobyć. A zatem, do interesów.

Mallory zmierzył Neufelda niechętnym spojrzeniem.

— Niestety, nie jest pan zbyt solidnym partnerem w interesach — odparł.

— Nie? — zdziwił się grzecznie Neufeld. — Jak to?

— Partnerzy w interesach się nie okłamują. Oczywiście, powiedział mi pan, że Vukalović grupuje oddziały. Tak jest rzeczywiście. Ale nie po to, jak pan twierdzi, żeby wyrwać się z oblężenia. Grupuje je do obrony przed niemieckim szturmem, atakiem, który ma je rozbić w puch, a atak ten, zdaniem partyzantów, jest już blisko.

— Och, chyba nie oczekiwał pan, że zdradzę panu nasze tajemnice wojskowe, które mógł pan, powiadam: mógł, przekazać wrogom, przed udowodnieniem, kim pan jest naprawdę — odparł logicznie Neufeld. — Taki naiwny to pan nie jest. A co do tego zamierzonego ataku, to od kogo pan o nim wie?

— Od majora Broznika. — Mallory uśmiechnął się na jego wspomnienie. — Był bardzo wylewny.

Neufeld pochylił się, a jego nagle znieruchomiała twarz i utkwione w Mallorym, patrzące bez zmruczenia powiek oczy zdradzały napięcie.

— A powiedzieli, z której strony spodziewają się tego ataku?

— Znam tylko nazwę. To most na Neretwie.

Neufeld ponownie zagłębił się wygodniej w krzesło, wydał z siebie długie bezgłośnie westchnienie ulgi i uśmiechnął się, żeby odebrać następnym słowom wszelką natarczywość.

— Przyjacielu, gdyby nie był pan Anglikiem, dezerterem, zdrajcą i handlarzem narkotyków, to dostałby pan za to Żelazny Krzyż. Przy okazji — dodał, jakby przypomniał sobie o tym przypadku po fakcie — z Padwy nadeszło potwierdzenie pańskiej tożsamości. A więc most na Neretwie? Jest pan pewien?

— Jeżeli pan mi nie wierzy... — obruszył się Mallory.

— Ależ wierzę, wierzę. To tylko taki zwrot. — Neufeld zamilkł na kilka sekund, po czym cicho powtórzył: — Most na Neretwie. — W jego ustach słowa te zabrzmiały prawie jak modlitwa.

— To się zgadza ze wszystkimi naszymi domysłami — wtrącił cicho Droszyny.

— Nie obchodzą mnie wasze domysły — rzekł opryskliwie Mallory. — Zajmijmy się moimi sprawami, jeśli łaska. A więc twierdzi pan, że spisaliśmy się dobrze? Że wypełniliśmy pańskie żądanie, że uzyskaliśmy tę informację, o którą panu chodziło?

Neufeld potwierdził skinieniem głowy.

— Więc proszę nas stąd natychmiast zabrać. Wywieźć gdzieś w głąb niemieckiego terytorium. Do Austrii albo do samych Niemiec, jeśli wola — im dalej stąd, tym lepiej. Wie pan, co nas czeka, gdybyśmy wpadli w ręce Anglików, albo Jugosłowian?

— Nietrudno się domyślić — odparł niemal wesoło Neufeld. — Ale pan nas nie docenia, przyjacielu. Pański wyjazd w bezpieczne miejsce został już załatwiony. Pewien szef wywiadu wojskowego w północnych Włoszech bardzo chciałby pana osobiście poznać. Ma podstawy sądzić, że bardzo mu się pan przyda.

Mallory skinął głową, że zrozumiał.

\* \* \*

Generał Vukalović skierował lornetkę na Przełęcz Zenicy — wąskie i mocno zalesione dno doliny, leżącej między podnóżami dwóch wysokich gór o stromych zboczach, gór o niemal identycznym kształcie i wysokości.

Nietrudno było umiejscowić pośród sosen czołgi niemieckiej 11 Grupy Armii, bo Niemcy wcale nie starali się o ich zamaskowanie czy ukrycie, co wyraźnie świadczyło, pomyślał ponuro Vukalović, jak bardzo są pewni siebie i wyniku czekającej ich bitwy. Dobrze widział żołnierzy krzątających się przy kilku stojących pojazdach; inne czołgi cofały się, manewrowały i zajmowały pozycje, tak jakby gotowały się do stanięcia w szyku bojowym przed rzeczywistym atakiem. Niski, grzmiący ryk silników potężnych „tygrysów” był niemal nieustanny.

Vukalović opuścił lornetkę, ołówkiem postawił kilka dalszych znaczków na kartce papieru, prawie całkowicie pokrytej już podobnymi znaczkami, wykonał kilka prostych działań arytmetycznych z dodawania, z westchnieniem odłożył kartkę i ołówek, a potem obrócił się do pułkownika Janzego, który był zajęty tym samym.

— Moje przeprosiny dla waszych sztabowców, pułkowniku — rzekł kwaśno.  
— Liczą tak dobrze, jak ja.

\* \* \*

Przynajmniej raz piracka postawa i promienny, pewny siebie uśmiech komandora Jensena nie rzuciły się tak bardzo w oczy, a właściwie w tej chwili nie zostało po nich śladu. Jeśli ktoś miał tak proporcjonalną twarz jak Jensen, to właściwie trudno mu było spuścić nos na kwintę, ale kiedy przechadzał się tam i z powrotem po sztabie operacyjnym 5 Armii w Termoli we Włoszech, jego skupione, marsowe oblicze zdradzało niewątpliwie oznaki napięcia, niepokoju i niewyspania.

Nie przechadzał się sam. U boku krok w krok tam i z powrotem towarzyszył mu tęgi, siwowłosy oficer w mundurze angielskiego generała brygady, z miną będącą dokładną repliką jego własnej. Kiedy dotarli do końca sali, generał zatrzymał się i spojrzał pytająco na sierżanta, który ze słuchawkami na uszach siedział przy wielkim radionadajniku RCA. Sierżant wolno potrząsnął przecząco głową. Dwaj wojskowi podjęli marsz.

— Czas ucieka. Jensen, czy na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie da się powstrzymać raz zaczętej ofensywy? — spytał znienacka generał.

— Tak — potwierdził przygnębiony Jensen. — Co mówią ostatnie meldunki zwiadu lotniczego, panie generale?

— Meldunków nam nie brakuje, ale Bóg jeden wie, jakie wnioski z nich wyciągnąć. — Głos generała zgorzkniał. — Na całej Linii Gustawa trwa wielka aktywność wojsk, w tym — o ile możemy się zorientować — dwóch dywizji pancernych, dywizji niemieckiej piechoty, dywizji piechoty austriackiej i dwóch batalionów strzelców — ich wyborowych oddziałów wysokogórskich. Na pewno jednak nie szykują ofensywy, bo, po pierwsze, niemożliwe, żeby wyprowadzili ją z rejonu, gdzie dokonują tych manewrów, a po drugie, gdyby planowali ofensywę, to zrobiliby wszystko co w ich mocy, żeby te przygotowania zachować w tajemnicy.

— A więc co oznacza ta cała aktywność? Skoro nie planują ataku.

Generał westchnął.

Zdaniem analityków, Niemcy przygotowują się do błyskawicznego wycofania wojsk. Zdanie analityków! A mnie obchodzi tylko jedno: to, że te przekłete dywizje nadal stoją na linii Gustawa! Co nie wypaliło, Jensen?!

Jensen uniósł ramiona w geście bezradności.

— Mieliliśmy kontaktować się ze sobą co dwie godziny, począwszy od czwartej rano...

— Ale oni w ogóle nie nawiązali łączności.

Jensen nic na to nie odpowiedział.

Generał przyjrzał mu się prawie badawczo.

— Najlepsi w południowej Europie, powiedział pan — rzekł.

— Tak, tak powiedziałem.

\* \* \*

Nie wyrażone głośno wątpliwości generała co do przymiotów agentów Jensena wybranych do operacji „Dziesiątka” poważnie by wzrosły, gdyby przebywał w tej chwili w baraku gościnnym w obozie kapitana Neufelda w Bośni. Bynajmniej nie wykazywali jednomyślności, zrozumienia i bezwzględnego wzajemnego zaufania, którego należałoby oczekiwać po grupie ludzi uważanych za najlepszych w branży. Zamiast tego panowała w ich gronie atmosfera pełna napięć i gniewu, atmosfera podejrzeń i nieufności tak gęsta, że prawie namacalna. Stojący przed Mallorym Reynolds ledwie mógł powstrzymać złość.

— Chcę to wiedzieć już! — oświadczył, niemal wykrzykując te słowa.

— Mów ciszej — ostrzegł go ostro Andrea.

— Chcę to wiedzieć już — powtórzył Reynolds. Tym razem jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu, niemniej natarczywy i domagający się odpowiedzi.

— Dowiedcie się we właściwym czasie, sierzancie — odparł Mallory, jak zwykle spokojnie, neutralnym tonem i bez gniewu. — Nie pędź. Czego się nie wie, tego się nie powie.

Reynolds zacisnął dłonie w pięści i zrobił krok w przód.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, do cholery, że...

— Nic nie chcę przez to powiedzieć — przerwał mu z opanowaniem Mallory. — Nie myliłem się co do was tam, w Termoli, sierzancie. Jesteście tyle warci, co tykająca bomba zegarowa.

— Możliwe. — Rozwścieczony Reynolds przestał nad sobą panować. — Ale po bombie wiadomo czego się spodziewać.

— Powtórz, coś powiedział — rzekł cicho Andrea.

— Co?

— Powtórz to.

— Niech pan posłucha, Andrea...

— „Pułkowniku Stavros”, synku,

— Panie pułkowniku.

— Powtórz to, a zagwarantuję ci co najmniej pięć lat odsiadki za nieposłu-

szeństwo na polu walki.

— Tak jest. — Fizyczny wysiłek, z jakim Reynolds się opanował, był widoczny dla wszystkich. — Ale czemu to kapitan miałby zatajać przed nami swoje plany na popołudnie, zdradzając nam jednocześnie, że wieczorem odlatujemy z tego tam Ivenici?

— Ponieważ Niemcy mogą nam te plany pokrzyżować — wyjaśnił cierpliwie Andrea. — Jeżeli się o nich dowiedzą. Gdyby któryś z nas wygadał się pod przymusem. Ale co do Ivenici, to nie mogą zrobić nic, bo Ivenici jest w rękach partyzantów.

Miller dla uspokojenia nastrojów zmienił temat.

— Siedem tysięcy stóp, powiada pan — rzekł do Mallory'ego. — Toż tam śnieg na pewno jest po pas. Jak, na miły Bóg, można liczyć na usunięcie takiej masy?

— Nie wiem — odrzekł wymijająco Mallory. — Sądzę, że ktoś coś wymyśli.

\* \* \*

I rzeczywiście, na leżącym na wysokości dwóch tysięcy metrów płaskowyżu Ivenici ktoś coś wymyślił.

Płaskowyż ten był białą, niegościnną, odludną pustynią, pustynią przez wiele miesięcy w roku przeraźliwie zimną, nieprzyjazną, pełną wyjących wiatrów, całkowicie wrogą wobec ludzi i nie tolerującą ich obecności. Od zachodu graniczył z liczącą sto pięćdziesiąt metrów wysokości ścianą skalną, w niektórych partiach zupełnie pionową, w innych popękana i pełną szczelin. Na całej jej długości występowały liczne zamrożone siklawy, gdzieniegdzie zaś szeregi sosen, nieprawdopodobnie rosnących na nieprawdopodobnie wąskich półkach skalnych, a ich zmarznięte, zwisłe gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu, padającego od sześciu miesięcy. Natomiast od wschodu płaskowyż graniczył ni mniej, ni więcej ale ze stromym, ostro zarysowanym szczytem jeszcze jednego skalnego urwiska, które opadało pionowo w doliny.

Sam płaskowyż był gładką, idealnie równą, nieprzerwaną połącją śniegu, śniegu, który na wysokości dwóch tysięcy metrów w promieniach jaskrawego słońca lśnił i skrzył się tak, że aż boleśnie raził w oczy. Płaskowyż miał chyba z osiemset metrów długości a w najszerszych miejscach dochodził do stu metrów. Na południowym krańcu wznosił się nagle łącząc ze skalną ścianą, która w tym miejscu opadała pod łagodnym kątem i kryła się w ziemi.

Na tym wzniesieniu rozbito dwa namioty, oba białe, mały i duży. Przed małym namiotem stało rozmawiając dwóch mężczyzn. Wyższy i starszy, w ciężkim płaszczu i przydymionych okularach, pułkownik Vis, był dowódcą brygady partyzantów, mających bazę w Sarajewie, młodszy, szczuplejszy, kapitan Vlanović, jego



adiutantem. Obaj przyglądali się rozległemu płaskowyżowi.

— Na pewno są na to łatwiejsze metody, panie pułkowniku — powiedział strapiiony Vlanović.

— Wymień je, Borysie, a je zastosuję. — Sądząc tak z wyglądu, jak z głosu, pułkownik Vis był człowiekiem nadzwyczaj spokojnym i znającym się na rzeczy. — Owszem, przydałyby nam się buldożery. Podobnie jak pługi śnieżne. Ale przyznasz, chłopcze, że wjechanie nimi tu na górę po pionowych ścianach skalnych wymagałoby od kierowców nie lada zręczności. A poza tym, od czego jest wojsko, jeśli nie od maszerowania.

— Tak jest, panie pułkowniku — odparł służbiście i z powątpiewaniem Vlanović.

Obaj spojrzeli na długi płaskowyż, ciągnący się na północ.

Na północy i dalej, wszędzie dookoła pięły się w bezchmurne wyblakłe błękitne niebo liczne górskie szczyty, niektóre poszarpane, szpiczaste i posępne, inne zaokrąglone, zaróżowione i w śnieżnych czapach. Widok był przewspaniały.

Jeszcze wspanialsze widowisko rozgrywało się na samym płaskowyżu. Zwarta kolumna złożona z tysiąca żołnierzy w mundurach, z których połowa miała szary bawoli kolor uniformów jugosłowiańskiej armii, a reszta stanowiła zdumiewającą zbieraninę mundurów z innych krajów, posuwała się w ślimaczym tempie przez dziewiczy śnieg.

Kolumnę tworzyło dwadzieścia żołnierskich rzędów po pięćdziesięciu ludzi, a cała pięćdziesiątka trzymała się za ręce, z pochylonymi głowami i ramionami z uciążliwą powolnością brnąc mozolnie przez śnieg. Ich powolny marsz wcale nie dziwił, bo pierwszy szereg przedzierał się przez śnieg po pas, a na twarzach żołnierzy zaczęły się już pojawiać pierwsze oznaki wysiłku i zmęczenia. Była to zabójczo ciężka harówka, harówka, która na tej wysokości dwakroć przyspieszała puls, sprawiając, że człowiek walczył o każdy oddech, nogi robiły mu się ciężkie jak z ołowiu, a członki darły tak, że tylko dzięki temu, iż bolały, przekonywał się, że wciąż je ma.

Dotyczyło to nie tylko mężczyzn. Za pierwszymi pięcioma szeregami złożonymi z żołnierzy w dalszej części kolumny szło prawie tyle samo kobiet i dziewcząt, co mężczyzn, chociaż wszyscy byli tak mocno okutani przed zimmem i kąśliwymi wiatrami wiejącymi na tych wysokościach, że nie sposób było odróżnić ich płci. Ostatnie dwa szeregi kolumny składały się z samych partyzantek, a o morderczym trudzie, który i tak przypadł im w udziale, świadczył złowieszczo fakt, że nawet one zapadały się po kolana w śnieg.

Był to fantastyczny widok, ale widok bynajmniej nie wyjątkowy podczas wojny w Jugosławii. Do leżących na nizinach lotnisk, którymi władały niepodzielnie pancerne dywizje Wehrmachtu, Jugosłowianie nie mieli dostępu i właśnie dlatego partyzanci zbudowali wiele pasów startowych w górach. Przy tak głębokim

śniegu i terenach całkowicie niedostępnych dla sprzętu mechanicznego nie mieli innego wyjścia.

Pułkownik Vis oderwał wzrok od płaskowyżu i obrócił się w stronę kapitana Vlanovicia.

— No, Borys, myślisz, chłopcze, że przyjechałeś tu na narty? Zorganizuj kuchnię, żeby ugotowały jedzenie i zupę. W jeden dzień zużyjemy tygodniowe racje ciepłej strawy i gorącej zupy.

— Tak jest, panie pułkowniku. — Vlanović zadarł głowę, a potem zdjął zakrywającą mu uszy futrzaną czapkę, żeby lepiej słyszeć huk odległych wybuchów, które przed chwilą odezwały się na północy. — A to co, u licha?

— Dźwięk niesie się daleko w naszym czystym górskim powietrzu, co? — rzekł w zadumie Vis.

— Słucham, panie pułkowniku?

— Słyszysz, chłopcze, odgłosy z bazy messerschmittów w Novo Dervencie, które dostają wycisk, jakiego nie znały.

— Słucham?

Vis westchnął z cierpliwym pobłażaniem.

— Jeszcze zrobię z ciebie kiedyś żołnierza — odparł. — Messerschmitty, Borysie, to myśliwce, wyposażone w rozliczne paskudne działka i karabiny maszynowe. Co w tej chwili w Jugosławii stanowi dla nich wymarzony cel?

— Co stanowi... — Vlanović urwał i spojrzał na posuwającą się mozolnie kolumnę. — Aha!

— Właśnie, „aha”! Angielskie lotnictwo skierowało dziś sześć swoich najlepszych eskadr ciężkich bombowców lancasterów z frontu włoskiego tylko po to, żeby zajęły się naszymi znajomkami z Novo Derventy. — Teraz z kolei pułkownik Vis zdjął czapkę, żeby lepiej słyszeć. — Są bardzo zajęci, co? Kiedy skończą, z tego lotniska przez tydzień nie da rady wystartować nawet jeden messerschmitt. Oczywiście, jeżeli pozostaną tam jakieś zdolne do startu.

— Czy wolno mi coś powiedzieć, panie pułkowniku?

— Tyle ci wolno.

— Są jeszcze inne bazy myśliwców.

— To prawda. — Vis wskazał w niebo. — Widzisz coś?

Vlanović wyciągnął szyję, osłonił oczy przed jaskrawym słońcem, przyjrzał się pustemu błękitnemu niebu i potrząsnął przecząco głową.

— Ja też nie — rzekł Vis. — Ale na wysokości siedmiu kilometrów eskadry beaufighterów — których załogi marzną jeszcze bardziej niż my — pomogą nam patrolując niebo aż do zmroku.

— Kim... kim on jest, panie pułkowniku? Kto zażądał ściągnięcia tu aż tylu naszych żołnierzy, tylu eskadr bombowców i myśliwców?

— O ile wiem, kapitan nazwiskiem Mallory.

— Kapitan?! Tak jak ja?  
— Kapitan. Wątpię, Borysie, czy taki jak ty — dodał życzliwie pułkownik.  
— Ale to nie jego stopień jest tu ważny. Ważne jest jego nazwisko — Mallory.  
— Nie słyszałem o nim.  
— No, to usłyszysz, chłopcze, usłyszysz.  
— Ale... ale ten Mallory. Po co mu to wszystko?!  
— Zapytaj się go, kiedy go poznasz dziś wieczorem.  
— Kiedy poznam... To on tu dziś będzie?  
— Dziś wieczorem — powiedział Vis i dodał ze smutkiem: — Jeżeli do tego czasu dożyje.

\* \* \*

Neufeld, a za nim Droszny, weszli energicznym krokiem do baraku radiowego — ponurej, rozsypującej się przybudówki, wyposażonej w stół, dwa krzesła, duży przenośny nadajnik i nic więcej. Siedzący przy radiu niemiecki kapral podniósł pytająco wzrok na wchodzących.

— Z dowództwem 7 Korpusu Pancernego przy moście na Neretvie — rozkazał Neufeld. Był wyraźnie w doskonałym humorze. — Chcę rozmawiać osobiście z generałem Zimmermannem.

Kapral skinął głową, nadał sygnał wywoławczy i w ciągu kilku sekund otrzymał odpowiedź. Słuchał krótką chwilę, a potem podniósł wzrok na Neufelda.

— Generał już podchodzi, panie kapitanie.

Neufeld sięgnął po słuchawki, wziął je i głową wskazał drzwi. Kapral wstał i wyszedł z przybudówki, a Neufeld zajął jego miejsce i z zadowoleniem nałożył słuchawki. Po paru sekundach wyprostował się odruchowo na krześle, bo w słuchawkach zatrzeszczał głos.

— Tu kapitan Neufeld, panie generale — zameldował się. — Anglicy powrócili. Z wiadomością, że dywizja partyzantów w Kotle Zenicy spodziewa się zmasowanego ataku od południa, przez most na Neretvie.

— Tak? — generał Zimmermann, wygodnie usadowiony w obrotowym krześle z tyłu wozu łączności stojącego na skraju lasu, wprost na południe od mostu na Neretvie, nie próbował nawet ukryć zadowolenia w głosie. Brezentowy dach ciężarówki był zrolowany, więc generał zdjął z głowy czapkę z daszkiem, żeby zażyć promieni bladego wiosennego słońca. — Ciekawe, bardzo ciekawe. Coś jeszcze?

— Tak — zatrzeszczał metalicznie w słuchawkach głos Neufelda. — Poprosili o przewiezienie ich samolotem w bezpieczne miejsce. W głąb naszego terytorium, nawet do Niemiec. Nie czują się tu... mmm... dobrze.

— No, no, no. A więc tak się czują. — Zimmermann zamilkł, rozważył coś,

po czym dodał: — Orientuje się pan całkowicie w sytuacji, kapitanie? Jest pan świadom, jak delikatnie wyważone... mmm... subtelności wchodzą w grę?

— Tak, panie generale.

— Wymaga to chwili zastanowienia. Proszę zaczekać.

Zastanawiając się nad decyzją Zimmermann leniwie kilkakroć obrócił się z krzesłem na boki. W zamyśleniu, choć prawie nie widząc tego, na co patrzy, spojrzął na północ, ponad łąkami stykającymi się z południowym brzegiem Neretvy, na rzekę spojeną żelaznym mostem, a potem na łąki na jej drugim brzegu, który wspinał się stromo ku skalistej reducie, służącej partyzantom pułkownika Laszlo za pierwszą linię obrony. Na wschodzie, kiedy się obrócił, zobaczył zielonobiałe wartkie wody rzeki, a na jej przeciwległym brzegu łąki, coraz węższe i węższe, po skręceniu na północ zaś nagle ginące z oczu w wylocie skalistego wąwozu, z którego wyłaniała się Neretva. Jeszcze ćwierć obrotu i przed oczami miał sosnowy las na południu, sosnowy las, który w pierwszej chwili wyglądał niewinnie i pusto — to znaczy, dopóki wzrok nie przywykł do mroku i mnóstwa dużych prostokątnych kształtów, skutecznie chronionych przed obserwacją z powietrza i północnego brzegu Neretvy przez maskujące brezentowe płachty, siatki i wielkie stopy suchych gałęzi. Widok tych zamaskowanych grotów jego dwóch pancernych dywizji w jakimś stopniu pomógł mu podjąć decyzję. Ujął mikrofon.

— Kapitanie Neufeld? Zdecydowałem, co zrobimy, proszę więc dokładnie wypełnić następujące polecenia...

Droszny zdjął z uszu drugą parę słuchawek i rzekł z powątpiewaniem do Neufelda

— Czy generał nie żąda od nas za dużo?

Neufeld uspokajająco potrząsnął głową.

— Generał Zimmermann zawsze wie co robi. Jego sąd o psychice takich jak Mallory sprawdza się zawsze w stu procentach.

— Mam nadzieję. — Droszny nie był przekonany. — Mam taką nadzieję przez wzgląd na nas.

Wyszli z przybudówki.

— Wezwij do mojej kancelarii kapitana Mallory'ego — polecił Neufeld radiooperatorowi. — I sierżanta Baera.

Kiedy Mallory stawiał się w kancelarii, zastał tam już Neufelda z Drosznym i Baerem. Neufeld przemówił krótko i rzeczowo.

— Postanowiliśmy wywieźć was stąd samolotem z podwoziem płożowym — to jedyne maszyny, które mogą lądować w tych przeklętych górach. Macie kilka godzin czasu na sen — nie wyruszamy stąd przed czwartą. Ma pan pytania?

— A gdzie jest to lądowisko?

— Na polanie. Kilometr stąd. Coś jeszcze?

— Nie. Tylko nas stąd wywieźcie.

— Co do tego nie ma żadnych obaw — rzekł z naciskiem Neufeld. — Moim jedynym pragnieniem jest wyprawić was stąd szczęśliwie w drogę. Szczerze mówiąc, Mallory, sprawiacie nam same kłopoty, więc im prędzej wyjedziecie, tym lepiej.

Mallory skinął głową i wyszedł.

— Mam dla was małe zadanie, sierżancie — powiedział Neufeld do Baera. — Małe, ale bardzo ważne. Słuchajcie uważnie.

Mallory z zamyśloną miną opuścił barak Neufelda i przeszedł wolno przez obozowisko. Kiedy zbliżał się do baraku gościnnego, ze środka wyłonił się Andrea i minął go bez słowa, spowity w obłok cygarowego dymu i nachmurzony. Mallory wszedł do baraku, gdzie Petar znowu grał jugosłowiańską wersję „Dziewczyny, którą zostawiłem”. Była to chyba jego ulubiona piosenka. Mallory spojrzał na Marię, Reynoldsa i Grovesa, którzy siedzieli w milczeniu, a potem na Millera, który z tomikiem wierszy w ręku na wpół leżał w śpiworze.

— Coś zmartwiło naszego przyjaciela — powiedział, wskazując głową drzwi.

Miller uśmiechnął się szeroko i teraz on z kolei skinął głową w kierunku Petara.

— Znowu gra melodię Andrei — wyjaśnił.

Mallory uśmiechnął się krótko i zwrócił się do Marii.

— Powiedz mu, żeby przestał grać. Wyruszamy późnym popołudniem i wszyscy potrzebujemy jak najwięcej snu.

— Możemy pospać w samolocie — odezwał się ponuro Reynolds. — Możemy spać po dotarciu na miejsce przeznaczenia... Gdziekolwiek ono się znajduje.

— Nie, śpijcie teraz.

— Dlaczego teraz?

— Dlaczego teraz? — Mallory z roztargnieniem zapatrzył się w przestrzeń. — Bo być może nie będzie już więcej czasu na nic.

Reynolds spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Po raz pierwszy tego dnia na jego twarzy nie było podejrzliwości i wrogości. Tylko pełna zaciekawienia zaduma i pierwsze nikłe oznaki zrozumienia.

Na płaskowyżu Ivenici kolumna posuwała się dalej, ale już nie jak ludzie. Partyzanci potykali się, w różnym stopniu wyczerpani, poruszając się w najlepszym razie jak automaty, upiory wskrzeszone z martwych, z twarzami wykrzywionymi bólem i niewyobrażalnym zmęczeniem, z rozpalonymi członkami i odrętwiali duchem. Co kilka sekund ktoś potykał się, upadał, nie mógł wstać i odnoszono go pomiędzy dziesiątki innych, już leżących w stanie bliskim śpiączki z boku przy prymitywnym pasie startowym, gdzie partyzantki robiły wszystko, co w ich mocy, żeby przywrócić do życia ich przemarznięte, wyczerpane ciała kubkami gorącej zupy i hojnymi porcjami rakii.

Kapitan Vlanović obrócił się w stronę pułkownika Visa. Minę miał strapioną, a głos cichy i bardzo poważny.

— To szaleństwo, panie pułkowniku, szaleństwo! To... to niemożliwe, sam pan widzi, że niemożliwe. Nigdy nam... Panie pułkowniku, w ciągu pierwszych dwóch godzin odpadło dwustu pięćdziesięciu ludzi. Ta wysokość, zimno, zwykłe wyczerpanie fizyczne... To szaleństwo.

— Cała wojna to szaleństwo — odparł ze spokojem Vis. — Przekaż przez radio, że potrzebujemy jeszcze pięciuset ludzi.

## VIII. Piątek, godz. 15:00-21:15

Mallory wiedział, że już czas. Spojrzał na Andreę, Millera, Reynoldsa, Grovesa i pojął, że oni też to wiedzą. Na ich twarzach dostrzegł bardzo wyraźnie to, co kryło się tuż pod powierzchnią jego własnych myśli — gwałtowne napięcie, krańcową, napiętą do ostateczności czujność gotową przejść w równie gwałtowny czyn. Zawsze nadchodziła owa chwila prawdy, która obnażała ludzi i pokazywała, co są naprawdę wari. Zastanawiał się, jacy okażą się Reynolds i Groves; miał wrażenie, że spiszą się dobrze. Zastanawianie się nad Andreą i Millerem nie przyszło mu na myśl, gdyż za dobrze ich znał. Miller, kiedy wszystko wydawało się stracone, przerastał samego siebie. Natomiast Andrea, zazwyczaj powściągliwy w zachowaniu, niemal ospały, zmieniał się nie do poznania w istotę będącą nieprawdopodobnym połączeniem zimnego wyrachowania z furiacko walczącą maszyną, dla której Mallory przy całej swej wiedzy i doświadczeniu nie znajdował najdalejszych nawet analogii. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał chłodno i bezosobowo jak nigdy dotąd.

— Wyruszamy o czwartej. Jest trzecia. Jeżeli się nam poszczęści, zaskoczemy ich zniemacka. Wszystko jasne?

— To znaczy, że jeżeli coś nie wyjdzie, to utorujemy sobie odwrót strzelając? — spytał ze zdumieniem, prawie z niedowierzaniem Reynolds.

— Strzelając, strzelając, żeby zabić. To rozkaz, sierżancie.

Jak Boga kocham, nic z tego nie rozumiem — wyznał Reynolds z miną jasno wskazującą, że porzucił wszelkie próby zrozumienia, co się dzieje.

Mallory z Andreą opuścili barak i niedbałym krokiem przeszli przez obóz do baru Neufelda.

— Rozgryźli nas — powiedział Mallory.

— Wiem. Gdzie Petar i Maria?

— Może śpią? Wyszli z baru dwie godziny temu. Przyjdziemy po nich później.

— Później może być za późno... Są w wielkim niebezpieczeństwie, Keith.

— Co można na to poradzić, Andrea? Od dziesięciu godzin o niczym innym nie myślę. To strasznie nieludzkie ryzyko, ale muszę je podjąć. Są wpisani na straty. Przecież wiesz, co by było, gdybym odsłonił karty teraz.

— Wiem — odparł zatroskany Andrea. — Koniec wszystkiego.

Weszli do baru Neufelda nie dbając o to, by zapukać. Siedzący przy biurku kapitan, u którego boku stał Droszny, podniósł się gniewnie zaskoczony i spojrział na zegarek.

— Powiedziałem: o czwartej, nie o trzeciej — oświadczył lakonicznie.

— To nasza wina — odparł przepaszając Mallory. Zamknął drzwi. — Proszę zachowywać się rozsądnie.

Neufeld i Droszny zachowali się rozsądnie, tak jak większość ludzi, w których mierzą dwa lugery z dziurkowanymi tłumikami wkręconymi w lufy — po prostu zamarli, a z ich twarzy wolno zaczął ustępować szok. Neufeld odezwał się dopiero po dłuższej chwili, a mówiąc prawie się zacinał.

— Poważnie zawiniłem nie doceniając...

— Proszę milczeć. Szpiedzy Broznika wyśledzili, gdzie trzymani są czterej alianccy agenci. Z grubsza wiemy, gdzie się znajdują. Pan wie to dokładnie. I zaprowadzi nas tam. Natychmiast.

— Pan oszalał — odrzekł z przekonaniem Neufeld.

— Nam nie trzeba tego mówić — powiedział Andrea.

Przeszedł za plecy Neufelda i Drosznego, wyjął im z kabur pistolety, usunął z nich naboje i włożył broń z powrotem. Następnie poszedł w kąt izby, wziął stamtąd dwa pistolety maszynowe, opróżnił je z naboji, okrążył stół, stanął przed nim i położył schmeissery na blacie — jeden przed Neufeldem, drugi przed Drosznym.

— Proszę bardzo, panowie — rzekł uprzejmie. — Jesteście uzbrojeni po zęby.

— A gdybyśmy z wami nie poszli? — spytał Droszny, ziejąc złością.

Po uprzejmości Andrei nie zostało ani śladu. Bez pośpiechu obszedł stół i tak mocno trzasnął czetnika tłumikiem lugera w zęby, że Drosznego aż zatkało z bólu.

— Proszę cię... — rzekł do niego prawie błagalnym tonem — bardzo proszę, nie wódź mnie na pokuszenie!

Droszny nie powiódł go na pokuszenie. Mallory przysunął się do okna i wyjrzał na obóz. Zobaczył, że w promieniu dziesięciu metrów od baraku Neufelda kręci się przynajmniej z tuzin czetników, bez wyjątku uzbrojonych. Po drugiej stronie obozu dostrzegł otwarte drzwi stajni, co świadczyło, że Miller i dwóch sierżantów są na stanowiskach.

— Przejdziecie przez obóz do stajni — powiedział. — Do nikogo się nie odezwiecie, nikogo nie ostrzeżecie, nie dacie żadnych znaków. Będziemy szli dziesięć kroków za wami.

— Dziesięć kroków? A co nas powstrzyma od ucieczki? Nie ośmielicie się prowadzić nas pod lufami.

— Rzeczywiście — przyznał Mallory. — Jak tylko otworzycie te drzwi, ze stajni wymierzą w was trzy schmeissery, spróbujcie zrobić cokolwiek — cokolwiek! — a poszatkują was na kawałki. Dlatego właśnie będziemy trzymać się w słusznej odległości za wami — żeby nie poszatkowali także nas.

Na znak Andrei Neufeld i Droszny w gniewnym milczeniu zawiesili na ramionach nie nabite schmeissery. Mallory przyjrzał się im z namysłem i oznajmił:

— Koniecznie musicie zmienić miny. Macie wypisane na twarzach, że coś jest nie tak. Jeżeli otworzycie drzwi mając takie gęby, Miller skosi was, zanim dojdziecie do dolnego schodka. Uwierzcie mi.



Uwierzyli mu i kiedy otworzył drzwi, zdążyli już nadać swoim twarzom wyraz w miarę udanie naśladowujących ich normalne miny. Zeszli po schodkach i pomaszrowali przez obozowisko. Kiedy pokonali połowę drogi, Andrea i Mallory wyszli z baraku Neufelda i ruszyli za nimi. Raz czy dwa spojrzano na nich z gnuśnej ciekawości, ale było jasne, że nikt nie podejrzewa, iż dzieje się coś niedobrego. Przejście przez obóz do stajni odbyło się bez najmniejszych przeszkód.

Tak samo jak w dwie minuty później ich odjazd z obozu. Neufeld z Drosznym, jak słusznie należało oczekiwać, jechali na przedzie, a czetnik wyglądał nader wojowniczo ze schmeisserem, pistoletem i paskudnymi zakrzywionymi nożami za pasem. Za nimi jechał Andrea, który wyraźnie miał jakieś kłopoty z zamkiem swojego schmeissera, bo trzymał go w dłoniach i uważnie oglądał. Z pewnością nie patrzył na żadnego z nich, a myśl, że wystarczy unieść rozsądnie skierowaną w ziemię lufę pistoletu tylko kilkadziesiąt centymetrów i nacisnąć spust, żeby podziurawił jak rzeszoto dwójkę w przodzie, wydawała się tak niedorzeczna, że nie wpadłaby do głowy nawet najbardziej podejrzliwym. Za Andream jechali ramię w ramię Mallory z Millerem, tak samo jak on beztroscy, a nawet lekko znudzeni. Reynolds i Groves zamykali pochód jadąc z nonszalancją zbliżoną, choć nie w pełni, do cechującej pozostałą trójkę. Ich nieruchome twarze, niespokojnie strzelające spojrzenia, zdradzały, że są napięci. Ale niepotrzebnie się niepokoiłi, bo cała siódemka wyjechała z obozu nie tylko przez nikogo nie zaczepioną, ale nawet bez jednego pytającego spojrzenia rzuconego w jej kierunku.

Jechali przez ponad dwie i pół godziny, niemal cały czas pod górę, a kiedy dotarli do polany leżącej — nareszcie w tym jednym przypadku — na równym gruncie, krwawoczerwone słońce zachodziło za rzędniejący sosnowy las. Neufeld i Droszny zatrzymali kuce i zaczęli czekać, aż dojadą do nich pozostali. Mallory ściągnął cugle i przyjrzał się budowli pośrodku polany — niskiemu, przysadzistemu, wyglądającemu na niezwykle mocny fortowi amunicyjnemu z wąskimi, grubo kratowanymi oknami i dwoma kominami, z których jeden dymił.

— To tu? — spytał Mallory.

— Całkiem zbyteczne pytanie — odparł chłodno Neufeld tonem podszytym niekłamanym gniewem i urazą. — Sądzi pan, że przez cały ten czas prowadziłem pana w niewłaściwe miejsce?

— Tego nie mogę wykluczyć — odparł Mallory. Przyjrzał się budowli dokładniej. — Wygląda gościnnie.

— Magazyny jugosłowiańskiej armii nie były przeznaczone na pierwszorzędne hotele.

— Na pewno nie — zgodził się Mallory.

Na jego znak ponagliłi kuce do wjazdu na polanę, a kiedy to zrobili, w ścianie fortów widocznej z ich strony odsunęły się dwie metalowe listwy, odsłaniając dwa otwory strzelnicze i sterczące z nich pistolety maszynowe. Siedmiu jeźdźców,

przy takiej osłonie, jaką mieli, zdanych było całkowicie na łaskę ich złowieszczych luf.

— Ma pan czujnych żołnierzy — rzekł z uznaniem Mallory do Neufelda. — Niewielu ich potrzeba do strzeżenia i utrzymania takiej fortecy. Ilu ich tam jest?

— Sześciu — odparł z wahaniem Neufeld.

— Będzie siedmiu, to koniec z panem — ostrzegł Andrea.

— Sześciu.

Kiedy podjechali bliżej, pistolety — prawie na pewno dlatego, że żołnierze rozpoznali Neufelda i Drosznego — cofnęły się, otwory strzelnicze zamknęły, a ciężkie drzwi wejściowe otworzyły. W progu pojawił się sierżant i z nieco zaskoczoną miną zasalutował z szacunkiem.

— Co za miła niespodzianka, panie kapitanie — powiedział. — Nie mieliśmy przez radio żadnej wiadomości, że pan przyjedzie.

— Radio chwilowo nie działa. — Neufeld gestem zaprosił wszystkich do środka, lecz Andrea z szarmancką stanowczością wskazał, by niemiecki oficer wszedł pierwszy, a uprzejmość swą poparł groźnym ruchem schmeissera. Neufeld wszedł do środka, a za nim Droszny i pozostała piątka.

Okna były tu tak wąskie, że palące się lampy naftowe były bez wątpienia nieodzowne, a siłę ich światła podwajało duże ognisko z kłód płonących na palenisku. Nie ma nic bardziej ponurego od ścian z grubo ciosanych kamieni. Ale samo pomieszczenie było, o dziwo, niezłe wyposażone w meble: stół, kanapę, i dwa fotele z poręczami, a nawet w kilka kawałków dywanu. Wychodziło z niego troje drzwi, jedno mocno zakratowane. Wliczając sierżanta, który ich powitał, przebywało tam trzech uzbrojonych żołnierzy. Mallory spojrzał na Neufelda, który z twarzą ściągniętą tłumionym gniewem skinął głową.

— Przyrowadź jeńców — rozkazał Neufeld jednemu ze strażników.

Żołnierz skinął głową, zdjął ze ściany ciężki klucz i podszedł do zakratowanych drzwi. Sierżant z drugim strażnikiem zasuwali właśnie metalowe osłony na otwory strzelnicze. Andrea niedbałym krokiem podszedł do bliższego strażnika i znienacka gwałtownie pchnął go na sierżanta. Obaj oni padli na strażnika, który przed chwilą włożył klucz do zamka. Strażnik zwałił się ciężko na podłogę, ale pierwsi dwaj, chociaż mocno się zataczali, zdołali odzyskać pozory równowagi, a przynajmniej utrzymać się na nogach. Cała trójka z gniewnymi, zdezorientowanymi i wystraszonymi minami obróciła się, by spojrzeć na Greka, a wówczas wszyscy trzej zamarli — i całkiem słusznie. Mądrzy ludzie zawsze zamierają, kiedy z odległości trzech kroków mierzy się do nich ze schmeisserów.

— Jest jeszcze trzech żołnierzy. Gdzie oni są? — spytał Mallory sierżanta.

Nie było odpowiedzi — strażnik wyzywająco utkwiał w nim wzrok. Mallory powtórzył pytanie, tym razem w płynnej niemczyźnie, ale strażnik zlekceważył je i spojrzał pytająco na Neufelda, który tak szczelnie zacisnął wargi, że wyglądały,

jakby były z kamienia.

— Oszaleliście? — spytał Neufeld sierżanta. — Nie widzicie, że ci ludzie to mordercy? Odpowiedzcie mu.

— To nocna zmiana. Śpią. — Sierżant wskazał drzwi. — Za nimi.

— Otwórz je. Każ im wyjść. Tyłem i z rękami na karku.

— Wykonajcie dokładnie rozkaz — polecił mu Neufeld.

Sierżant wypełnił dokładnie rozkaz, podobnie jak trzej strażnicy odpoczywający w środkowym pomieszczeniu, którzy wyszli jak im nakazano, z pewnością nie myśląc o stawianiu oporu. Mallory obrócił się w stronę strażnika z kluczem — zdążył on już nieco chwiejnie wstać z podłogi — i wskazał głową zamknięte drzwi.

— Otwórz — rozkazał.

Strażnik przekręcił klucz w zamku i pchnięciem szeroko otworzył drzwi. Czterech angielskich oficerów wyszło stamtąd wolno i niepewnie do pierwszego pomieszczenia. Długi pobyt w zamknięciu sprawił, że byli bardzo bladzi, ale poza więzienną bladością i wychudzeniem bez wątpienia nic złego ich nie spotkało. Pierwszy z nich w randze majora i z wąsem typowym dla wojskowych z akademii w Sandhust, który — jak się okazało — mówił również z tamtejszym akcentem, zatrzymał się jak wryty i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy na Mallory'ego i jego żołnierzy.

— Boże święty! A co wy, ludzie, u licha...

— Przepraszam — przerwał mu Mallory. — Przykro mi, ale o tym pomówimy później. Weźcie płaszcze, cokolwiek ciepłego macie, i zaczekajcie na zewnątrz.

— Ale... ale dokąd nas zabieracie?

— Do domu. Do Włoch. Dziś wieczorem. Pośpieszcie się, proszę!

— Do Włoch. Mówi pan...

— Prędezej! — Mallory z niejakim rozdrażnieniem zerknął na zegarek. — Już jesteśmy spóźnieni.

Tak szybko, jak pozwalało im na to oszołomienie, czterej oficerowie zabrali ciepłą odzież i rzędem wyszli na zewnątrz.

— Na pewno macie tu kuce, stajnię — powiedział Mallory do niemieckiego sierżanta.

— Na tyłach fortu — odparł prędko sierżant. Niewątpliwie bardzo szybko przystosował się do nowej rzeczywistości.

— To ci się chwali — pochwalił go Mallory. Spojrzał na Reynoldsa i Grovesa. — Potrzebujemy jeszcze dwóch kucy. Osiodłajcie je, dobrze?

Sierżanci wyszli. Pod czujnymi lufami pistoletów Mallory'ego i Millera Andrea obszukał po kolei całą szóstkę strażników, nie znalazł nic, wprowadził ich do celi, przekręcił w zamku ciężki klucz i powiesił go na ścianie. Potem z równą starannością obszukał Neufelda i Drosznego. Kiedy niedbale rzucił w kąć noże czetni-

ka, ten zrobił rozwścieczoną minę.

— W razie konieczności zastrzeliłbym was — oświadczył Mallory, patrząc na dwóch jeńców. — Ale nie ma potrzeby. Aż do rana nikt za wami nie zatęskni.

— Możliwe, że nie zatęsknią za nimi przez kilka ładnych ranków — dodał znacząco Miller.

— I tak już są przeciążeni obowiązkami — rzekł obojętnie Mallory. Uśmiechnął się — Nie mogę powstrzymać się przed pozostawieniem pana z ostatnią drobną, miłą myślą, kapitanie Neufeld. Żeby miał pan nad czym się zastanawiać do czasu, aż ktoś nadejdzie i pana znajdzie. — Rozważając coś, spojrzął na Neufelda, który nic nie powiedział. — Chodzi o informację, którą przekazałem panu rano — dodał.

Neufeld spojrzął na niego czujnie.

— Więc co z tą informacją, którą przekazał mi pan rano? — spytał.

— Tylko to, że, niestety, nie była ona całkiem ścisła. Vukalović spodziewa się ataku od północy, przez Przełęcz Zenicy, a nie od południa, przez most na Neretwie. Stoi tam, o czym wiemy, blisko dwieście waszych czołgów, zgrupowanych w lesie tuż na północ od tej przełęczy, ale nie będą tam stać o drugiej nad ranem, kiedy ma się rozpocząć wasz atak. Po nawiązaniu przeze mnie łączności z naszymi eskadrami lancasterów we Włoszech już nie! Niech pan o tym myśli, niech pan myśli o celu, który zbombardują. O tych dwustu czołgach ściśniętych w wąskiej pułapce szerokości stu pięćdziesięciu jardów i długości najwyżej trzystu. RAF przyleci tam o wpół do drugiej. A o drugiej w nocy nie pozostanie tam ani jeden sprawny czołg.

Neufeld wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę z nieruchomą twarzą, a potem wolno i cicho powiedział:

— A bodaj pana diabli! Diabli! Diabli!

— Tylko oni panu pozostali — przyznał Mallory. — W chwili gdy odzyska pan wolność — zakładając optymistycznie, że do tego dojdzie — będzie po wszystkim. Do zobaczenia po wojnie.

Andrea zamknął obu mężczyzn w sąsiednim pomieszczeniu i powiesił klucz do niego przy kluczu do celi. A potem opuścili fort, zamknęli drzwi wejściowe, na gwoździu przy nich powiesili klucz, dosiedli kuców — Groves i Reynolds osiodłali do tego czasu już dwa dodatkowe — i znów ruszyli pod górę, Mallory zaś z mapą w ręku zaczął w słabnącym świetle zmierzchu studiować trasę, którą musieli pokonać.

Wiodła ona pod górę skrajem sosnowego lasu. Po odjechaniu najwyżej ośmiuset metrów od fortu Andrea ściągnął uzdę swojego kuca, zsiadł, podniósł prawą przednią nogę zwierzęcia i dokładnie ją obejrzał. Podniósł wzrok na pozostałych, którzy również spięli swoje wierzchowce.

— W kopycie zaklinował mu się kamień — oświadczył. — Wygląda to źle...

ale nie beznadziejnie. Muszę go wydłubać. Nie czekajcie na mnie... Dogonię was za kilka minut.

Mallory skinął głową i dał znak do jazdy. Andrea wyjął nóż, podniósł kopyto kuca i bardzo energicznie zabrał się do wydłubywania kamienia. Po mniej więcej minucie podniósł wzrok i zobaczył, że reszta oddziału zniknęła za skrajem sosnowego lasu. Schował nóż i powiodł kuca, który, rzecz jasna, wcale nie utykał, pod osłonę lasu, gdzie przywiązał go do drzewa, a potem zszedł po stoku wzgórza w stronę fortu. Usiadł za pniem odpowiedniej sosny i wyjął z pokrowca lornetkę.

Długo czekać nie musiał. Na polanie w dole wyjrzała ostrożnie zza drzewa czyjaś głowa i pojawiły się ramiona. Andrea, który legł już plackiem w śniegu i przyciskał do oczu lodowate okulary lornetki, nie miał żadnych trudności z natychmiastowym rozpoznaniem ich właściciela — krągłolicy, pękaty, mający przy swoim niewydarzonym wzroście trzydzieści kilo nadwagi sierżant Baer był tak łatwo rozpoznawalny, że jedynie upośledzony umysłowo mógłby go łatwo zapomnieć.

\* \* \*

Baer cofnął się w las, a wkrótce potem pojawił się wiodąc za sobą rząd kuców, z których jeden niósł ciężki zawinięty przedmiot, przytroczony do juku. Na dwóch innych siedzieli jeźdźcy, obaj z rękami przywiązanymi do łęków siodeł. Z całą pewnością Petar i Maria. Za nimi nadszedło czterech żołnierzy na koniach. Sierżant Baer dał im znak ręką, żeby podążyli za nim przez polanę, i w kilka chwil potem wszyscy oni zniknęli z oczu za fortem. Andrea w zamyśleniu przyjrzał się pustej polanie, zapalił nowe cygareto i ruszył pod górę do przywiązanego kuca.

Sierżant Baer zsiadł z konia, wyjął z kieszeni klucz, zauważył klucz wiszący na gwoździu przy drzwiach, schował swój, zdjął ten drugi, otworzył nim drzwi i wszedł do środka. Rozejrzał się, zdjął jeden z kluczy wiszących na ścianie i otworzył nim drzwi do bocznego pomieszczenia. Wyszedł z niego kapitan Neufeld, spojrzął na zegarek i uśmiechnął się.

— Jesteście bardzo punktualni, sierżancie. Macie radio? — spytał.

— Mam. Na zewnątrz.

— Świetnie, świetnie, świetnie. — Neufeld spojrzął na Drosznego i znów się uśmiechnął. — Myślę, że pora wyruszyć na spotkanie z płaskowyżem Ivenici.

— Skąd jest pan taki pewien, że chodzi o płaskowyż Ivenici, panie kapitanie? — spytał z szacunkiem sierżant Baer.

— Skąd jestem taki pewien? To proste, drogi Baer. Ponieważ Maria... Przywieźliście ją?

— Ależ oczywiście, panie kapitanie.

— Ponieważ Maria mi to powiedziała. O płaskowyżu Ivenici.

\* \* \*

Nad płaskowyżem Ivenici zapadła noc, ale kolumna wyczerpanych żołnierzy w dalszym ciągu wydeptywała mozolnie pas startowy dla samolotu. Praca ta nie wymagała dłużej tak okrutnego fizycznego wysiłku, bo śnieg był już prawie ubity, twardy i równy, jednakże uwzględnwszy nawet zastrzyk świeżych sił dodatkowych pięciuset żołnierzy, skrajne wyczerpanie tych ludzi doszło do takich rozmiarów, że kolumna była w nie lepszym stanie niż ci, którzy jako pierwsi wydeptali zarysy pasa startowego w dziewiczym śniegu.

Kształt kolumny też się zmienił. Zamiast dwudziestu pięćdziesięciosobowych szeregów liczyła ona teraz pięćdziesiąt szeregów po dwudziestu ludzi — zapewniwszy wolną przestrzeń dla skrzydeł samolotu, wydeptywali w tej chwili pas, który, zbliżony jak najbardziej twardością do żelaza, miał posłużyć jako szlak dla jego kół.

Ogromnie jasny, biały księżyc w kwadrze wędrował nisko po niebie pośród rozsypanych pasm chmur nadpływających wolno z północy. Kiedy kolejne pasma chmur przesunęły się przed tarczą księżyca, po powierzchni płaskowyżu w dole sunęły leniwie czarne cienie — skąpana w jednej chwili w srebrzystym księżycowym świetle kolumna, w następnej prawie ginęła z oczu w ciemnościach. Była to fantastyczna scena, mająca w sobie jakąś niezwykłą czarodziejską niesamowitość i nastrój przepowiedni. Przypominała rzeczywiście, jak nieromantycznie określił ją przed chwilą kapitanowi Vlanoviciowi pułkownik Vis, scenę z „Piekła” Dantego, tylko o sto stopni zimniejszą. Co najmniej o sto, poprawił się Vis, bo nie był pewny, jaka temperatura panuje w piekle.

Właśnie tę scenę, wieczorem, za dwadzieścia dziewięć, ujrzeli Mallory i jego ludzie, kiedy dotarli na szczyt góry i ściągnęli wodze swoim kucom tuż nad skrajem przepaści graniczącej z zachodnim końcem płaskowyżu Ivenici. Przez co najmniej dwie minuty siedzieli na kucach, bez jednego ruchu, jednego słowa, zahipnotyzowani niezwykłym widokiem tysiąca ludzi, którzy z pochylonymi głowami i ramionami, powłócząc bezsilnymi nogami posuwali się po równinie w dole, zahipnotyzowani, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że patrzą na niepowtarzalne widowisko, jakiego żaden z nich nie widział i już nigdy nie zobaczy. Mallory ocknął się wreszcie z tego przypominającego trans stanu, spojrzął na Millera i Andreę, a potem potrząsnął głową w wyrazie najgłębszego zdumienia, które oznaczało, że w żaden sposób nie może uwierzyć w to, co widzi na własne oczy. Miller i Andrea odpowiedzieli mu spojrzeniami, kręcąc z niedowierzaniem głowami prawie tak jak on. Mallory zawrócił kuca na prawo i brzegiem urwiska powiodł oddział do miejsca, gdzie skała chowała się we wzniesieniu gruntu u jej stóp.

W dziesięć minut później powitał ich pułkownik Vis.

— Nie spodziewałem się, że pana poznam, kapitanie Mallory — powiedział

Vis, z entuzjazmem ściskając dłoń Nowozelandczyka. — Bóg świadkiem, że się nie spodziewałem. Pan i pańscy ludzie na pewno macie niezwykle zdolności, pozwalające wam przeżyć.

— Niech pan powtórzy te słowa za kilka godzin, a rad je usłyszę — odrzekł z ironią Mallory.

— Przecież już po wszystkim. Spodziewamy się samolotu... — Vis spojrział na zegarek — dokładnie za osiem minut. Mamy tu podłoże, które wytrzyma jego ciężar, więc nie powinno być żadnych kłopotów z lądowaniem i odlotem, pod warunkiem, że nie będą tu długo marudzić. Osiągnął pan wszystko, po co pan przyjechał, i wykonał pan to wspaniale. Poszczeniło się panu.

— Niech pan mi to powie za kilka godzin — powtórzył Mallory.

— Przepraszam. — Vis nie był w stanie ukryć dezorientacji. — Spodziewa się pan, że coś się przydarzy temu samolotowi?

— Spodziewam się, że nic mu się nie przydarzy. Ale to, co mamy za sobą, to co zaszło, jest — a raczej było — tylko prologiem.

— Pro... prologiem?

— Pozwoli pan, że wyjaśnię.

\* \* \*

Neufeld, Droszny i sierżant Baer przywiązali kuce w lesie i zaczęli się wspinać na łagodne wzniesienie przed nimi. Sierżant Baer miał sporo kłopotów ze wspinaczką pośród padającego śniegu, bo na plecach niósł przytroczony duży, bardzo ciężki przenośny nadajnik. Blisko szczytu opadli na czworaki i czołgając się dotarli na parę stóp od krawędzi skały wznoszącej się nad płaskowyżem Ivenici. Neufeld zdjął z ramienia lornetkę, ale odwiesił ją z powrotem, bo zza ciemnej gęstej chmury wyłonił się księżyc i oświetlił wszystkie szczegóły scenerii w dole — czarne cienie i do tego stopnia jaskrawobiały, że aż fosforyzujący śnieg kontrastowały ze sobą tak ostro, iż lornetka okazała się zbędna.

Na prawo widać było wyraźnie namioty dowódcze Visa, a nie opodal nich pośpiesznie zbudowane kuchnie do gotowania zupy. Przed najmniejszym namiotem stała grupa może kilkunastu osób, zajętych, co było oczywiste nawet z tej odległości, ożywioną rozmową. Na wprost siebie trzej leżący na skale mężczyźni widzieli kolumnę, która zawracała właśnie na końcu pasa startowego i zaczynała morderczy marsz powrotny, straszliwie wolny, straszliwie ociężały, po szerokim wydeptanym szlaku. Uwagę Neufelda, Drosznego i Baera, tak jak przedtem Mallory'ego i towarzyszy, od razu przyciągnęła i przykuła dziwna, nieziemiska i mroczna wspaniałość widowiska rozgrywającego się w dole. Tylko świadomym wysiłkiem woli Neufeld zmusił się, by oderwać od niego oczy i powrócić do normalnego, rzeczywistego świata.

— Jakże miło ze strony naszych jugosłowiańskich znajomych, że posunęli się z powodu nas aż do tego — rzekł, obrócił się do Baera i wskazał nadajnik. — Połączcie mnie z generałem.

Baer zdjął nadajnik z pleców, ustawił go mocno w śniegu, wysunął składaną antenę, nastawił pasmo i zakręcił korbką. Połączył się prawie natychmiast, powiedział kilka słów, po czym oddał mikrofon i słuchawki Neufeldowi, który nałożył je i spojrzał w dół, wciąż jeszcze nie otrząsnąwszy się do końca z zauroczenia, na tysiąc mężczyzn i kobiet, którzy jak mrówki pełzli po równinie w dole. W słuchawkach zatrzeszczało nagle i czar przysł.

— Herr General?

— A hauptmann Neufeld. — Głos generała w słuchawkach był słaby, lecz bardzo wyraźny, bez żadnych zniekształceń i trzasków. — No więc? Jak tam moja psychologiczna ocena angielskiego sposobu myślenia?

— Pan się minął z powołaniem panie generale. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak pan przewidział. Na pewno zainteresuje pana wiadomość, że punktualnie o wpół do drugiej w nocy RAF rozpocznie zmasowany nalot na Przełęcz Zenicy.

— No, no, no — mruknął w zamyśleniu Zimmermann. — Ciekawe. Ale to żadna niespodzianka.

— Tak, panie generale. — Neufeld podniósł wzrok, bo Droszny dotknął jego ramienia i wskazał na północ. — Chwileczkę, panie generale.

Zdjął z uszu słuchawki i obrócił głowę w kierunku, który wskazywała ręka czetnika. Podniósł lornetkę do oczu, lecz nie było na co patrzeć. Za to niewątpliwie było czego posłuchać — odległego pomruku silników nadlatującego samolotu. Neufeld nałożył słuchawki z powrotem.

— Z punktualności musimy wystawić Anglikom piątkę, panie generale — powiedział. — Ten samolot właśnie nadlatuje.

— Wspaniale, wspaniale. Proszę mi o wszystkim meldować.

Neufeld zsunął słuchawki z uszu i spojrzał na północ. Nadal nie było nic widać. Księżyc skrył się chwilowo za chmurę, ale odgłos silników samolotowych wyraźnie się przybliżył. Nagle, gdzieś z płaskowyżu w dole dobiegły trzy ostre gwizdki. Maszerująca kolumna natychmiast się rozpiechła, mężczyźni i kobiety potykając się opuścili pas startowy schodząc w głęboki śnieg po wschodniej stronie równiny, a pozostało na nim, co z pewnością ustalono zawczasu, około osiemdziesięciu osób, które rozstawiły się po obu jego brzegach.

— Trzeba im przyznać, że są zorganizowani — rzekł z podziwem Neufeld.

Droszny uśmiechnął się wilczo.

— Tym lepiej dla nas, prawda? — spytał.

— Wszyscy starają się dziś nam pomóc ze wszystkich sił — przyznał Neufeld.



W górze ponura ławica ciemnych chmur odpłynęła na południe i płaskowyz załało raptownie białe światło księżyca. Neufeld od razu spostrzegł samolot, który był pół mili od nich, a jego zamaskowana sylwetka ostro zarysowała się w jaskrawym księżycowym blasku, kiedy schodził ku skrajowi pasa startowego. Na kolejny ostry gwizdek ludzie stojący po obu jego stronach natychmiast zaświecili ręczne latarki, co przy tak doskonałych warunkach lądowania, przy oświetleniu prawie takim jak w dzień, było do prawdy zbyteczne, choć niezbędne, gdyby księżyc schował się za chmurę.

— Właśnie siada — powiedział Neufeld do mikrofonu. — To bombowiec wellington.

— Miejmy nadzieję, że wyląduje szczęśliwie — odparł Zimmermann.

— Otóż to, nadzieję, panie generale.

Wellington wylądował szczęśliwie, wylądował idealnie, zważywszy wyjątkowo trudne warunki. Szybko zwolnił, a potem wyrównał prędkość, zmierzając ku końcowi pasa.

— Siadł szczęśliwie, panie generale, i kołuje do zatrzymania — zameldował Neufeld do mikrofonu.

— Dlaczego się nie zatrzymał? — zaciekał się Droszny.

— Na śniegu nie można tak przyśpieszyć jak na betonie — wyjaśnił Neufeld. — Żeby się wzbić w powietrze, potrzebuje każdego metra tego pasa startowego.

Pilot wellingtona był z pewnością tego samego zdania. Kiedy znalazł się pięćdziesiąt metrów do końca pasa, dwie grupy ludzi oderwały się od setek stojących szpalerem na skraju lądowiska, jedna kierując się do otwartych drzwi z boku bombowca, druga w stronę jego ogona. Obie dotarły do maszyny w chwili, kiedy ta kołując zatrzymała się na samym krańcu pasa i zaraz potem kilkanaście osób rzuciło się do części ogonowej wellingtona, okręcając go o sto osiemdziesiąt stopni.

Na Drosznym zrobiło to wrażenie.

— Mój Boże, nie marnują czasu! — wykrzyknął.

— Nie mogą sobie na to pozwolić. Jeżeli ten samolot postoi tam choć chwilę, to zacznie zapadać się w śnieg.

Neufeld podniósł do oczu lornetkę i powiedział do mikrofonu:

— Wsiadają, panie generale. Jeden, dwóch, trzech... siedmiu, ośmiu, dziewięciu. — Westchnął z ulgą i wyraźnie mu ulżyło. — Moje najserdeczniejsze gratulacje, panie generale. Rzeczywiście dziewięciu.

Samolot stał już przodem do drogi, którą przebył. Pilot nacisnął hamulce do deski, zwiększył obroty silników do maksimum i w dwadzieścia sekund po tym, jak się zatrzymał, znów wyruszył w drogę, przyśpieszając na pasie startowym. Nie zaryzykował, zaczekał z oderwaniem maszyny od ziemi aż do samego końca pasa, ale kiedy to zrobił, wzbił się gładko i swobodnie, pnąc się coraz wyżej w nocne niebo.

— Wystartował, panie generale — zameldował Neufeld. — Wszystko zgodnie z planem co do joty. — Przykrył mikrofon dłonią, spojrzął za znikającym samolotem i rzekł z uśmiechem do Drosznego: — Chyba powinniśmy im życzyć bon voyage, prawda?

\* \* \*

Stojący pośród setek ludzi na skraju pasa startowego Mallory opuścił lornetkę.

— I bardzo miłej podróży im wszystkim — rzekł.

Pułkownik Vis ze smutkiem pokręcił głową.

— Tyle trudu, żeby wysłać pięciu ludzi na wakacje do Włoch — powiedział.

— Myślę, że zasłużyli sobie na urlop — odrzekł Mallory.

— Do diabła z nimi! Co z nami? — spytał Reynolds. Wbrew treści tych słów na jego twarzy nie było gniewu, a jedynie oszołomienie i całkowita dezorientacja. — Powinniśmy odlecieć tym cholernym samolotem.

— Och, no cóż, zmieniłem zdanie.

— Akurat pan je zmienił — odparł z goryczą Reynolds.

\* \* \*

W wellingtonie wąsaty major obrzucił spojrzeniem swoich trzech towarzyszy-zbiegów oraz pięciu partyzantów, z niedowierzaniem potrząsnął głową i zwrócił się do siedzącego obok kapitana.

— Podejrzana sprawa, co?

— Bardzo podejrzana, panie majorze — odparł kapitan. Popatrzył z zaciekawieniem na papiery, które trzymał major. — Co to jest?

— Mapa i dokumenty, które mam oddać jakiemuś brodaczkowi z marynarki, kiedy wylądujemy we Włoszech. Dziwny człowiek ten Mallory, co?

— Bardzo dziwny, panie majorze — przyznał kapitan.

\* \* \*

Mallory i jego ludzie w towarzystwie Visa i Vlanovicia odeszli od tłumu i w tej chwili stali przed namiotem dowódcy.

— Załatwił pan te liny? — spytał Mallory Visa. — Musimy natychmiast wyruszyć.

— Skąd taki gwałtowny pośpiech, panie kapitanie? — spytał Groves. Jego niechęć ustąpiła miejsca, podobnie jak w przypadku Reynoldsa, bezradnej dezorientacji. — To znaczy, tak niespodziewany.

— Chodzi o Petara i Marię — odparł ponuro Mallory. — To z ich powodu ten pośpiech.

— A co z nimi jest? — spytał podejrzliwie Reynolds. — Co mają z tym wspólnego Petar i Maria?

— Uwięziono ich w forcie amunicyjnym. A kiedy Neufeld z Drosznym tam powrócą...

— Powrócą? — spytał oszołomiony Groves. — Jak to: powrócą. Przecież... Przecież ich zamknęliśmy. A poza tym, skąd pan, na miłość boską, wie, że Petar i Maria są tam więzieni? Jak to możliwe? Przecież kiedy odjeżdżaliśmy, nie było ich tam... a odjechaliśmy stamtąd nie tak dawno temu.

— Kiedy kucowi Andrei w drodze z fortu tutaj utkwiał w kopycie kamień, to naprawdę wcale mu nie utkwiał. Andrea obserwował fort.

— Rozumiecie, Andrea nie ufa nikomu — wyjaśnił Miller.

— Zobaczył, że sierżant Baer wiezie tam Petara i Marię — ciągnął Mallory. — Związanych. Baer uwolnił Neufelda i Drosznego i możecie postawić wasz ostatni grosz na to, że ta wspaniała para siedziała na tej skale, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście odlecieliśmy.

— Niewiele pan nam mówi, co, panie kapitanie? — spytał z goryczą Reynolds.

— Jedno wam powiem — odparł stanowczym tonem Mallory. — Jeżeli wkrótce tam się nie zjawimy, Petar i Maria znajdą się w srogich opałach. Wprawdzie Neufeld i Droszny jeszcze nie wszystko wiedzą, ale są już prawie pewni, że to Maria zdradziła mi, gdzie trzymają tych czterech agentów. Od początku wiedzieli, kim jesteśmy — ona im to powiedziała. A teraz wiedzą, kim ona jest. Tuż przed tym, jak Droszny zabił Saundersa...

— Droszny? — Reynolds miał minę kogoś, kto już niemal poniechał wysiłków, by cokolwiek zrozumieć. — Maria?

— Przeliczyłem się — przyznał znużony Mallory. — Wszyscy popełniamy błędy, ale ten był poważny. — Uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu nie było uśmiechu. — Pamiętacie, sierżancie, przykre słowa, jakie wypowiedzieliście pod adresem Andrei, kiedy pobił się z Drosznym przed jadalnią w obozie Neufelda?

— Jasne, że pamiętam. To była jedna z najbardziej szalonych...

— Przepraszam go za to będziecie mogli później i w odpowiedniejszym czasie — przerwał mu Mallory. — Andrea sprowokował Drosznego na moją prośbę. Wiedziałem, że Neufeld i Droszny po naszym wyjściu coś uknuli, a potrzebowałem chwili czasu, żeby spytać Marii, o czym rozmawiali. Powiedziała mi, że chcą wysłać za nami do obozu Broznika dwóch czetników — naturalnie, odpowiednio przebranych — żeby o nas meldowali. Należeli do naszej eskorty w tej napędzanej drewnem ciężarówce. Andrea i Miller zabili ich.

— Teraz nam pan to mówi? — spytał niemal odruchowo Groves. — Andrea

i Miller zabili ich?

— Ale nie wiedziałem, że za nami idzie także Droszny. Zobaczył mnie i Marię razem. — Mallory spojrział na Reynoldsa. — Tak jak wy. Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, że nas widział, ale od kilku godzin wiem. Tego ranka na Marię spadł wyrok śmierci. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Aż do tej chwili. Gdybym odkrył karty, byłoby po nas.

Reynolds potrząsnął głową.

— Ale przecież sam pan powiedział, że Maria nas zdradziła...

— Maria to czołowa agentka brytyjskiego wywiadu — odparł Mallory. — Ojciec Anglik, matka Jugosłowianka. Mieszkała w tym kraju jeszcze przed wkroczeniem Niemców. Jako studentka w Belgradzie. Przystąpiła do partyzantów, którzy nauczyli ją posługiwania się radionadajnikiem, a potem zorganizowali jej przejście na stronę czetników. Czetnicy schwytali radiooperatora jednej z pierwszych angielskich misji wojskowych. Oni — a raczej, Niemcy — nauczyli ją podrabiać jego sposób nadawania — każdy radiooperator ma swój łatwo rozpoznawalny styl — tak że w końcu ich style stały się nie do odróżnienia. A do tego jej angielski był naturalnie bezbłędny. W ten to sposób weszła w bezpośredni kontakt z wywiadem alianckim tak w Afryce Północnej, jak we Włoszech. Niemcy sądzili, że wystrychnęli nas na dudków, tymczasem było odwrotnie.

— Mnie pan również nic o tym nie powiedział — poskarżył się Miller.

— Tyle miałem na głowie. W każdym razie powiadomiono ją bezpośrednio o przylocie i zruceniu na spadochronach ostatnich czterech agentów. Naturalnie powiedziała o nich Niemcom. Wszyscy czterej mieli przy sobie informacje, które umacniały Niemców w wierze, że utworzenie w Jugosławii drugiego frontu — a nawet inwazja na pełną skalę — jest bliskie.

— O naszym przylocie też wiedzieli? — spytał wolno Reynolds.

— Oczywiście. Od samego początku wiedzieli o nas wszystko, kim naprawdę jesteśmy. Naturalnie nie wiedzieli tego, że my o tym wiemy, i chociaż to, co o nas wiedzieli, było prawdą, to prawdą tylko częściową.

Reynolds przetrwał tę wiadomość.

— Panie kapitanie? — zagadnął z wahaniem.

— Tak?

— Chyba się pomyliłem co do pana, panie kapitanie.

— Bywa — przyznał Mallory. — Czasem tak bywa. Myliliście się, sierżancie, oczywiście, ale myliliście się w najlepszej wierze. To moja wina. Wyłącznie moja. Miałem jednak związane ręce. — Mallory położył mu dłoń na ramieniu. — Kiedyś jednak być może zdołacie mi to wybaczyć.

— A Petar? — spytał Groves. — Nie jest jej bratem?

— Petar to Petar. Tylko tyle. Fasada.

— Nadal jednak pozostaje mnóstwo... — zaczął Reynolds, ale Mallory prze-

rwał mu.

— To musi poczekać. Pułkownikowi Vis poproszę o mapę. — Kapitan Vlanović przyniósł z namiotu mapę i Mallory oświetlił ją latarką. — Spójrzcie. Tutaj. Zapora na Neretvie i Kocioł Zenicy. Powiedziałem Neufeldowi, że Broznik wyjawiał mi, iż partyzanci są przekonani o niemieckim ataku od południa, przez most na Neretvie. Ale jak już mówiłem, Neufeld wiedział — wiedział jeszcze przed naszym przybyciem — kim naprawdę jesteśmy. Dlatego był pewien, że kłamię. Był pewien, że ja jestem pewien, iż atak nastąpi na północ stąd, przez Przełęcz Zenicy. Zauważcie, że pewność ta ma swoje podstawy, bo przecież na przełęczy tej stoi dwieście niemieckich czołgów.

— Dwieście?! — Vis wybałuszył na niego oczy.

— Sto dziewięćdziesiąt z nich jest ze sklejki. Tak więc jedynym sposobem, w jaki Neufeld — a bez wątpienia i Naczelne Dowództwo Niemców — mógł zagwarantować sobie dotarcie tej pożytecznej informacji do Włoch, było pozwolić nam na odegranie skeczu z odbiciem jeńców, co zrobili naturalnie z wielką przyjemnością, pomagając nam w tym jak się dało do tego stopnia, że z radością współpracowali z nami przy własnym porwaniu. Oczywiście wiedzieli, że nie mamy innego wyboru, jak pochwyć ich i zmusić, żeby zaprowadzili nas do fortu — co zapewnili sobie zawczasu, chwytając i ukrywając przed nami jedyną osobę, która mogła nam w tym pomóc — Marię. A ponieważ wiedzieli o tym z góry, ustalili, że sierżant Baer przyjedzie i ich uwolni.

— Rozumiem. — Dla wszystkich było jasne, że pułkownik Vis nie zrozumiał niczego. — Wspomniał pan o zmasowanym nalocie RAF-u na Przełęcz Zenicy. Teraz naturalnie zostanie on skierowany na most, czy tak?

— Nie. Chyba nie chciałby pan, żebyśmy złamali słowo dane Wehrmachtowi. Zgodnie z przyrzeczeniem zaatakujemy Przełęcz Zenicy. Dla zmylenia. Żeby przekonać ich — na wypadek, gdyby mieli jeszcze jakieś wątpliwości — że wywiedli nas w pole. A poza tym, o czym wie pan tak dobrze jak ja, nie da rady trafić tego mostu bombardując go z wysokiego pułapu. Trzeba go zniszczyć w jakiś inny sposób.

— W jaki?

— Coś wymyślimy. Noc jest młoda. I jeszcze dwie sprawy, pułkowniku. O północy nadleci kolejny wellington, a jeszcze jeden o trzeciej rano. Niech oba odlecają. Następny, o szóstej, niech pan zatrzyma na nasze przybycie. To znaczy, ewentualne przybycie. Jeżeli nam się poszczęści, odleczymy przed świtem.

— Jeżeli się poszczęści — powtórzył z przygnębieniem Vis.

— I niech pan skontaktuje się przez radio z generałem Vukaloviciem, dobrze? Przekaze mu, co panu powiedziałem, dokładnie przedstawi sytuację. I niech o pierwszej w nocy rozpocznie wzmożony ostrzał z broni ręcznej.

— A do czego mają strzelać?

— Jeżeli chodzi o mnie, to mogą strzelać nawet do księżycy. — Mallory do-  
siadł kuca, przerzucając nogę przez siodło. — Wsiadajcie, odjeżdżamy.

\* \* \*

— Księżyc to spory cel, choć dosyć odległy — przyznał Generał Vukalović.  
— Ale skoro tego chce nasz przyjaciel, to będzie to miał.

Vukalović zamilkł na chwilę, spojrzał na Janzego, który siedział obok na  
pniu zwalonego drzewa w lesie na południe od Przełęczy Zenicy, a potem znów  
przemówił do mikrofonu:

— W każdym razie wielkie dzięki pułkownikowi. Więc chodzi o most na Ne-  
retwie. A zatem jesteście zdania, że przebywanie w pobliżu tego mostu po pierw-  
szej w nocy będzie dla nas niebezpieczne. Bez obawy, nie będzie nas tam. — Ge-  
nerał zdjął słuchawki i obrócił się do Janzego. — Wycofamy się po cichu o półno-  
cy. Zostawimy garstkę ludzi, żeby mocno hałasowali.

— Tych, którzy będą strzelać do księżycy?

— Tych, którzy będą strzelać do księżycy. Połącz się przez radio z pułkow-  
nikiem Laszlo nad Neretwą, dobrze? Zawiadom go, że dołączymy do niego przed  
atakami. A potem porozum się z majorem Stefanem. Niech zostawi tam jedynie  
oddział, który zwiąże wroga ogniem, a sam wycofa się do Przełęczy Zachodniej i  
przedostanie do kwatery głównej pułkownika Laszlo.

Vukalović zamilkł na chwilę, zastanawiając się.

— Powinniśmy spędzić kilka interesujących godzin, nie sądzisz? — spytał.

— Czy ten Mallory ma choćby najmniejszą szansę? — spytał Janzy tonem,  
który zawierał odpowiedź.

— No cóż, spójrzmy na to tak — rzekł rozważnie Vukalović. — Szanse na-  
turalnie są. Muszą być. W końcu, drogi Janzy, jest to kwestia możliwości... a my  
wyczerpaliśmy już wszystkie.

Janzy nie odpowiedział, ale kilka razy z rzędu niespiesznie skinął głową, tak  
jakby Vukalović wyjawiał mu głęboką prawdę.

## IX. Piątek, godz. 21:15 — Sobota, godz. 00:40

Zjazd w dół na kucach przez gęste lasy z płaskowyżu Ivenici do fortu zajął Mallory'emu i jego towarzyszom zaledwie jedną czwartą czasu, który zużyli na wspinaczkę. Skryty pod głębokim śniegiem grunt był wyjątkowo zdradliwy, na każdym kroku piątce jeźdźców groziły zderzenia z pniami sosen, a żaden z nich nie rościł sobie najmniejszych pretensji do tytułu doświadczonego kawalerzysty, tak że nieuchronne poślizgnięcia, potknięcia i ciężkie upadki były i częste, i bolesne. Nikomu nie został oszczędzony wstyd mimowolnego opuszczenia siodła i fikołka na łeb na szyję w głęboki śnieg, ale to właśnie jego opatrnościowe amortyzujące działanie ich wybawiało, ono oraz — częściej, ich pewnie stąpające zręczne górskie koniki. Bez względu na przyczyny, czy też ich splot, pozbawiających tchu upadków i siniaków było mnóstwo, ale — cudem — ani jednej złamanej kości.

Oczom jadących ukazał się fort. Mallory podniósł ostrzegawczo rękę, ciągle zwalniając tempo jazdy, aż znaleźli się około dwustu metrów od celu, a wówczas ściągnął cugle, zsiadł z kuca i zaprowadził go w gęstą kępę sosen, pozostali zaś podążyli za nim. Mallory przywiązał swojego wierzchowca i dał reszcie znak, żeby zrobili to samo.

— Mam po uszy tego przekłętego kuca, ale jeszcze bardziej łażenia przez głęboki śnieg — poskarżył się Miller. — Dlaczego tam zwyczajnie nie podjedziemy?

— Ponieważ Niemcy trzymają tam kuce. Gdyby usłyszały, zobaczyły albo poczuły, że zbliżają się inne kuce, zaczęłyby rzeć.

— I tak mogą rzeć.

— A poza tym będą tam czuwać wartownicy — rzekł z naciskiem Andrea. — Wątpię, kapralu Miller, żebyśmy dali radę podjechać na kucach całkiem skrycie i nie rzucając się w oczy.

— Wartownicy? A przed kim mają się strzec? Dla Neufelda i spółki znajdujemy się w tej chwili w pół drogi nad Adriatykiem.

— Andrea ma rację — rzekł Mallory. — Cokolwiek myśleć o Neufeldzie, to jednak jest to świetny oficer, który niczego nie pozostawia przypadkowi. Tam na pewno będą wartownicy. — Spojrzał w nocne niebo, gdzie do tarczy księżyca zbliżała się wąska chmura. — Widzicie ją?

— Widzę — odparł żałośnie Miller.

— Mamy trzydzieści sekund. Dobiegniemy do ściany szczytowej z drugiej strony fortu gdzie nie ma otworów strzelniczych. A kiedy już się tam znajdziemy, to, na miłość boską, ani mru-mru. Jeżeli coś usłyszą, jeżeli tylko zaczną podejrzewać, że jesteśmy pod fortem, zaryglują się i użyją Petara i Marii jako zakładników. A wtedy będziemy musieli ich zostawić.

— Zrobiłby pan to, panie kapitanie? — spytał Reynolds.

— Zrobiłbym. Wolałbym dać uciąć sobie rękę, ale bym to zrobił. Nie mam wyboru, sierżancie.

— Tak, panie kapitanie. Rozumiem.

Cienki pasek chmury przesłonił księżyc. Piątka mężczyzn wypadła z kryjóWKI wśród sosen i ciężko zbiegła ze wzgórza przez głęboki, krępujący ruchy śnieg, kierując się do szczytowej tylnej ściany fortu. Przebiegnąwszy trzydzieści metrów, na znak Mallory'ego zwolnili, żeby wartownicy, którzy mogli czuwać przy otworach strzelniczych, nie usłyszeli ich skrzypiących kroków, i ostatni kawałek przebyli najszybciej i najciszej jak umieli, idąc jeden za drugim po śladach poprzedników.

Nie zauważeni dotarli do szczytowej ślepej ściany fortu, przy księżycu wciąż skrytym za chmurą. Mallory nie zatrzymał się, żeby powinszować sobie i towarzyszący. Od razu opadł na czworaki i przyciskając się do kamiennego muru przeczołgał się za róg.

Metr od rogu fortu napotkał pierwsze otwory strzelnicze. Nie zawracał sobie głowy, żeby zapaść się głębiej w śnieg, bo otwory były tak głęboko wpuszczone w gruby kamienny mur, że patrząc przez nie widział dopiero to, co znajdowało się co najmniej dwa metry od nich. Zamiast tego skoncentrował się na tym, by poruszać się jak najciszej, co mu się udało w pełni, gdyż szczęśliwie minął otwór strzelniczy, nie wzniesając żadnego alarmu. Pozostałej czwórce powiodło się równie dobrze, pomimo tego, że kiedy ostatni z nich, Groves, znalazł się pod otworem strzelniczym, zza chmury wyłonił się księżyc. Ale Grovesa także nie wykryto.

Mallory dotarł do drzwi. Dał znak Millerowi, Reynoldsowi i Grovesowi, żeby pozostali tam, gdzie leżą, a sam wraz z Andream podniósł się i obaj przycisnęli uszy do drzwi.

Od razu usłyszeli pełen groźby i zięjący nienawiścią głos Drosznego.

— Zdrajczyń! Oto, kim ona jest. Zdrajczynią naszej sprawy! Zabijmy ją natychmiast!

— Dlaczego to zrobiłaś, Mario? — spytał Neufeld tonem w przeciwieństwie do Drosznego — wyważonym, spokojnym i prawie uprzejmym.

— Dlaczego to zrobiła? — warknął Droszny. — Dla pieniędzy. Dla nich! Bo z jakiego innego powodu?

— Dlaczego? — powtórzył ze spokojnym uporem Neufeld. — Czy kapitan Mallory zagroził, że zabije twojego brata?

— Gorzej. — Mallory i Andrea musieli wyteżać słuch, żeby dosłyszeć cichy głos Marii. — Zagroził, że zabije mnie. Kto by się wtedy troszczył o mojego niewidomego brata?

— Tracimy czas — rzekł zniecierpliwiony Droszny. — Niech pan pozwoli mi zabrać ich na zewnątrz.

— Nie — sprzeciwił się Neufeld tonem wciąż spokojnym i niedopuszczają-



cym dyskusji. — Niewidomego? Przerażoną dziewczynę? Człowieku, kim pan jest?

— Czetnikiem!

— A ja oficerem Wehrmachtu.

— Lada chwila ktoś zauważy nasze ślady na śniegu — szepnął Andrea do ucha Mallory'ego.

Mallory skinął głową, odsunął się od drzwi i dał dyskretny znak ręką. Nie miał najmniejszych złudzeń, kto z nich dwu jest lepszy w wywalaniu drzwi do pomieszczeń pełnych uzbrojonych ludzi. W tym fachu Andrea nie miał sobie równych i zabrał się do potwierdzenia tej opinii w zwykły mu gwałtowny, śmiercionośny sposób.

Naciśnięcie klamki, potężne kopnięcie obcasem prawego buta i stanął w progu. Wprawione raptownie w wahadłowy ruch drzwi nie rozwarły się jeszcze na szerokość, na jaką pozwalały zawiasy, kiedy pomieszczenie wypełnił jednostajny, rytmiczny grzechot jego schmeissera. Mallory, spoglądając ponad ramieniem przyjaciela przez kłęby kordytowego dymu, ujrzał śmiertelnie ukaranych za zbyt szybką reakcję dwóch niemieckich żołnierzy, którzy zwiotczali osuwali się na podłogę. Z wycelowanym pistoletem wpadł za Andrea do środka.

Schmeissery nie były już potrzebne. Żaden z pozostałych żołnierzy nie miał broni, natomiast Neufeld i Droszny, z twarzami skamieniałymi w wyrazie całkowitego niedowierzania, byli niezdolni, nawet jeśli jedynie chwilowo, do najmniejszego ruchu, nie wspominając już o chęci stawienia samobójczego oporu.

— Przed chwilą kupił pan sobie życie — powiedział Mallory do Neufelda. Obrócił się do Marii, wskazał głową drzwi, zczekał, aż wyprowadzi brata na zewnątrz, po czym ponownie zwrócił się w stronę czetnika i niemieckiego kapitana. — Wasze pistolety — zażądał krótko.

— Na miłość boską, co... — zdołał wydusić z siebie Neufeld, chociaż poruszał ustami dziwnie mechanicznie.

Ale Mallory nie miał ochoty na pogwarki.

— Wasze pistolety — powtórzył unosząc schmeisser.

Neufeld i Droszny niczym we śnie wyjęli swoje pistolety i opuścili je na podłogę.

— Klucze. — Droszny i Neufeld spojrzeli na niego oniemiałi prawie tak, jakby nie pojmowali o czym mowa. — Klucze — powtórzył Mallory. — Już. Albo obejdziemy się bez nich.

Przez kilka długich sekund w izbie było kompletnie cicho, po czym Neufeld poruszył się, obrócił do Drosznego i skinął głową. Czetnik popatrzył spode łba — na tyle, na ile jest to możliwe u kogoś, kogo twarz wyraża osłupienie, zaskoczenie i morderczą wściekłość — sięgnął do kieszeni i wydobył klucze. Miller wziął je od niego, w milczeniu otworzył drzwi celi, rozwarł je szeroko, ruchem pistoletu za-

prosił Neufelda, Drosznego, Baera i resztę żołnierzy do środka, zaczekał, aż wejdą, zatrzasnął za nimi drzwi, zamknął je na klucz i schował go do kieszeni. Izba znów rozbrzmiała echem strzałów, bo Andrea nacisnął spust peemu i zniszczył radio tak, by nie można go było naprawić. W pięć sekund później wszyscy znaleźli się na zewnątrz, a Mallory, który jako ostatni wyszedł z fortu, zamknął drzwi wejściowe na klucz i cisnął go daleko, na wiele metrów, w głęboki śnieg.

I wtedy nagle dojrzał kilka kuców, uwiązanych przed forem. Siedem. W sam raz dla nich. Podbiegł do okna strzelniczego celi i krzyknął:

— Nasze kuce stoją przywiązane tuż przy skraju lasu, dwieście jardów stąd pod górę. Nie zapomnijcie.

A potem wrócił szybkim biegiem i rozkazał szóstce towarzyszy dosiąść kuców. Reynolds spojrział na niego zdumiony.

— Pan myśli o czymś takim, panie kapitanie? — spytał. — W takiej chwili?

— Myślę o tym zawsze. — Mallory obrócił się do Petara, który właśnie dosiadł niezdarnie wierzchowca, i do Marii. — Każ mu zdjąć okulary.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, skinęła głową, najwyraźniej pojmując jego intencje, i przemówiła do brata. Zwrócił do niej twarz tak, jakby nie wiedział o co chodzi, po czym posłusznie schylił głowę, zdjął ciemne okulary i schował je głęboko za pazuchę. Przyglądający się temu ze zdumieniem Reynolds obrócił się do Mallory'ego.

— Nie rozumiem, panie kapitanie — powiedział.

— Nie musicie — odparł krótko Mallory, zawracając kuca.

— Przepraszam, panie kapitanie.

Mallory jeszcze raz zawrócił kuca i wyjaśnił niemal znudzonym tonem:

— Jest już jedenasta, chłopcze, a więc prawie za późno na to, co musimy zrobić.

— Tak jest. — Wprawdzie Reynolds tego po sobie nie okazał ale ucieszyło go, że Mallory zwrócił się do niego „chłopcze”. — Właściwie, to wcale nie chcę wiedzieć, panie kapitanie.

— Zadałeś mi pytanie. Musimy dojechać tam tak szybko, jak tylko pozwolą nam na to kuce. Niewidomy nie widzi przeszkód, nie może balansować ciałem zgodnie z profilem terenu, przewidywać zawczasu, jak przygotować się do jego nagłego niespodziewanego spadku, pochylić w siodle przed zakrętem, o którego zbliżaniu się wie jego kuc. Krótko mówiąc, niewidomy jest sto razy bardziej niż my narażony na upadek przy zjeżdżaniu galopem z góry. Wystarczy mu, że zostanie ślepy do końca życia. Narażać go na ciężki upadek w okularach, narażać na to, że będzie nie tylko ślepy, ale na dodatek straci oczy i będzie cierpiał do końca życia, to z naszej strony za wiele.

— Nie pomyślałem... to znaczy... przepraszam, panie kapitanie.

— Dość przeprosin, chłopcze. Wiedz, że teraz moja kolej... żebym to ja

przeprosił ciebie. Opiekuj się nim, dobrze?

\* \* \*

Pułkownik Laszlo, z lornetką przy oczach, spoglądał w dół na oświetlony księżycem skalisty stok zbiegający ku mostowi na Neretvie. Na południowym brzegu rzeki, na łąkach leżących pomiędzy nim a skrajem sosnowego lasu za nimi i dalej, jak tylko Laszlo sięgał wzrokiem, na obrzeżach samego sosnowego boru, niepokojąco brakowało jakiegokolwiek ruchu, najsłabszych oznak życia. Zastanawiał się nad denerwująco złowieszczym znaczeniem tego nienaturalnego spokoju, kiedy ktoś dotknął dłonią jego ramienia. Obrócił się, podniósł wzrok i rozpoznał postać majora Stefana, dowodzącego obroną przełęczu Zachodniej.

— Witam, witam — powiedział. — Generał uprzedził mnie, że się zjawisz. Jesteś z batalionem?

— Z tym, co z niego zostało. — Stefan uśmiechnął się, choć nie był to naprawdę uśmiech. — Z wszystkimi, którzy mogą chodzić. I którzy nie mogą.

— Dałby Bóg, żeby nie byli dziś nam potrzebni. Generał rozmawiał z tobą o tym Mallorym?

Major Stefan potwierdził skinieniem głowy.

— A jeżeli mu się nie uda? — spytał Laszlo. — Jeżeli Niemcy przekroczą dziś Neretwę...

— I co z tego? — Stefan wzruszył ramionami. — I tak wszyscy mieliśmy dziś zginąć.

— Dobra odpowiedź — pochwalił go Laszlo. Podniósł lornetkę do oczu i znów zaczął się pilnie przyglądać mostowi na Neretvie.

\* \* \*

Trudno uwierzyć, ale do tej pory ani Mallory, ani nikt z szóstki galopujących za nim nie rozstał się z grzbietem swojego wierzchowca. Nawet Petar. Co prawda pochyły stok nie był aż tak stromy jak przy zjeździe z płaskowyżu Ivenici do fortu, jednakże Reynolds podejrzewał, że fakt ten zawdzięczają temu, iż Mallory'emu udało się niezauważalnie zwolnić tempo ich wcześniejszej galopady na złamanie karku. Zaświtało mu w głowie, że być może podświadomie chroni w ten sposób niewidomego śpiewaka, który jechał niemal ramię w ramię z nim, z gitarą mocno przytroczoną na plecach, wypuściwszy cugle, oburącz trzymając się łąków siodła. Prawie bezwiednie Reynolds wrócił myślami do sceny w forcie. W kilka chwil później ponaglił kuca i dogonił Mallory'ego.

— Panie kapitanie?

— O co chodzi? — spytał zirytowanym tonem Mallory.

— Chcę panu coś powiedzieć. To pilne. Naprawdę.

Mallory wyrzucił rękę w górę i zatrzymał oddział.

— Tylko szybko — rzekł krótko.

— Chodzi o Neufelda i Drosznego, panie kapitanie. — Reynolds urwał, przez chwilę niepewny swego, po czym spytał: — Sądzi pan, że wiedzą, dokąd pan jedzie?

— A jakie to ma znaczenie?

— Proszę odpowiedzieć.

— Tak, wiedzą. Chyba że są skończonymi durniami. A nie są.

— W takim razie szkoda, że pan ich mimo wszystko nie zastrzelił — powiedział Reynolds, coś sobie przemyślując.

— Do rzeczy — ponaglił go niecierpliwie Mallory.

— Tak jest. Sądzi pan, że poprzednim razem uwolnił ich sierżant Baer?

— Oczywiście — odparł Mallory, z całej siły powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć. — Andrea widział jego przyjazd. Wszystko to już wyjaśniłem. Oni — Neufeld z Drosznym — musieli wjechać na płaskowyż Ivbenici, aby upewnić się, że naprawdę odlecieliśmy.

— To rozumiem, panie kapitanie. A więc wiedział pan, że Baer jedzie za nimi. Ale jak dostał się do środka?

Mallory nie powstrzymał się już dłużej.

— Ponieważ oba klucze powiesiłem na zewnątrz — odparł rozgniewany.

— Tak jest. Pan się go spodziewał. Ale sierżant Baer o tym nie wiedział, a jeżeli nawet wiedział, to nie spodziewał się znaleźć kluczy w tak dogodnym miejscu.

— Boże przenajświętszy! Duplikaty! — W bolesnym rozczarowaniu Mallory trzasnął pięścią w drugą, otwartą dłoń. — Kretyn ze mnie! Kretyn! Oczywiście, że miał swoje klucze!

— A Droszny może znać jakiś skrót — dodał w zamyśleniu Miller.

— To nie wszystko. — Mallory już w pełni odzyskał równowagę, chociaż jego opanowana, odprężona i spokojna mina stała w całkowitej sprzeczności z gorączkowo pracującym mózgiem. — Gorzej, że może pojechać prosto do obozu i przez radio ostrzec Zimmermanna, żeby wycofał dywizje pancerne znad Neretvy. Warto cię było zabrać ze sobą, Reynolds. Dziękuję ci, chłopcze. Daleko stąd do obozu Neufelda, jak myślisz, Andrea?

— Miła. — słowo to rzucił Andrea przez ramię, bo jak zwykle w sytuacjach, które, jak wiedział, wymagały wykorzystania jego bardzo szczególnych talentów, już przystąpił do działania.

W pięć minut później przycupnęli na brzegu lasu, niecałe dwadzieścia metrów od granic obozu Neufelda. W oknach bardzo wielu chat paliły się światła, z jadalni dobiegała muzyka, a po obozowisku kręciło się kilku czetników.

— Jak to załatwimy, panie kapitanie? — spytał szeptem Reynolds Mallory'ego.

— My nie zrobimy nic. Zostawimy to Andrei.

— Jednemu człowiekowi? — spytał przyciszonym głosem Groves. — Andrei? Zostawimy to jednemu człowiekowi?

— Kapralu Miller, wyjaśnijcie im — rzekł z westchnieniem Mallory.

— Wolałbym nie wyjaśniać. Ale skoro muszę... — odparł Miller. — Rzecz w tym — ciągnął uprzejmym tonem — że Andrea jest naprawdę dobry w takich sprawach.

— My również — odparł Reynolds. — Jesteśmy komandosami. Wyszkolono nas do tego.

— I to doskonale, nie wątpię — zgodził się dobrodusznie Miller. — Jeszcze kilka lat zbierania doświadczeń i w grupie może bylibyście w stanie mu sprostać. Chociaż bardzo w to wątpię. Przed końcem tej nocy przekonacie się — nic wam nie ubliżając, panowie sierżanci — że przy wilku Andrei jesteście niczym jagniątko. — Miller zamilkł i dodał złowieszczo: — Tak jak ten, co siedzi teraz w baraku radiowym.

— Tak jak ten, co... — Groves obrócił się i spojrzał przed siebie. — Andrea? Już poszedł? Nie widziałem, żeby odchodził.

— Nikt tego nie widzi — zapewnił go Miller. — Ci biedacy nawet nie spostrzegą, że przyszedł. — Spojrzał na Mallory'ego. — Czas ucieka.

Mallory zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka.

— Wpół do dwunastej. Czas rzeczywiście ucieka — przyznał.

Przez blisko minutę panowała cisza, przerywana jedynie niespokojnymi poruszeniami kuców przywiązanych do drzew w głębi lasu za ich plecami, kiedy raptem Groves wydał zduszony okrzyk, bo u jego boku wyrósł Andrea.

— Ilu? — spytał Mallory.

Andrea wystawił w górę dwa palce i cicho ruszył w las do swojego kuca. Inni wstali i podążyli za nim — Groves z Reynoldsem wymieniając spojrzenia, które lepiej od wszystkich słów zdradzały, że ich zdaniem jeszcze bardziej niż w ocenie Mallory'ego pomylili się co do Andrei.

\* \* \*

Dokładnie w tej samej chwili, gdy Mallory z towarzyszami dosiadał kuców w lesie graniczącym z obozem Neufelda, bombowiec wellington podchodził do lądowania na dobrze oświetlonym lotnisku — tym samym, z którego przed niespełną dobą odlecieli Mallory i jego ludzie. W Termoli, we Włoszech. Wylądował idealnie, a kiedy kołował po pasie, na spotkanie wyjechał mu przecinając drogę i towarzysząc na ostatnich stu metrach bok w bok wojskowy wóz radiowy. Na lewym

fotelu przy szoferze i prawym tylnym siedziały w nim dwie natychmiast rozpoznawalne postacie — z przodu komandor Jensen z piracką wspaniałą brodą, a z tyłu angielski generał brygady, z którym komandor spędził tak niedawno tyle czasu chodząc po sali operacyjnej w Termoli.

Samolot i wóz zatrzymały się równocześnie. Jensen, ze zręcznością zaskakującą u kogoś tak potężnej postury, zeskokczył sprężysto na ziemię, energicznie przemaszerował przez pas startowy i znalazł się przy wellingtonie w chwili, kiedy otworzyły się jego drzwi i na ziemię wysiadł chwiejnie pierwszy z pasażerów, wąsaty major.

Jensen wskazał głową na papiery, które przybyły trzymał w ręku i bez żadnych wstępów spytał:

— Dla mnie?

Major niepewnie zamrugnął oczami, po czym sztywno skinął głową w odpowiedzi, najwyraźniej nieprzyjemnie zaskoczony faktem, że tak szorstko wita się człowieka, który właśnie powrócił z niewoli. Nie dodawszy już ani słowa więcej Jensen wziął papiery, wrócił na siedzenie samochodu, wyjął latarkę i krótko im się przyjrzał. Potem obrócił się na siedzeniu i powiedział do radiooperatora siedzącego przy generale:

— Plan lotu, jak podano. Cel, jak wskazano. Już.

Radiooperator zakręcił korbką nadajnika.

\* \* \*

Mniej więcej o pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód stamtąd, w okolicach Foggii, budynki i pasy startowe w bazie ciężkich bombowców RAF-u zatrzęśły się i rozhuczały od grzmotu mnóstwa silników samolotowych — na postoju samolotów przy zachodnim krańcu głównego pasa startowego kilka eskadr ciężkich bombowców typu lancaster ustawiło się jedna za drugą do odlotu, najwyraźniej czekając na sygnał. A sygnał miał nadejść już niedługo.

W połowie lotniska, choć całkiem w bok od głównego pasa, stał jeep, taki sam jak ten, w którym w Termoli siedział Jensen. Na jego tylnym siedzeniu nad nadajnikiem pochylał się radiooperator ze słuchawkami na uszach. Nasłuchiwał uważnie, a potem podniósł głowę i powiedział rzeczowo:

— Instrukcje, jak podano. Już. Już. Już.

— Instrukcje, jak podano — powtórzył siedzący na przednim siedzeniu kapitan. — Już, już, już.

Sięgnął po drewnianą kasetkę, wyjął trzy pistolety sygnałowe, po kolei wymierzył z nich w górę ponad pas startowy i z wszystkich trzech wystrzelił. Jaskrawe łuki pocisków świetlnych rozjarzyły się żywymi kolorami — zielonym, czerwonym i znów zielonym — i zataczając półkole opadły na ziemię. Huk na drugim

końcu lotniska osiągnął szczyty, przechodząc w gromowy grzmot, i pierwszy z lancasterów ruszył. Nie upłynęły dwie minuty, a wystartował ostatni z bombowców, wzbijając się w ciemne wrogie nocne niebo nad Adriatykiem.

— Powiedziałem, zdaje się, że są najlepsi w branży — odezwał się swobodnym tonem zadowolony Jensen do generała na tylnym siedzeniu. — Nasi przyjaciele z Foggii już wylecieli.

— Najlepsi w branży. Możliwe. Nie znam się na tym. Wiem za to na pewno, że te niemieckie i austriackie dywizje stoją nadal na linii Gustawa. Szturm na linię Gustawa ma się rozpocząć... — generał spojrział na zegarek — dokładnie za trzydzieści godzin.

— Zdążą — zapewnił go z przekonaniem Jensen.

— Chciałbym podzielać pańskie radosne przekonanie.

Jensen uśmiechnął się do niego wesoło, kiedy jeep ruszył, i wyprostował się na swoim siedzeniu. A wtedy uśmiech całkiem zniknął z jego twarzy, a palce dłoni zaczęły bębnić w siedzenie obok.

\* \* \*

Księżyc znów wyłonił się zza chmur, kiedy Neufeld, Droszny i ich żołnierze wpadli galopem do obozu i ściągnęli cugle kucom, tak spowitym parą unoszącą się z ich falujących boków i dyszących pysków, że w bladym księżycowym świetle wyglądały dziwnie niematerialnie, jak duchy. Neufeld zsiadł z kuca i zwrócił się do sierżanta Baera.

— Ile kuców zostało w stajni? — spytał.

— Dwadzieścia. Mniej więcej.

— Szybko. Tylu ludzi, ile kuców. Osiodłać je.

Neufeld skinął na Drosznego i razem pobiegli do baraku radiowego. Drzwi, choć noc była lodowato zimna, stały otworem, co nie wróżyło nic dobrego. Kiedy znaleźli się trzy metry od nich, Neufeld zawołał:

— Połączcie się natychmiast z mostem na Neretwie. Przekażcie generałowi Zimmermannowi...

Zatrzymał się jak wryty w progu, a tuż przy nim Droszny. Po raz drugi tej nocy na twarzach obu odmalowały się osłupienie i niewiara, całkowite zaskoczenie i dezorientacja.

W baraku radiowym paliła się tylko jedna mała lampa, ale nawet jej światło wystarczyło. Na podłodze leżeli nienaturalnie zwinięci dwaj żołnierze, jeden, częściowo na drugim — obaj bez wątplenia martwi. Obok nich, z wydartą przednią płytką i roztrzaskanym wnętrzem, leżały poszarpane szczątki czegoś, co kiedyś było radionadajnikiem. Neufeld przez jakiś czas ogarniał to wszystko wzrokiem, aż wreszcie, gwałtownie potrząsając głową, jakby chciał się otrząsnąć z szokującego

zakłęcia, obrócił się do Drosznego.

— To ten duży — powiedział cicho. — To ten duży to zrobił.

— Ten duży — zgodził się Droszny. Niemal się uśmiechał — pamięta pan o swojej obietnicy, kapitanie? Co do tego dużego? Jest dla mnie.

— Będzie go pan miał. Chodźmy. Wyprzedzają nas zaledwie o minuty.

Odwrócili się i pobiegli z powrotem do obozu, gdzie sierżant Baer z grupą żołnierzy już siodłał kuce.

— Tylko pistolety maszynowe! — krzyknął Neufeld. — Żadnych karabinów. Dziś będziemy strzelać z bliska. Sierzancie Baer!

— Słucham, panie kapitanie.

— Zapowiedzcie żołnierzom, że nie bierzemy jeńców.

\* \* \*

Podobnie jak wierzchowce Neufelda i jego żołnierzy, kuce Mallory'ego i szóstki jego towarzyszy były prawie niewidoczne wśród gęstych kłębow pary unoszącej się z ich spoconych boków — ich chwiejny chód, którego nie dałoby się w tej chwili nazwać nawet truchtem, dobitnie świadczył o tym, że są u kresu sił. Mallory spojrzał na Andreę, a ten skinął głową i powiedział:

— Zgadzam się. Szybciej dotrzemy na piechotę.

— Nie ma co, starzeję się — rzekł Mallory, a jego głos przez chwilę to potwierdzał. — Niezbyt bystro dziś myślę, prawda?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— O kucach. Neufeld i jego oddział wezmą świeże kuce ze stajni. Powinniśmy byli je zastrzelić... A przynajmniej przepędzić.

— Wiek to nie to samo co brak snu. Mnie też to nie przyszło do głowy. Nie sposób myśleć o wszystkim, Keith.

Andrea ściągnął cugle swojemu kucowi i już miał z niego zsiąść, kiedy jego uwagę przyciągnęło coś w dole na stoku. Wskazał ręką.

W minutę potem podjechali do bardzo wąskiego toru kolejowego, często spotykanego w środkowej Jugosławii. Na tej wysokości śnieg nie leżał i przekonali się, że chociaż szyny są zarośnięte i pokryte rdzą, to jednak w dobrym stanie technicznym. Z pewnością był to ten sam tor, który przyciągnął ich wzrok, kiedy zatrzymali się po to, aby przyjrzeć się dokładnie zielonym wodom zalewu na Neretwie, gdy wracali rano z obozu majora Broznika. Ale to nie sam tor, przyciągnął i przykuł uwagę tak Mallory'ego, jak Millera, a połączona z nim malutka bocznica... i mała napędzana drewnem lokomotywa, która na niej stała. Lokomotywa ta, będąca właściwie kupą zardzewiałego żelastwa, sprawiała wrażenie, jakby nie ruszano jej stamtąd od początku wojny, i tak właśnie najprawdopodobniej było.

Mallory wyjął z bluzy mapę w dużej skali i poświecił latarką.



— To na pewno ten sam tor, który widzieliśmy rano. Biegnie wzdłuż brzegu Neretvy co najmniej pięć mil, a potem skręca na południe — powiedział i po chwili dodał w zamyśleniu: — Ciekawe, czy zdołalibyśmy ją uruchomić.

— Co takiego?! — Miller spojrział na niego z przerażeniem. — Przy lada dotknięciu rozsypie się na kawałki, to cholerstwo trzyma się tylko dzięki rdzy. A do tego jeszcze ta stromizna! — Ze zgrozą spojrział na opadający stok. — Jak pan myśli, z jaką ostatecznie prędkością władujemy się na którąś z tych potwornych sosen, jakie rosną kilka mil stąd?

— Kuce są wykończone — odparł ze spokojem Mallory — a sam przecież wiesz, jak bardzo kochasz marsze.

Miller z odrazą popatrzał na lokomotywę.

— Na pewno jest jakiś inny sposób — powiedział.

— Ciii! — Andrea nadstawił ucha. — Jada. Słyszę, że jada.

— Wybijcie te kliny spod jej przednich kół! — krzyknął Miller. Podbiegł i kilkoma silnymi, mierzonymi kopnięciami, nie liczącymi się ani trochę z przyszyłym stanem jego dużych palców, zdołał oswobodzić trójgraniasty klocek, przyczepiony łańcuchem z przodu lokomotywy, a Reynolds z nie mniejszą energią zrobił to samo z drugim.

Wszyscy razem, nawet z pomocą Marii i Petara, naparli całym swym ciężarem na tył parowozu. Lokomotywa ani drgnęła. Spróbowali jeszcze raz, z rozpaczą, ale koła nie posunęły się nawet o milimetr.

— Panie kapitanie, na takim pochyłym stoku, pozostawiono ją wraz z zablokowanymi hamulcami — odezwał się Groves tonem, w którym naleganie dziwnie mieszało się z prośbą.

— O mój Boże! — powiedział upokorzony Mallory. — Andrea! Prędko, zwolnij hamulec!

Andrea z rozmachem wskoczył do kabiny maszynisty.

— Cholera, tu jest tuzin różnych wajch — poskarżył się.

— No to otwórz, cholera, cały tuzin — Mallory obejrzał się z niepokojem na tor, być może Andrea coś usłyszał, a może nie, w każdym razie nie widać było nikogo. On sam jednak dobrze wiedział, że Neufeld z Drosznym, którzy uwolnili się z fortu zaledwie w parę minut po ich odjeździe, a znali te lasy i ścieżki lepiej od nich, są już na pewno bardzo blisko.

Z kabiny maszynisty dobiegło sporo metalicznych zgrzytów i przekleństw, a po upływie może pół minuty głos Andrei:

— Gotowe.

— Pchajcie! — polecił Mallory.

Napierając plecami na lokomotywę, a nogami zapierając się o podkłady kolejowe, pchnęli i tym razem lokomotywa ruszyła tak łatwo, choć przy akompaniamencie koszmarnego pisku zardzewiałych kół, że całkowicie zaskoczyło to więk-

szość pchających, którzy upadli plecami na tor. W kilka chwil potem byli już na nogach, goniąc lokomotywę, która wyraźnie zaczęła nabierać pędu. Andrea wystawił rękę z kabiny, po kolei wciągnął na pomost Marię i Petara, a po nich pomógł wsiąść pozostałym. Ostatni, Groves, już sięgał ręką do podłogi pomostu, kiedy nagle zwolnił, obrócił się, pobiegł z powrotem do kucy, odwiązał liny do wspinaczki, zarzucił je na ramię i znów pogonił za lokomotywą. Mallory wyciągnął rękę i dopomógł mu przy wsiadaniu.

— Nie mam swojego dnia — powiedział zasmucony. — Prędzej zmierzch. Najpierw zapomniałem o drugich kluczach Baera. Potem o kucach. Potem o hamulcach. A teraz o linach. Zastanawiam się, o czym zapomnę w następnej kolejności.

— Może o Neufeldzie i Drosznym — odezwał się ze sztuczną obojętnością Reynolds.

— A co z nimi?

Reynolds lufą schmeissera wskazał tor za lokomotywą.

— Wolno strzelać, panie kapitanie? — spytał.

Mallory obrócił się. Neufeld, Droszny i nieokreślona liczba żołnierzy na kucach wyłonili się właśnie zza zakrętu na torze w odległości niewiele większej niż sto metrów od nich.

— Wolno strzelać — potwierdził Mallory. — Reszta na podłogę.

Zdjął z ramienia schmeisser i uniósł go w chwili, kiedy Reynolds nacisnął spust swego peemu. Na może pięć sekund zamknięte metalowe pudło kabiny wypełnił ogłuszający huk wystrzałów dwóch pistoletów maszynowych, po czym Mallory trącił towarzysza łokciem i przerwali ogień. Nie było do czego strzelać. Neufeld i jego żołnierze oddali kilka strzałów, ale od razu pojęli, że mocno rozkołysane siodła ich wierzchowców uniemożliwiają zajęcie tak pewnej pozycji strzeleckiej, jak na platformie parowozu — wjechali więc w las po obu stronach toru. Ale nie wszyscy zdążyli zrobić to na czas — dwóch z nich leżało nieruchomo, z twarzami w śniegu, a ich kuce galopowały dalej po torze w ślad za lokomotywą.

Miller wstał, bez słowa obejrzał się za lokomotywę, a potem klepnął Mallory'ego w ramię.

— Przyszedł mi na myśl drobny problem, panie kapitanie — rzekł. — Jak my ją zatrzymamy. — Wyrzwał lękliwie przez okno. — Pędzi już pewnie ze sześćdziesiąt na godzinę.

— Fakt, jedziemy już z prędkością co najmniej dwudziestu mil — odparł zgodliwie Mallory. — Ale na tyle szybko, żeby zdystansować kuce. Spytaj Andrei. To on zwolnił hamulec.

— Zwolnił tuzin dźwigni — sprostował Miller. — Każda z nich mogła być tą od hamulca.

— No więc co, nie będziesz tu chyba siedział z założonymi rękami? — spy-

tał rozsądnie Mallory. — Znajdź sposób na zatrzymanie tego cholerstwa.

Miller zmierzył go chłodnym wzrokiem i zajął się znalezieniem sposobu na zatrzymanie tego cholerstwa.

— Tak? — spytał Mallory, bo Reynolds dotknął jego ramienia.

Sierżant przytrzymał ramieniem Marię, żeby nie straciła równowagi na rozchwianej w tej chwili platformie.

— Chcą nas zabić, panie kapitanie — szepnął. — Chcą nas zabić jak amen w pacierzu. Może by tak się zatrzymać i zostawić tych dwoje? Dać im szansę ucieczki w las?

— Dzięki za dobre chęci. Ale nie mówcie głupstw. To przy nas mają szansę... co prawda niewielką, ale zawsze szansę. Zostawilibyśmy ich na pewną śmierć.

Lokomotywa nie jechała już, jak powiedział Mallory, z prędkością dwudziestu mil na godzinę jeśli nawet nie zbliżyła się do szybkości wymienionej przez Millera, to na pewno mknęła na tyle szybko, że grzechotała, rozhuściana do granic wytrzymałości. Ostatnie drzewa na prawo od toru już zniknęły, na zachodzie widać było wyraźnie pociemniałe wody zalewu na Neretwie, szyny biegły teraz bardzo blisko skraju nader niebezpiecznie wyglądającej przepaści. Mallory obejrzał się, zaglądając do kabiny. Wszyscy, z wyjątkiem Andrei mieli bardzo zalęknione miny.

— Jeszcze nie odkryliście, jak zatrzymać to cholerstwo? — spytał.

— Z łatwością — odparł Andrea, wskazując jakąś dźwignię. — To ta wajcha.

— Dobra, hamulcowy. Chcę tu na coś rzucić okiem.

Ku wyraźnej uldze większości pasażerów w kabynie Andrea cofnął dźwignię hamulca. Rozległ się przeraźliwy, piskliwy, przyprawiający o ciarki zgrzyt, na boki wyprysły snopy iskier, kiedy koła przywarły mocno do szyn, a potem lokomotywa powoli zatrzymała się, pośród cichnącego pisku hamulców i w nienickającym snopie iskier. Wypełniwszy swój obowiązek, Andrea wychylił się z kabiny ze znudzoną i zadufaną miną pierwszorzędnego maszynisty — można by myśleć, że od życia pragnie w tej chwili jedynie zatłuszczonej szmaty i sznurka od gwizdka lokomotywy.

Mallory i Miller zsiadli z parowozu i podbiegli do oddalonego niespełna dwadzieścia metrów skraju skały. A przynajmniej podbiegł Mallory. Miller zbliżył się tam znacznie rozważniej, ostatnie kilka metrów przebywając centymetr po centymetrze na czworakach. Zerknął ostrożnie poza krawędź przepaści, szczelnie zaciśnął powieki, odwrócił się i z równą ostrożnością wycofał się znad brzegu skały. Twierdził, że nie może stanąć nawet na najniższym stopniu drabiny, żeby natychmiast nie ulec nieodpartej chęci rzucenia się w otchłań.

Mallory w zamyśleniu spojrział w przepaść. Znajdowali się, jak zobaczył, nad samym wierzchołkiem zapory, która w dziwnie przyćmionym półświecie księżycy zdawała się być prawie niewiarygodnie daleko, na dnie zawrotnej czeluści. Szeroki

wierzchołek zapory był jasno oświetlony reflektorami i patrolowany przez co najmniej pół tuzina niemieckich żołnierzy w hełmach i wysokich butach. Po jej drugiej stronie, przy niższej ścianie skalnej, nie widać było drabiny, o której wspomniała Maria, a za to wąły most wiszący, któremu zagrażał olbrzymi głaz spoczywający na kamiennym osypisku na lewym brzegu rzeki, jeszcze dalej zaś białą wodę, bardzo wyraźnie wskazującą miejsce, gdzie znajdował się prawdopodobnie bród, który być może nadawał się do przejścia. Pograżywszy się chwilowo w myślach, Mallory wpatrywał się jakiś czas w widok w dole, potem przypomniał sobie, że goniący ich znów nieprzyjemnie się do nich zbliżyli i pośpiesznie wrócił do lokomotywy.

— Myślę, że będzie tam z półtorej mili. Nie więcej — powiedział do Andrei i obrócił się do Marii. — Wiesz, że kawałek od zapory jest bród, a przynajmniej wygląda to na bród. Jest tu do niego jakieś zejście?

— Dla górskich kozłów.

— Niech pani mu nie ubliża — powiedział z wyrzutem Miller.

— Nie rozumiem.

— Nie zwracaj na niego uwagi — rzekł Mallory. — Powiesz mi tylko, kiedy tam dojedziemy.

\* \* \*

Dziewięć, może dziesięć kilometrów od zapory na Neretwie generał Zimmermann przechadzał się dużymi krokami tam i z powrotem tuż pod lasem sosnowym graniczącym z łąką na południe od mostu. Obok niego kroczył pułkownik, jeden z dowódców dywizji. Na południe od nich można było dostrzec niewyraźne sylwetki setek żołnierzy, mnóstwa czołgów i innych pojazdów, z których usunięto cały ochronny kamuflaż. Krzątały się przy nich grupki obsługujących je ludzi, dokonujących ostatnich i prawdopodobnie całkiem niepotrzebnych napraw. Czas na ukrywanie się minął. Czekanie dobiegło końca. Zimmermann spojrzął na zegarek.

— Wpół do pierwszej — powiedział. — Za piętnaście minut ruszą przez most pierwsze bataliony piechoty i zajmą pozycje na północnym brzegu. Czołgi ruszą o drugiej.

— Tak jest, panie generale. — Szczegóły ustalono wiele godzin temu, ale powtórzenie i potwierdzenie instrukcji zawsze wydawało się niezbędne. Pułkownik spojrzął na północ. — Czasem zastanawiam się, czy tam, po drugiej stronie rzeki, rzeczywiście ktoś jest — powiedział.

— Nie o północ się martwię — wyznał ponuro Zimmermann. — Ale o zachód.

— O aliantów? Pan... spodziewa się przylotu ich powietrznych flot? Nadal czuje pan to przez skórę, panie generale?

— Nadal czuję to przez skórę. To się zbliża. Do mnie, do pana, do nas wszystkich. — Zimmermann zadrżał i zmusił się do uśmiechu. — Właśnie przeszły mi po krzyżu bardzo nieprzyjemne ciarki.

## X. Sobota, godz. 00:40-01:20

— Już do niego dojeżdżamy — oznajmiła Maria. Wystawiła głowę z jasnymi włosami powiewającymi na wietrze przez okno kabiny grzechoczącej, rozkołysanej lokomotywy, cofnęła ją i zwróciła się do Mallory'ego. — Około trzystu metrów.

— Słyszałeś, hamulcowy? — Mallory zerknął na Andreę.

— Słyszałem. — Andrea oparł się mocno na dźwigni hamulca. Efekt był taki jak poprzednio — upiorny pisk kół zablokowanych na zardzewiałych szynach i pirotechniczny pokaz iskier. Lokomotywa zatrzymała się szarpiąc i zgrzytając, kiedy jej maszynista wyjrzał przez okno kabiny i na wprost miejsca, gdzie stanęli, dostrzegł w krawędzi skały trójkątny wyłom. — Z dokładnością do jarda, co?

— Z dokładnością do jarda — przyznał Mallory. — Jeżeli po wojnie zostaniesz bez pracy, to zawsze powinno się znaleźć dla ciebie miejsce w lokomotywni. — Zeskoczył przy torze, podał rękę, żeby pomóc wysiąść Marii i Petarowi, odczekał, aż zeskoczą Miller, Reynolds i Groves, a potem niecierpliwie ponaglił Andreę. — No, to pośpiesz się.

— Już się robi — odparł uspokajająco Andrea. Odciągnął do oporu dźwignię hamulca, wyskoczył i pchnął lokomotywę — wiekowy pojazd od razu ruszył, w miarę jazdy nabierając prędkości. — Nigdy nie wiadomo — powiedział Andrea z rozmarzeniem. — A nuż na kogoś wpadnie.

Pobiegli do wyrwy w skale, wyrwy, która z pewnością była skrajem jakiegoś prehistorycznego obsunięcia się gruntu w łożysko Neretvy, w wirującą białą wodę w dole, w kipiące bystrzyny, utworzone z mnóstwa wielkich głazów, które oddzieliły się od tego osuwiska w tamtej odległej epoce. Przy pewnym wysiłku wyobraźni ową szramę w licu skały można byłoby nazwać żlebem, w rzeczywistości jednak był to niemal pionowy uskok terenu złożony z piargów, łupków i małych głazów, bez wyjątku zatrważająco zdradliwych i niepewnych, niebezpieczny na całej długości i mniej więcej w połowie przecięty małą wystającą półką skalną. Miller ogarnął jednym rzutem oka przerażającą perspektywę zejścia w dół, wycofał się pośpiesznie znad krawędzi skały i nie dowierzającym wzrokiem z niemą grozą spojrzął na Mallory'ego.

— Niestety — powiedział Mallory.

— Ależ to potworne. Nawet kiedy wspinałem się na południowe urwisko w Nawaronie...

— Wcale się nie wspinałem na południowe urwisko w Nawaronie — przerwał mu niegrzecznie Mallory — Andrea i ja wciągnęliśmy cię na górę na linie.

— Tak? Wyleciało mi z pamięci. Ale to... to jest straszny sen alpinisty!

— Toteż nie musimy się tu wspinać. Tylko zjechać na dół. Nic ci nie będzie... dopóki nie zaczniesz się okręcać.

— Nic mi nie będzie, dopóki nie zacznę się okręcać — powtórzył odruchowo Miller. Przyjrzał się, jak Mallory łączy ze sobą dwie liny i opasuje nimi pień karłowatej sosny. — A co z Petarem i Marią?

— Petar nie musi widzieć, żeby zjechać na dół. Wystarczy, że spuści się po tej linie... a jest silny jak koń. Ktoś zjedzie tam przed nim, żeby wskazać mu, gdzie ma stawiać nogi na tej półce. Andrea zaopiekuje się naszą młodą damą. Pośpieszmy się. Neufeld i jego oddział dogonią nas lada chwila... A jeżeli dopadną nas na tej skale, to koniec. Andrea, zjeżdżaj z Marią.

Andrea i dziewczyna natychmiast zwiesili się przez krawędź wąwozu i szybko zaczęli opuszczać po linach w dół. Przyglądający się im przez chwilę Groves zawahał się, a potem podszedł do Mallory'ego.

— Zjadę ostatni, panie kapitanie — powiedział. — I zabiorę ze sobą linę.

Miller wziął go pod ramię i odprowadził kilka kroków.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony, synu, bardzo szlachetnie, ale nic z tego. Nic z tego, dopóki zależy od tego życie Dusty'ego Millera. Trzeba ci wiedzieć, że w takiej sytuacji jak ta, życie wszystkich zależy od tego, kto schodzi jako ostatni. A o ile wiem, pod tym względem nikt nie może się równać z naszym kapitanem.

— Co?

— Bynajmniej nie przypadkowo został dowódcą tej wyprawy. Bośnia jest znana ze swoich licznych skał, gór i urwisk. A Mallory wspinał się na Himalaje, chłopcze, zanim ty wygramoliłeś się z kołyski. Nawet ty nie jesteś aż tak młody, żebyś o nim nie słyszał.

— O Keithie Mallorym?! tym Nowozelandczyku?!

— Właśnie. Sądzę, że przywykł do roli anioła stróża. Chodź, twoja kolej.

Pierwsza piątka zjechała szczęśliwie. Nawet przedostatni, Miller, zjechał na skalną półkę bez wypadku, głównie dzięki zastosowaniu swojej ulubionej techniki alpinistycznej, polegającej na zamknięciu podczas zjazdu oczu. Na koniec zjechał wreszcie Mallory, zwijając w trakcie tego linę, poruszając się szybko, pewnie i w ogóle nie patrząc gdzie stawia nogi, a mimo to nie trącił najmniejszego kamienia czy łupku. Groves przyglądał się temu z bliskim czci niedowierzaniem.

Mallory wyjrzał za krawędź półki. Ponieważ wąwóz nad ich głowami lekko się wyginał, światło księżyca zanikało nagle na wprost nich jak ucięte nożem, tak że podczas gdy fosforyzujące bielą bystrzyny były jaskrawo oświetlone, to niższa część zbocza pod ich stopami tonęła w mroku. Kiedy tak patrzył, księżyc przesłonił jakiś cień i wszystkie niewyraźnie majaczące szczegóły stoku w dole zniknęły. Mallory zdawał sobie sprawę, że nie wolno im czekać na ponowne wyłonienie się księżyca, bo Neufeld z żołnierzami mógł już do tej pory nadjechać. Zamocował linę na skalnym zębie i ostrzegł Andreę i Marię:

— To zejście jest naprawdę niebezpieczne. Uważajcie na obluzowane głązy.

Niewidoczny dla innych zjazd zajął Andrei i Marii dobrze ponad minutę, a ich szczęśliwe dotarcie na dno wąwozu obwieściło dwukrotne pociągnięcie za linę. Schodząc spowodowali kilka małych lawin, ale Mallory nie obawiał się, że następny schodzący poruszy głaz, który spadając zrani lub zabije Andreę i Marię. Grek żył za długo i za niebezpiecznie, by zginąć w tak głupi, bezsensowny sposób, nie było też wątpliwości, że ostrzeże przed takim niebezpieczeństwem następnego schodzącego. Po raz dziesiąty Mallory zerknął w górę na szczyt zbocza, z którego właśnie zeszli, ale jeżeli Neufeld, Droszny i żołnierze już tam nadjechali, to zachowywali się bardzo cicho i nadzwyczaj przezornie — po wydarzeniach kilku minionych godzin nietrudno było dojść do wniosku, że za nic nie zechcą ryzykować.

Kiedy wreszcie Mallory sam zaczął schodzić w dół, znów zaświecił księżyc. Zaklął na myśl, jak bardzo wystawia go to na wzrok wroga, który nagle pojawiłby się na szczycie skały, choć dobrze wiedział, że Andrea będzie go ubezpieczał przed takim zagrożeniem. Z drugiej strony dało mu to okazję do zdwojenia prędkości zjazdu, jaką rozwijał schodząc przedtem w ciemnościach. Patrzący z dołu śledzili w napięciu, jak dokonuje niebezpiecznego zejścia bez pomocy liny, ale ani przez chwilę nie zanosilo się na to, że popełni błąd. Zjechał szczęśliwie na kamienisty brzeg rzeki i spojrzął na porohy.

— Wiecie, co będzie, jeżeli dotrą na górę i zastaną nas w trakcie przeprawy i oświetlonych księżycem? — spytał, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego. Cisza po jego słowach niedwuznacznie wskazywała, że wszyscy wiedzą, co będzie. — Nie mamy chwili czasu do stracenia. Jak sądzisz, Reynolds, zdołasz przejść? — Reynolds skinął głową. — To zostaw pistolet.

Mallory obwiązał sierżanta w pasie liną, przygotowując się wraz z Andreą i Grovesem na wszelki wypadek do jej ciągnięcia. Reynolds zanurzył się całym ciałem w nurt, zmierzając do pierwszego z okrągłych głazów, który dawał bardzo niepewny punkt oparcia w tej spienionej kipieli. Dwa razy zwałało go z nóg, dwa razy wstawał, aż wreszcie dotarł do głazu, ale tuż za nim prąd wodny pozbawił go równowagi i porwał ze sobą. Koledzy wciągnęli go na brzeg, kaszlącego, plującego wodą i wrywającego się jak szalony. Bez jednego słowa czy spojrzenia rzucił się ponownie w bystrzyny i tym razem zaatakował nurt z tak bezwzględną furją, że udało mu się dotrzeć na drugi brzeg bez jednego nawet upadku.

Podciągnął się na kamieniste nabrzeże, kilka chwil leżał odzyskując wyczerpane siły, potem wstał, podszedł do karłowatej sosny u stóp skały po drugiej stronie rzeki, odwiązał linę, którą był przepasany, i obwiązał nią solidnie pień drzewa. Mallory na swoim brzegu dwukrotnie obwiązał liną duży głaz, a potem dał znak Andrei i dziewczynie.

Jeszcze raz spojrzął na krawędź wąwozu. Nadal nie było tam śladu wroga. Mimo to był pewien, że nie mogą dłużej czekać, że i tak już za bardzo skusili los. Andrea i Maria nie dotarli jeszcze nawet do połowy rzeki, kiedy poleciał Grovesowi,



żeby pomógł Petarowi w przeprawie przez bystrzyny. Modlił się w duchu, żeby lina wytrzymała, ale wytrzymała, bo Andrea i dziewczyna szczęśliwie osiągnęli drugi brzeg. Nim jeszcze postawili na nim nogi, Mallory wysłał w drogę Millera, dźwigającego na lewym ramieniu stos broni maszynowej.

Groves z Petarem również przeprawili się bez wypadku. Sam Mallory musiał zaczekać, aż Miller dotrze na drugi brzeg, bo wiedział, że zagraża mu bardzo znieśnienie przez rzeczny nurt, wtedy zaś Amerykanin też wpadłby do wody i nie mieliby już żadnego pożytku z pistoletów.

Czekał tylko do momentu, gdy zobaczył, że Andrea pomaga Millerowi w płytkiej wodzie na drugim brzegu, nie dłużej. Odwinął linę z użytego do asekuracji kamienia, obwiązał się w pasie i zanurzył w wodę. Zmyło go dokładnie w tym samym miejscu, co Reynoldsa przy pierwszej próbie przeprawy, tak że w końcu na drugi brzeg wyciągnęli go koledzy, wprawdzie bez szwanku, lecz ze sporą ilością wody z Neretvy w żołądku.

— Są jakieś rany, pęknięcia kości albo czaszki? — spytał. Sam czuł się tak, jakby przeprawił się w beczce przez Niagarę. — Nie? Doskonale. — Spojrzał na Millera. — Ty zostaniesz ze mną. Andrea, zabierz resztę za najbliższy zakręt i czekajcie tam na nas.

— Ja? — sprzeciwił się ze spokojem Andrea. Wskazał głową urwisko po drugiej stronie. — Mamy przecież znajomych, którzy mogą nadejść w każdej chwili.

Mallory odciągnął go na bok.

— Mamy też znajomych, którzy z równym prawdopodobieństwem mogą nadejść brzegiem rzeki z posterunku na zaporze — rzekł cicho. Wskazał głową sierżantów, Petara i Marię. — Jak myślisz, co się z nimi stanie, jeśli wpadną na patrol strzelców alpejskich?

— Zaczekam na was za zakrętem.

Andrea z czwórką towarzyszy ruszył wolno w górę rzeki, ślizgając się i potykając na mokrych kamieniach i otoczakach. Mallory i Miller skryli się za dwa duże głazy i zadarli głowy.

Minęło kilka minut. Nadal świecił księżyc, a na szczycie wąwozu nadal nie było ani śladu wroga.

— Jak pan myśli, co się z nimi stało? — spytał zaniepokojony Miller. — Coś cholernie dużo czasu potrzebują na pojawienie się tutaj.

— Wcale nie, myślę, że tak cholernie dużo czasu potrzebują na zawrót z drogi.

— Zawrót z drogi?

— Przecież nie wiedzą, dokąd poszliśmy. — Mallory wyjął mapę i przyjrzał się jej w świetle starannie osłoniętej cieniutkiej latarki. — Trzy mile dalej tor kolejki ostro skręca w lewo. Najprawdopodobniej lokomotywa wypadła tam z szyn.

Neufeld i Droszny widzieli nas ostatnim razem właśnie w niej, więc logiczne jest, że podążyli po torze aż do miejsca, gdzie porzuciliśmy lokomotywę, spodziewając się, że znajdą nas w tamtej okolicy. Kiedy znaleźli rozbity parowóz, w mig pojęli, co się stało — ale doszło im jeszcze półtorej mili jazdy, z czego połowa pod górę na zmęczonych kucach.

— Tak na pewno było. Modłę się tylko, żeby się pośpieszyli — rzekł gderliwie Miller.

— A to co? — spytał dociekliwie Mallory. — Dusty Miller pali się do czynu?

— Ależ skąd — zaprzeczył stanowczo Miller. — Pozostało nam jednak bardzo mało czasu.

— Pozostało nam strasznie mało czasu — przyznał trzeźwo Mallory.

I właśnie wtedy nadjechali. Miller, który patrzył w górę, dojrzał w świetle księżyca słaby błysk metalu, kiedy ponad krawędzią wąwozu pojawiła się ostrożnie czyjaś głowa. Dotknął ramienia Mallory'ego.

— Widzę — mruknął Mallory.

Jednocześnie sięgnęli za pazuchy bluz, wydobyli lugery i wyjęli je z nieprzemakalnych pokrowców. Głowa w hełmie przemieniła się powoli w ostro zarysowaną w świetle księżyca sylwetkę żołnierza, stojącego na tle silnie kontrastującego z nim nieba. Nie ulegało wątpliwości, że przystąpił do zejścia, kiedy nagle rozłożył ramiona i oderwawszy się od skalnej ściany spadł plecami w dół. Jeśli krzyczał, to nie było tego słychać przez szum rwącej wody tam, gdzie siedzieli Mallory z Millerem. W połowie zbocza żołnierz uderzył w skalną półkę, odbił się od niej niewiarygodnie daleko, a potem z rozpostartymi rękami i nogami wylądował na kamienistym brzegu rzeki, pociągając za sobą małą lawinę kamieni.

— Cóż, ostrzega pan, że to niebezpieczne — rzekł filozoficznie grobowym tonem Miller.

Na skraju przepaści pojawiła się kolejna postać, żeby podjąć drugą próbę zejścia na dół, a po niej, w krótkich odstępach czasu, kilku dalszych żołnierzy. Wówczas zaś księżyc skrył się na parę minut za chmurę i Mallory z Millerem aż do bólu oczu zaczęli się wpatrywać w drugi brzeg, z całych sił i na próżno starając się przebić wzrokiem nieprzenikniony mrok za rzeką.

Kiedy księżyc wyszedł zza chmury, pierwszy ze schodzących żołnierzy znajdował się właśnie tuż pod skalną półką, ostrożnie pokonując dolną część urwiska. Mallory wymierzył staranie luger, żołnierz zastygł jak porażony, runął w tył i spadł ginąc. Następny żołnierz, niewątpliwie świadom losu towarzysza, zaczął schodzić po dolnej połówce urwiska. Mallory i Miller wycelowali lugery, ale właśnie w tej chwili księżyc znów się skrył i musieli je opuścić. Kiedy wyłonił się ponownie, na przeciwny brzeg rzeki dotarło już szczęśliwie czterech ludzi, a dwóch z nich, połączonych ze sobą liną, rozpoczęło właśnie ryzykowną przeprawę przez

bród.

Mallory i Miller zaczęli, aż przebędą szczęśliwie dwie trzecie drogi. Stali się dla nich łatwym, bliskim celem, więc nie mogli chybić — i nie chybili. Biała woda na bystrzynach chwilowo poczerwieniała, tyleż w oczach patrzących, co w ich wyobraźni, a potem obu żołnierzy, wciąż związanych liną, zmyło w dół przełomu rzeki. Bystry prąd tak wściekle kotłował ich ciała, powierzchnię wody tak często przebijały ich wywijające młynka nogi i ręce, iż wydawać się mogło, że to ludzie, którzy nadal rozpaczliwie, chociaż beznadziejnie, walczą o swoje życie. Tak czy owak, było oczywiste, że dwójka pozostałych żołnierzy na drugim brzegu nie dopatrzyła się w ich wypadku niczego dla siebie złowieszczonego. Stali i przyglądali się znikającym ciałom towarzyszy zmieszani, ciągle nie pojmując, co się dzieje. Jeszcze dwie, trzy sekundy, a nie pojęliby już niczego więcej w życiu, jednakże znów pasemko zablakanej ciemnej chmury zakryło księżyc, więc zyskali chwilę, krótką chwilę życia. Mallory i Miller opuścili pistolety.

— Dlaczego nie strzelają, do diabła?! — zirytował się Mallory spoglądając na zegarek. — Jest pięć po pierwszej.

— Kto nie strzela? — spytał ostrożnie Miller.

— Przecież słyszałeś. Byłeś przy tym. Poprosiłem Visa, żeby poprosił Vukalovicia o danie nam o pierwszej osłony dźwiękowej. Tam, na Przełęczy Zenicy, to całą milę stąd, trudno. Dłużej nie możemy czekać. Wezmę... — urwał, wsłuchał się w nagły wybuch karabinowych strzałów, zdumiewająco głośnych nawet jak na tę niewielką odległość, i uśmiechnął się. — Cóż znaczy pięć minut w tą czy w tamtą stronę. Chodźmy. Mam wrażenie, że Andrea już się zaczął o nas trochę niepokoić.

Andrea niepokoił się. Wyłonił się cicho z cienia, kiedy minęli pierwszy zakręt rzeki.

— Gdzie byliście? — spytał z wyrzutem. — Zamartwiałem się o was na śmierć.

— Wyjaśnię ci za jakąś godzinę — odrzekł Mallory. — Jeżeli za godzinę będziemy jeszcze razem — poprawił się ponuro. — Nasi znajomi bandyci są dwie minuty za nami. Myślę, że zjawią się w dużej sile — mimo że stracili czterech ludzi, a licząc tych, których Reynolds zastrzelił z lokomotywy — sześciu. Zostaniesz przy następnym zakręcie rzeki i ich przytrzymasz. Musisz to zrobić w pojedynkę. Dasz radę?

— Nie czas na żarty — odparł z godnością Andrea. — A co potem?

— Groves, Reynolds, Petar i jego siostra pójdą z nami w górę rzeki. Groves i Reynolds podejda jak najbliżej zapory, a Petar z Marią tam, gdzie znajdą odpowiednią kryjówkę — być może w sąsiedztwie tego wiszącego mostu — o ile tylko będzie ona w bezpiecznej odległości od tego cholernego wielkiego głazu, który tkwi nad nim.

— Przy wiszącym moście, panie kapitanie? — spytał Reynolds. — Głaz?

— Wypatrzyłem go, kiedy wysiedliśmy z lokomotywy na zwiad.

— To pan go widział. Ale nie Andrea.

— Wspomniałem mu o nim — odparł niecierpliwie Mallory i nie przejmując się niedowierzającą miną sierżanta zwrócił się do Andrei. — Ja i Dusty nie możemy dłużej czekać. Użyj schmeissera, żeby ich zatrzymać. — Wskazał ręką na północny zachód, w kierunku Przełęczy Zenicy, skąd w tej chwili niemal bez przerwy dobiegał grzechot strzelaniny. — Przy tym hałasie nie odróżnią, kto strzela.

Andrea skinął głową, umościł się wygodnie za parą dużych kamieni i wsunął lufę schmeissera w trójkątną szparę pomiędzy nimi. Reszta oddziałku ruszyła w górę rzeki, telepiąc się niezdarnie po śliskich otoczakach i żwirze, którym usłany był prawy brzeg Neretvy, aż wreszcie dotarli do szczytkowej ścieżki utorowanej pośród kamieni. Uszli nią ze sto metrów i dotarli do łagodnego zakrętu w wąwozie. Cała szóstka jak jeden mąż bez żadnej komendy zatrzymała się i zadarła głowy.

Znienacka wyłonił się przed nimi w całej krasie widok na wyniosłe, zapierające dech wały zapory na Neretvie. Ponad zaporą, po obu jej stronach, strzelały w nocne niebo strome ściany skalne, z początku biegnące prawie pionowo w górę, a wyżej nachylające się tak, iż tworzyły potężne nawisy, sprawiając wrażenie, że stykają się ze sobą w górze, chociaż było to, jak Mallory wiedział z obserwacji, złudzenie optyczne. Na szczycie samej zapory widać było wyraźnie budynki wartowni i baraku łączności, a także małe sylwetki patrolujących niemieckich żołnierzy. Ze szczytu zapory, po jej wschodniej stronie, tam, gdzie stały baraki, zbiegała zygzakiem w dół na dno wąwozu, w pobliże miejsca, gdzie białe strumienie spienionej wody wypływały kipiąc z rur wylotowych u podnóża tamy, przymocowana żelaznymi kłami do nagiej skały metalowa drabina, pomalowana, jak Mallory wiedział, na zielono, ale w półcieniu rzucanym przez ścianę zapory czarna. Próbował zgadnąć, ile ma stopni. Dwieście, może dwieście pięćdziesiąt, a kiedy już raz się na nią weszło, wchodząc lub schodząc, to człowiek nie mógł się zatrzymać, gdyż nie było tam żadnego pomostu ani niszy, gdzie dałoby się choć przez chwilę odetchnąć. Nie dawała też ona najmniejszej osłony przed wzrokiem patrzących z wiszącego mostu. Przyszło mu na myśl, że nikt by jej sobie nie wybrał na drogę do ataku, i nie potrafił sobie wyobrazić bardziej ryzykownej.

W pół drogi pomiędzy miejscem, w którym stali, a podnóżem drabiny po drugiej stronie rzeki, nad kipiącymi wodami przełomu Neretvy wisiał most. Nie wiele w jego wiekowej, chwiejnej, wypaczonej powierzchni budziło zaufanie, a i to skromne zaufanie nie było w stanie wytrzymać próby w postaci olbrzymiego głazu, który wisiał bezpośrednio nad jego wschodnim końcem i zdawał się grozić rychłym rozstaniem się z niewątpliwie lichym punktem oparcia w skalnej rozpadlinie na urwisku.

Reynolds ogarnął wzrokiem cały widok, jaki miał przed sobą, i obrócił się do Mallory'ego.

— Byliśmy bardzo cierpliwi, panie kapitanie — powiedział cicho.

— Byliście bardzo cierpliwi, sierzancie, i jestem wam za to wdzięczny. Naturalnie wiecie, że w Kotlinie Zenicy — tuż za tymi górami na lewo od nas — tkwi schwyta w pułapkę dywizja jugosłowiańskich partyzantów. Wiecie też, że Niemcy zamierzają przerzucić o drugiej w nocy przez most na Neretwie dwie dywizje pancerne i że gdyby im się to udało — a w normalnych warunkach nic nie mogłoby im w tym przeszkodzić — to Jugosłowianie, uzbrojeni jedynie w broń krótką i goniący resztkami amunicji, zostaliby rozniesieni na strzępy. Czy zdajecie sobie sprawę, że Niemców powstrzymać może tylko zniszczenie tego mostu? Czy wiecie, że ta kontrwywiadowcza misja ratunkowa była jedynie przykrywką dla prawdziwej akcji?

— Teraz już wiem — odparł rozgoryczony Reynolds i wskazał w dół koryta rzeki. — Wiem również, że most jest w tamtym kierunku.

— Rzeczywiście. A ja ponadto wiem, że nawet gdyby udało się nam do niego podejść — co jest wykluczone — to i tak nie zdołalibyśmy go wysadzić w powietrze, nawet z pomocą ciężarówki materiałów wybuchowych. Stalowe mosty wtopione w żelbeton są ogromnie trudne do zburzenia. — Mallory obrócił się i spojrzał na zaporę. — Dlatego zrobimy to inaczej. Widzicie tę zaporę? Za nią jest trzydzieści milionów ton wody, wystarczająco dużo, żeby znieść most w Sydney, a co dopiero ten na Neretwie.

— Pan oszalał — rzekł ściszym głosem Groves, a po namyśle dodał — panie kapitanie.

— Myślicie, że o tym nie wiem? Ale tak czy siak zamierzamy wysadzić tę tamę. Dusty i ja.

— Ale... ale nasze jedyne materiały wybuchowe to kilka granatów — powiedział doprowadzony do rozpacz Reynolds. — A żelbetonowa ściana tej zapory na pewno ma od dziesięciu do dwudziestu stóp grubości. Wysadzić ją? Jak?!

Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć.

— Cholera jasna, ależ z pana milczek...

— Milczeć! Człowieku, czy ty nigdy, nigdy się nie nauczysz? Mogą cię złapać i zmusić do mówienia nawet w ostatniej chwili, a wtedy jaki los czeka dywizję Vukalovicia zamkniętą w Kotle Zenicy? Czego nie wiesz, tego nie powiesz.

— Ale pan wie! — odparł Reynolds kipiąc z oburzenia. — Pan, Dusty i Andrea — pułkownik Stavros — wiecie! Wiedzieliśmy z Grovesem od początku, że wy wiecie... i że mogą was zmusić do mówienia!

— Zmusić do mówienia Andree? — spytał Mallory, hamując się z całych sił. — Może i tak... Gdyby zagrozić mu odebraniem cygar. Pewnie Dusty i ja moglibyśmy się wygadać... ale przecież ktoś musiał wiedzieć!

— A w jaki sposób przedostanie się pan za tamę? Przecież nie może jej pan wysadzić od frontu! — powiedział Groves takim tonem, jakby godził się z tym, co

nieuniknione.

— Środkami, którymi dysponujemy w tej chwili, owszem — przyznał Mallory. — Przedostaniemy się na drugą stronę zapory. Wespniemy się tam — wyjaśnił.

Wskazał urwistą ścianę wąwozu po drugiej stronie rzeki.

— Wespniemy się tam? — zagadnął Miller. Minę miał osłupiałą.

— Po drabinie. Ale nie do końca. Kiedy dojdziemy do trzech czwartych jej wysokości, dalej wespniemy się po pionowej ścianie skalnej tam, gdzie zaczyna się ten nawis skalny, ze czterdzieści stóp powyżej wierzchołka zapory. Znajduje się tam półka, a właściwie raczej szczelina w skale...

— Szczelina? — wychrypiał Miller. Był przerażony.

— Szczelina. Biegnie przez około sto pięćdziesiąt stóp nad wierzchołkiem zapory, wznosząc się pod kątem może ze dwudziestu stopni. Tamtędy przejdziemy.

Oszołomiony Reynolds wpatrzył się w Mallory'ego prawie z niedowierzaniem.

— To szaleństwo! — wykrztusił.

— Szaleństwo! — zawtórował mu Miller.

— Gdybym miał wybór, to bym nie poszedł — wyznał Mallory. — Niemniej innej drogi nie ma.

— Ależ oni na pewno was zobaczą — zaprotestował Reynolds.

— Wcale nie na pewno. Mallory sięgnął do plecaka i wydobyl z niego czarny gumowy kombinezon pletwonurka, a Miller z ociąganiem wyjął ze swojego taki sam. Kiedy obaj zaczęli je na siebie naciągać, Mallory dodał: — na tle tej czarnej ściany będziemy jak dwie czarne muchy.

— Łudzi się — mruknął Miller.

— A poza tym liczymy na to, że kiedy tylko RAF zacznie swoje fajerwerki, przy małym łucie szczęścia Niemcy będą patrzeć w inną stronę. I jeżeli widzimy jakąś groźbę, że nas wykryją... Cóż, właśnie tu zaczyna się zadanie wasze i Grovesa. Komandor Jensen miał rację... Okazało się, że nie damy rady wykonać tego zadania bez was.

— Pochwały? — spytał Grovesa Reynolds. — Pochwały z ust naszego dowódcy? Czuję, że szykuje się coś paskudnego.

— Rzeczywiście — przyznał Mallory. Skończył już zakładać kombinezon z kapturem i przymocowywał właśnie do pasa wyjęte z plecaka haki i młotek — jeżeli znajdziemy się w kłopotach, wy odwrócicie od nas uwagę.

— Jak to ma wyglądać? — spytał podejrzliwie Reynolds.

— Zaczniecie strzelać do wartowników na zaporze skądś blisko jej podnóża.

— Ale... ale przecież będziemy całkowicie odsłonięci! — Groves spojrzał za rzekę na piarg tworzący jej lewy brzeg u podstawy zapory i stóp drabiny. — Tam nie ma nawet najmniejszej osłony. Jakie będziemy mieć szanse?

Mallory umocował plecak i zarzucił na ramię zwój długiej liny.

— Niestety, bardzo marny — odparł. Spojrzał na fosforyzujący zegarek. — Ale w końcu przez trzy następne kwadransy jesteście zbędni. Dusty i ja nie.

— Tak po prostu? — spytał prosto z mostu Reynolds. — Zbędni.

— Tak po prostu.

— Chcecie się z nami zamienić? — spytał z nadzieją Miller. Nie otrzymał odpowiedzi, bo Mallory już ruszył w drogę. Miller po raz ostatni popatrzył lękliwie na wyniosły bastion skalny w górze, po raz ostatni poprawił plecak i podążył za nim.

Reynolds zrobił ruch, żeby odejść, ale Groves przytrzymał go i dał znak Marii i Petarowi, żeby poszli przodem.

— Oczekamy chwilę i pójdziemy z tyłu. Dla pewności — powiedział do niej.

— O co chodzi? — spytał ściszym głosem Reynolds.

— O to, że kapitan Mallory przyznał się, że popełnił dziś cztery błędy, a moim zdaniem w tej chwili robi piąty.

— Nie bardzo rozumiem.

— Stawia wszystko na jedną kartę, a pewne rzeczy przeoczył. Na przykład, żądają od nas dwóch, żebyśmy stali pod zaporą. Jeżeli zaczniemy odwracać od nich uwagę strzelając z pistoletów, to jedna seria z peemu oddana ze szczytu tamy dosięgnie nas obu w ciągu sekund. Jeden może odwracać uwagę z takim samym skutkiem, co dwóch, jaki więc sens w tym, żebyśmy zginęli obaj? A poza tym, jeżeli jeden z nas przeżyje, to zawsze może coś wymyślić, żeby uratować Marię i jej brata. Ja pójdę pod zaporę, a ty...

— A niby dlaczego to właśnie ty masz iść? Dlaczego nie...

— Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem. Uważam też, że Mallory jest wielkim optymistą, jeśli sądzi, że Andrea powstrzyma tych wszystkich, którzy idą w górę rzeki. Jest ich co najmniej dwudziestu i nie przyszli tu dla zabawy. Przyszli, żeby nas zabić. Więc co będzie, jeżeli rzeczywiście dadzą radę Andrei, dojdą do wiszącego mostu i znajdą tam Marię i Petara, podczas gdy my będziemy siedzieć, wystawieni na kule jak kaczki pod zaporą? Rozwałą ich w oka mgnieniu.

— A może nie rozwałą — mruknął Reynolds. — A co będzie, jeżeli Neufeld zginie przed dotarciem do wiszącego mostu? Jeżeli dowódcą będzie Droszny?... Wtedy Marię i Petara czeka wolniejsza śmierć.

— Więc zostaniesz przy tym moście i osłonisz nas od tyłu? A Maria z Petarem schowają się gdzieś w pobliżu?

— Masz rację na pewno masz rację. Ale nie podoba mi się ten pomysł — odparł zakłopotany Reynolds. — Wydał nam rozkazy, a on nie należy do tych, którzy tolerują nieposłuszeństwo.

— Przecież się nie dowie... Nawet jeżeli tu wróci, w co wątpię, to się nie

dowie. A poza tym zaczął popełniać błędy.

— Ale nie takie — odparł Reynolds, nadal w sporej rozterce.

— Mam rację czy nie? — spytał natarczywie Groves.

— Wątpię, czy będzie to miało wielkie znaczenie przy końcu tego dnia — odrzekł ze znużeniem Reynolds. — Dobra, zróbmy tak, jak mówisz.

Dwaj sierżanci pośpieszyli za Marią i Petarem.

\* \* \*

Przysłuchując się chrobotowi ciężkich butów na kamieniach i bardzo rzadkim, metalicznym brzęknięciom pistoletów uderzających o skałki, Andrea leżał płasko na brzuchu, z kamiennie nieruchomą lufą schmeissera wetkniętą między dwa głązy. Dźwięki obwieszczające owo skradanie się ludzi brzegiem rzeki zbliżyły się na odległość najwyżej czterdziestu metrów, kiedy uniósłszy się nieco, przyłożył oko do celownika i nacisnął spust.

Odpowiedź otrzymał błyskawicznie. Natychmiast kilka pistoletów, wszystkie, jak zdał sobie sprawę, maszynowe, otworzyło ogień. Andrea przestał strzelać, nie dbając o kule gwizdzące mu nad głową i odbijające się rykoszetami na prawo i lewo, starannie wycelował w jedno z miejsc skąd błyskały strzały i posłał jednosekundową serię. Żołnierz, który strzelał, wyprostował się spazmatycznie, z jego wyrzuconej w górę ręki wypadł wirując pistolet, a potem wolno przewalił się na bok wpadając do Neretwy i uniosła go jej biaława wirująca woda. Andrea strzelił ponownie i drugi żołnierz okręcił się i upadł ciężko pomiędzy kamienie. Nagle szczerknął czyjś rozkaz i strzały w dole rzeki zamilkły.

Oddział w dole rzeki liczył ośmiu ludzi, a jeden z jego członków wysunął się z kryjówki za głazem i podczołgał do drugiego trafionego przez Andreę. Gdy to zrobił, na jego twarzy pojawił się zwykły wilczy uśmiech, ale było oczywiste, że Droszny jest w humorze jak najdalszym od uśmiechów. Pochylił się nad skuloną postacią leżącą wśród kamieni i obrócił ją na plecy. Był to Neufeld, któremu z głębokiej rany z boku głowy ciekła krew. Droszny z twarzą ziejącą gniewem wyprostował się i obrócił, bo jeden z czetników dotknął jego ramienia.

— Zabity?

— Niezupełnie. Ciężko ranny. Odzyska przytomność najwcześniej za wiele godzin, może dni. Nie wiem, ocenić to może tylko lekarz. — Czetnik przywołał ręką jeszcze dwóch żołnierzy. — Wy trzej... Zanieście go do brodu i dalej, w bezpieczne miejsce. Dwaj zostaną z nim, trzeci wróci. I powiedzcie innym, żeby, na miłość boską, szybciej tu przyszli!

Z twarzą wciąż wykrzywioną gniewem, przez chwilę niepomny niebezpieczeństw, Droszny zerwał się na nogi i wystrzelił długą nieprzerwaną serię w górę rzeki, serię, która na Andrei nie zrobiła najwyraźniej żadnego wrażenia, bo nie ru-



szyl się z miejsca i oparty plecami o chroniący go gładz z umiarkowanym zainteresowaniem, a i nie skrywaną beztronską, przyglądał się fruującym we wszystkie strony rykoszetom i odpryskom skał.

Odgłosy strzelaniny dotarły wyraźnie do uszu wartowników patrolujących wierzchołek zapory. Dookoła słyhać było taki jazgot strzałów z broni ręcznej, a zdumiewające różnorodnością echa tak zwodziły słuch, że nie sposób było dokładnie ocenić, skąd dochodzą nowe serie z pistoletów maszynowych. Istotne było jednak to, że strzelano z broni maszynowej, podczas gdy do tej pory na odgłosy strzelaniny składały się wyłącznie strzały z karabinów. A poza tym dobiegały one z południa, z wąwozu rzeki w dole pod zaporą. Jeden z wartowników poszedł zaniepokojony do dowódcy, coś mu krótko zameldował, a potem szybko przeszedł na drugą stronę do jednego z baraczków stojących na betonowym podwyższeniu przy wschodnim krańcu zapory. W baraku, który nie miał przedniej ściany tylko zrolowaną osłonę z brezentu, stał duży radionadajnik, obsługiwany przez kaprała.

— Z rozkazu kapitana — oznajmił przybyły sierżant. — Połącz mnie z mostem na Neretwie. Przekaż generałowi Zimmermannowi, że my — to znaczy, kapitan — jesteśmy zaniepokojeni. Zawiadom go, że u nas wszędzie dookoła słyhać strzelaninę z broni ręcznej i że część strzałów dobiega z dołu, znad rzeki.

Sierżant czekał niecierpliwie, kiedy operator się łączył, i z jeszcze większą niecierpliwością, kiedy po dwóch minutach w słuchawkach zatrzeszczało i operator zaczął zapisywać odpowiedź. Wziął pełną odpowiedź od kaprała i wręczył kapitanowi, a ten odczytał ją na głos.

— Generał Zimmermann odpowiada: „Nie ma najmniejszych powodów do obaw — to hałasują nasi jugosłowiańscy znajomi z Przełęczy Zenicy, dodając sobie animuszu, gdyż lada chwila spodziewają się zmasowanego ataku oddziałów 11 Grupy Armii. A będzie jeszcze znacznie głośniejsze później, kiedy RAF zacznie bombardować niewłaściwe cele. Ale nie będą zrzucać bomb koło was, więc się nie martwicie” — Kapitan opuścił kartkę. — Mnie to wyjaśnienie wystarcza. Jeżeli generał mówi, żeby się nie martwić, to mnie to wystarcza. Znacie sławę generała, sierżancie?

— Znam, panie kapitanie.

Z pewnej odległości i z nieokreślonego kierunku nadbiegły odgłosy serii z peemu. Sierżant poruszył się niespokojnie.

— Coś was jeszcze martwi? — spytał kapitan.

— Tak jest. Znam naturalnie sławę pana generała i ślepo mu ufam — odparł sierżant i po chwili dodał zmartwionym tonem: — Przysięgłbym, że ta ostatnia seria z pistoletu maszynowego dobiegła z dna wąwozu.

— Robi się z was stara baba, sierżancie — rzekł grzecznym tonem kapitan — i wkrótce musicie odwiedzić naszego dywizyjnego lekarza. Wasz słuch wymaga przebadania.

W rzeczywistości z sierżanta bynajmniej nie robiła się stara baba i jego słuch był w znacznie lepszym stanie niż słuch karcącego go oficera. Najświeższy odgłos ognia z broni maszynowej pochodził, tak jak sądził, z dna wąwozu, gdzie Droszny i jego ludzie, których liczba podwoiła się, posuwali się naprzód, pojedynczo i parami, ale zawsze najwyżej po dwóch naraz, gwałtownymi, bardzo krótkimi skokami, strzelając. Ich strzały, z konieczności ogromnie niecelne, bo potykali się i ślizgali na zdradliwym gruncie, nie spotkały się z żadnym odzewem Andrei. Prawdopodobnie dlatego, że nie czuł się specjalnie zagrożony, a być może dlatego, że oszczędzał amunicję. To drugie przypuszczenie było chyba trafniejsze, bo Andrea przewiesił schmeisser przez ramię i w tej chwili z zainteresowaniem sprawdzał ręczny granat, który przed chwilą wyciągnął zza pasa.

Dalej w górze rzeki sierżant Reynolds, który stał przy wschodnim krańcu rozklekotanego drewnianego mostu, przerzuconego w najwęższym miejscu wąwozu, tam, gdzie wzburzone, pędzące, spienione wody w dole nie dawały najmniejszej nadziei na przeżycie nikomu, kto miałby pecha w nie wpaść, z nieszczęśliwą miną spoglądał w dół przełomu, w stronę, z której dochodziły strzały z peemów, i po raz dziesiąty bił się z myślami, czy powinien zaryzykować, przejść na powrót przez most i dopomóc Andrei — bo choć ogromnie zrewidował swoją opinię o Greku, to, tak jak powiedział Groves, uważał za niemożliwe, aby jeden człowiek był w stanie długo powstrzymać dwudziestu żądnych zemsty napastników. Z drugiej strony jednak przyrzekł Grovesowi, że zostanie w tym miejscu, żeby strzec Petara i Marii. Z dołu rzeki doszły go odgłosy od nowa rozgorzałej strzelaniny. Podjął decyzję. Postanowił, że odda swój pistolet Marii, żeby miała czym bronić siebie i brata, i opuści ich tylko na czas, jaki zajmie mu udzielenie pomocy Andrei.

Obrócił się, by jej to powiedzieć, ale Marii i Petara już przy nim nie było. Rozejrzał się gorączkowo dookoła, sądząc początkowo, że oboje wpadli w bystry nurt, co jednak natychmiast odrzucił jako bezsensowny domysł. Odruchowo popatrzył wzdłuż brzegu ku podnóżu zapory i chociaż księżyc zasłaniała w tej chwili duża ławica chmur, dojrzał ich od razu, jak podążają do stóp żelaznej drabiny, przy której stał Groves. Przez chwilę głowił się nad zagadką, dlaczego samowolnie wyruszyli w górę rzeki, i wtedy przypomniało mu się, że przecież tak on, jak i Groves zapomnieli przykazać im, by zostali przy moście. Nie ma sprawy, pomyślał, Groves niedługo odeśle ich z powrotem, a kiedy wrócą, powiem im, że idę dopomóc Andrei. Perspektywa ta w pewnym sensie nieco mu ulżyła, nie dlatego, że obawiał się, co będzie, gdy dołączy do Greka i stanie oko w oko z Drosznym i jego ludźmi, ale dlatego, że odsuwała, jeśli nawet tylko na krótko, konieczność wprowadzenia w czyn decyzji, usprawiedliwionej jedynie w bardzo małym stopniu.

Groves, który przypatrywał się najwyraźniej niezliczonym zygzakom zielonej żelaznej drabiny, tak niepewnie, zda się, przytwierdzonej do pionowej ściany skalnej, odwrócił się na cichy chrzęst kroków zbliżających się po piargu i wy-

trzeszczył oczy na Petara i Marię, którzy szli jak zwykle ramię przy ramieniu.

— A co wy tu robicie, na miły Bóg? — spytał gniewnie. — Nie macie prawa tutaj być! Nie rozumiecie, że wystarczy jedno spojrzenie wartownika w dół, a zginiecie? No, dalej. Wracajcie do sierżanta Reynoldsa przy wiszącym moście. Ale już!

— To miło, że się pan o nas troszczy, sierżancie — odparła cicho Maria. — Ale nie chcemy wracać. Chcemy zostać tutaj.

— A jaki będzie z was tutaj pożytek, do diabła?! — spytał szorstko Groves. Zamilkł i po chwili prawie grzecznie dodał: — Wiem już, kim pani jest, Mario. Wiem, czego pani dokonała i jak świetnie wywiązuje się pani z zadań. Ale to zadanie nie dla pani. Bardzo proszę.

— Nie. — Maria potrząsnęła przecząco głową. — A poza tym umiem strzelać.

— Nie ma pani z czego. No a Petar, jakim prawem chce pani decydować za niego? Czy on wie, gdzie jest?

Maria przemówiła prędko do brata w całkowicie niezrozumiałym dla Grovesa języku serbskochorwackim, na co ten odpowiedział tak jak zwykle dziwnymi gardłowymi dźwiękami. Kiedy skończył mówić, Maria zwróciła się do sierżanta.

— Mówi, że wie, że tej nocy zginie. Ma dar, jak wy to nazywacie jasnowidzenia, i mówi, że dla niego nie ma przyszłości. Twierdzi, że ma dość uciekania. Mówi, że zaczeka tutaj, aż nadejdzie pora.

— Z najbardziej upartych, głupich...

— Sierżancie Groves, bardzo proszę. — Do głosu dziewczyny, choć nadal cichego, wkradła się nowa, ostra nuta. — Już podjął decyzję i pan jej nie zdoła zmienić.

Groves skinął głową na znak zgody.

— A może zdołam zmienić decyzję pani?

— Nie rozumiem.

— Petar i tak nie może nam pomóc, bo jest niewidomy. Ale pani owszem. Jeśli zechce.

— Proszę mi powiedzieć jak.

— Andrea powstrzymuje mieszany oddział, złożony z co najmniej dwudziestu czetników i Niemców. — Groves uśmiechnął się z przymusem. — Od niedawna mam powody wierzyć, że prawdopodobnie nie ma on sobie równych w walce partyzanckiej, ale w pojedynkę nie da rady powstrzymywać dwudziestu ludzi bez końca. A jeżeli zginie, to pozostanie już tylko Reynolds pilnujący wiszącego mostu, jeśli zaś zginie także on, to Droszny i jego ludzie przedrą się i zdążą ostrzec niemieckich wartowników, prawie na pewno zdążą uratować zaporę i niewątpliwie zdążą zawiadomić przez radio generała Zimmermanna, żeby wycofał czołgi wyżej. Myślę, że Reynoldsowi przyda się pani pomoc, Mario. Tu z pewnością nic pani nie

pomoże... ale wspierając Reynoldsa może pani całkowicie odmienić los naszej wyprawy. A powiedziała pani przecież, że umie strzelać.

— No a pan zwrócił uwagę, że nie mam z czego.

— Wtedy pani nie miała. A teraz ma.

Groves zdjął z ramienia schmeisser i wręczył go dziewczynie wraz z pewną ilością zapasowej amunicji.

— Ale... — Maria z ociąganiem przyjęła pistolet i naboje. — Ale teraz pan nie ma broni.

— Właśnie, że mam. — Groves wydobyl spod bluzy luger z tłumikiem. — Nic więcej mi dziś nie potrzeba. Nie mogę hałasować, zwłaszcza tak blisko zapory.

— A ja nie mogę zostawić brata!

— Och, uważam, że może pani. I zostawi pani. Pani bratu już nikt w niczym nie pomoże. Za późno. Proszę się pośpieszyć.

— Dobrze. — Maria z ociąganiem przeszła kilka kroków, zatrzymała się i odwróciła. — Panu chyba wydaje się, że jest bardzo sprytny, sierżancie? — spytała.

— Nie wiem, o czym pani mówi — odparł sztywno Groves.

Wpatrywała się w niego przez kilka chwil, a potem odwróciła się i odeszła w dół rzeki. Groves uśmiechnął się do siebie w całkowitych ciemnościach.

Ale uśmiech zniknął z jego twarzy w ułamku sekundy, w którym wąwóz rzeki zalało zniecka jaskrawe światło księżyca, kiedy z jego tarczy odplynęła chmura o mocno postrzępionych brzegach.

— Plackiem na ziemię i najmniejszego ruchu — zawołał cicho alarmującym tonem do Marii. Zobaczył, że dziewczyna natychmiast wypełnia polecenie, i z miną świadcząca o jego wewnętrznym niepokoju i napięciu spojrzal w górę na zieloną drabinę.

Skapani w jaskrawym świetle księżyca Mallory i Miller, którzy pokonali już trzy czwarte drogi, przywarli na szczycie jednego z odcinków drabiny, skamieniali, jakby i ich samych wyrzeźbiono w skale. Nieruchome oczy, osadzone w równie nieruchomych twarzach, mieli utkwione w tym samym punkcie, a może doń przykute.

Znajdował się on w górze, na lewo, o piętnaście metrów od nich, tam, gdzie przez barierkę na wierzchołku tamy wychylali się dwaj zaniepokojeni i bez wątpienia bardzo nerwowi wartownicy, którzy wpatrywali się przed siebie w tę część wąwozu, skąd zdawały się dochodzić odgłosy strzałów. Wystarczyło, żeby spuścili oczy w dół, a na pewno odkryliby Grovesa i Marię. Wystarczyło, żeby przesunęli wzrok w lewo, a z równą pewnością odkryliby obecność Mallory'ego i Millera. Wtedy zaś cała czwórka niechybnie by zginęła.

## XI. Sobota, godz. 01:20-01:35

Tak jak Mallory i Miller, Groves również spostrzegł dwóch niemieckich wartowników, wychylonych przez barierkę na szczycie zapory i z niepokojem wpatrujących się w wąwóz. Sytuacja ta, w której człowiek czuł się całkowicie obnażony, zagrożony i bezbronny, przyprawiała, jego zdaniem, o wzmożone bicie serca. A skoro tak czuł się on, to jak musieli się czuć Mallory z Millerem, uczeplieni drabiny o niespełna rzut kamieniem od niemieckich wartowników? Wiedział, że obaj mają przy sobie lugery z tłumikami, niestety, schowane pod bluzami, na bluzach zaś zapinane na suwak kombinezony płetwonurków, a więc nie mieli do nich żadnego dostępu. A przynajmniej w tej pozycji, w jakiej tkwili przywarci do drabiny — nie mogąc wykonać całej gamy rozmaitych ruchów godnych cyrkowego człowieka-gumy, żeby się do nich dostać — było zaś oczywiste, że najmniejszy niestosowny ruch zostanie natychmiast dostrzeżony przez tych dwóch Niemców. Groves nie mógł zresztą pojąć jakim cudem, nawet tkwiąc tak nieruchomo jak oni, Mallory i Miller nie zostali odkryci w jasnym świetle księżyca, który oświetlał zaporą i wąwóz tak dobrze, jakby to było umiarkowanie pochmurne popołudnie, kiedy każde zerknięcie kątem oka powinno ich wyłowić w jednej chwili. Nieprawdopodobne, żeby jakikolwiek żołnierz z wyborowych oddziałów Wehrmachtu mógł źle widzieć kątem oka. Dla Grovesa płynął stąd wniosek, iż fakt, że wartownicy wpatrują się z napiętą uwagą, niekoniecznie oznacza, że patrzą uważnie — być może brało się to stąd, że koncentrowali się w tej chwili wyłącznie na tym, co słyszeli, wyęzając słuch, by ustalić źródło bezładnej strzelaniny z peemów w wąwozie rzeki. Z bezgraniczną ostrożnością Groves wysunął spod bluzy luger i wycelował. Oceniał, że gdyby nawet strzelał z szybkostrzelnego karabinu, jego szanse zabicia z tej odległości choćby jednego ze strażników byłyby tak znikome, że nie warte rozważania. W końcu jednak, jako strzał pro forma, było to lepsze niż nic.

Co do dwóch rzeczy Groves miał rację. Dwaj wartownicy przy barierce, bynajmniej nie uspokojeni zapewnieniami generała Zimmermanna, rzeczywiście pochłonięci byli bez reszty wsłuchiwaniami się w dobiegające z dołu rzeki serie strzałów z pistoletów maszynowych, które było słychać coraz lepiej nie tylko dlatego, że odzywały się chyba — i tak też było — wciąż bliżej i bliżej, lecz także dlatego, że broniącym Przełęczy Zenicy partyzantom kończyła się amunicja i strzelali rzadziej. Groves miał też rację w tym, że ani Mallory, ani Miller nie spróbują nawet dobyć lugerów. Przez kilka pierwszych sekund Mallory był przekonany tak jak Groves, że każdy najmniejszy ruch ściągnie na nich uwagę, lecz niemal od razu — i na długo przed tym, nim przyszło to na myśl sierżantowi — uświadomił sobie, że wartownicy są tak pochłonięci nasłuchiwaniami, że nie zauważyliby nawet przesuwającej się im przed oczami ręki. W tej samej chwili zdobył zresztą pewność, że nie musi w ogóle nic robić, bo z wysoka dojrzał coś, czego nie mógł zobaczyć sto-

jący pod zaporą Groves — że za chwilę tarczę księżycy przesłoni kolejna ciemna chmura.

W ciągu sekund czarny cień mknący po wodach zalewu Neretvy zmienił ich kolor z ciemnozielonego na głęboki granat, przesunął się prędko po wierzchołku zapory, skrył drabinę i dwóch przylepionych do niej mężczyzn, a potem pograżył w mroku wąwóz. Groves westchnął z bezgłośnie ulgą i opuścił luger. Maria wstała i ruszyła w dół rzeki, w stronę wiszącego mostu. Petar powiódł dookoła niewidzącym wzrokiem tak, jak to robi ślepiec. Natomiast wysoko w górze Mallory z Millerem natychmiast podjęli wspinaczkę.

Na końcu jednego z odcinków zygzakowatej drabiny Mallory zszedł z niej i zaczął się wspinać po pionowej ścianie. Na szczęście nie była ona całkiem gładka, ale punktów oparcia i zaczepienia dla rąk i nóg zapewniała niewiele, a ich skąpość i trudne usytuowanie czyniło wspinaczkę uciążliwą i niełatwą technicznie. W zwykłych warunkach, gdyby wolno mu było używać zatkniętych za pas młotka i haków, uznałby ją za średnio trudną, ale użycie haków było wykluczone. Znajdował się bowiem wprost nad wierzchołkiem zapory i najwyżej dziesięć metrów od najbliższej stojącego wartownika — najcichszy brzęk młotka o metal nie uszedłby więc uchu najmniej czujnego słuchacza — a jak spostrzegł przed chwilą, brak czujności w nasłuchiowaniu był ostatnim zarzutem, jaki można było postawić wartownikom na tamie. Musiały mu więc wystarczyć jego wrodzone talenty i ogromne doświadczenie, jakie zdobył w ciągu wielu lat wspinaczki po górach, wspinał się zatem dalej tak jak wspinał, pocąc się obficie w hermetycznym gumowym kombinezonie, podczas gdy znajdujący się już kilkanaście metrów pod nim Miller wpatrywał się w górę z takim nerwowym niepokojem, że chwilowo zapomniał, iż stoi niebezpiecznie na szczycie ukośnej drabiny i jest w opresji, która w zwykłych warunkach przyprawiłaby go o umiarkowaną histerię.

Także Andrea wpatrywał się w tej chwili w coś, co znajdowało się w odległości jakichś piętnastu metrów od niego, ale trzeba było nie lada rozwiniętej wyobraźni, aby dopatrzeć się w jego nieforemnej twarzy choćby śladu napięcia. On również, tak jak przed momentem wartownicy na zaporze, bardziej słuchał, niż patrzył. Ze swojego miejsca widział jedynie ciemną, bezkształtną mieszaninę mokro połyskujących głazów i płynącą wartko obok nich Neretwę. Nie było tam żadnych śladów życia, ale oznaczało to tylko, iż Droszny, Neufeld i ich żołnierze, dostawszy surową nauzkę — Andrea nie mógł wiedzieć, że Neufeld został ranny — posuwali się cał po calu czołganiem. Nigdy nie opuszczając bezpiecznej osłony, póki nie wypatrzyli następnej.

Upłynęła minuta, a wówczas usłyszał nieunikniony dźwięk — ledwo dosłyszalny trzask, klekot dwóch uderzających o siebie kamieni. Oszacował, że dobiegł go z odległości około dziesięciu metrów. Skinął głową, jakby go to ucieszyło, odbezpieczył granat, zaczekał dwie sekundy, a potem delikatnie, wysokim łukiem

rzucił go w dół rzeki i przypadł płasko do ziemi za osłoną głazu. Rozległ się charakterystyczny głuchy huk eksplozji i na krótko rozbłysło białe światło, w którym mignęły wyrzucone w bok ciała dwóch żołnierzy.

Odgłos wybuchu dotarł wyraźnie do uszu Mallory'ego. Nie poruszył się, pozwalając sobie jedynie na wolny skręt głowy tak, że jego wzrok spoczął na wierzchołku zapory znajdującej się już prawie sześć metrów pod nim. Ci sami dwaj patrolujący wartownicy, którzy przedtem tak chciwie nasłuchiwali, znowu przystanęli, spojrzeli w dół na wąwóz rzeki, wymienili niespokojne spojrzenia, wzruszyli niepewnie ramionami i podjęli obchód. Mallory znów zaczął się wspinać.

Zwiększył tempo. Znikome na początku wspinaczki punkty oparcia dla palców nóg i rąk ustąpiły po części miejsca niewielkim szczelinom w skale, w które był już w stanie tu i ówdzie wsunąć hak, na którym mógł się oprzeć znacznie pewniej, niż bez niego. Kiedy po raz kolejny się zatrzymał i spojrział w górę, zobaczył, że najwyżej dwa metry nad nim biegnie podłużna szczelina, której szukał i która rzeczywiście, tak jak wcześniej powiedział Millerowi, była jedynie szczeliną. Znowu zaczął się wspinać, ale znieruchomiał, nadstawiając ucha w niebo.

Z początku ledwie słyszalny wśród huczących wód Neretvy i sporadycznych strzałów z broni ręcznej dobiegających z Przełęczy Zenicy, ale wzbierający na sile z każdą upływającą sekundą, odezwał się niski, odległy grzmot, dźwięk łatwo rozpoznawalny dla wszystkich, którzy go słyszeli w czasie wojny, dźwięk obwieszczający przelot eskadr flotyli ciężkich bombowców. Mallory wsłuchał się w szybko zbliżający się hałas mnóstwa silników samolotowych i uśmiechnął się do siebie.

Wielu ludzi uśmiechnęło się do siebie tej nocy słysząc nadlatujące z zachodu eskadry lancasterów. Miller, który nadal stał na drabinie starając się z całych sił nie spojrzeć w dół, zdołał uśmiechnąć się do siebie, podobnie jak Groves u stóp drabiny i Reynolds przy wiszącym moście. Na prawym brzegu Neretvy Andrea uśmiechnął się do siebie, uznając, że szybko zbliżający się ryk silników idealnie zagłuszy każdy niepożądany dźwięk, i wyjął z za pasa jeszcze jeden granat. Wysoko na płaskowyżu Ivenici, przed namiotem, w którym gotowano zupę, stojący na szczypiącym mrozie pułkownik Vis i kapitan Vlanović wymienili radosne uśmiechy i uroczyście uściśnęli sobie dłonie. Za południowymi redutami Kotła Zenicy Generał Vukalović i trzech jego wyżsi oficerowie, pułkownik Janzy, pułkownik Laszlo i major Stefan, przynajmniej raz tej nocy odjęli od oczu lornetki, przez które już tak długo obserwowali most na Neretvie oraz złowieszcze lasy po drugiej jego stronie i z pełną niedowierzania ulgą uśmiechnęli się jeden do drugiego. No a — co najdziwniejsze — siedzący już w swoim wozie sztabowym tuż na skraju lasu na południe od mostu generał Zimmermann uśmiechnął się być może najszerzej ze wszystkich.

Mallory znów zaczął się wspinać, poruszając się teraz jeszcze szybciej, dotarł do podłużnej szczeliny w skale, podciągnął się w górę ponad nią, wcisnął w

odpowiednią szczelinę hak i wyjął z za pasa młotek, gotów czekać. W dalszym ciągu znajdował się zaledwie nieco ponad dwanaście metrów nad zaporą, a hak, który pragnął wbić w skałę, wymagał niejednego uderzenia, ale kilkunastu, w dodatku mocnych — absurdem było łudzić się, że nawet pośród zbliżającego się grzmotu silników lancasterów nikt nie usłyszy metalicznych odgłosów wbijania. Huk silników samolotowych potężniał już teraz z każdą chwilą.

Mallory zerknął w dół. Miller gapił się w górę, stukając w zegarek, tak jak tylko potrafi to zrobić ktoś, kto oburącz obejmuje stopień drabiny, i ponaglając go gestami. Mallory potrząsnął na to głową i wolną ręką dał mu znak, żeby się opamiętał. Miller z rezygnacją pokręcił głową.

Lancastery przelatywały już nad nim. Pierwszy bombowiec śmignął jak strzała na ukos ponad zaporą, wzbił się nieco wyżej po jej drugiej stronie zbliżając do wysokich gór, a potem ziemia zatrzęsała się i zanim jeszcze pośrodku Przełęczy Zenicy wybuchła pierwsza seria tysięcfuntowych bomb, po powierzchni zalewu rozeszły się nierówno rozedrgane zmarszczki ciemnej wody. Od tej chwili wybuchy bomb sypiących się na przełęcz następowały tak szybko po sobie, że były prawie ciągłe, a jeśli nawet zdarzały się pomiędzy nimi krótkie przerwy, to wypełniały je nieustanne dudniące echa, które huczały w górach i dolinach Bośni.

Mallory nie musiał się już dłużej martwić o hałasy, wątpił nawet, czy usłyszałby własny głos, bo większość bomb spadała na niewielki teren o niecałe półtora kilometra od skalnej ściany, której się trzymał, a ich wybuchy tworzyły prawie niegasnącą trwałą białą poświatę, wyraźnie widoczną ponad górami na zachodzie. Wbił hak do końca. Obwiązał go liną i spuścił ją Millerowi, który natychmiast ją chwycił i zaczął się wspinać. Mallory'emu przyszło na myśl, że jego towarzysz do złudzenia przypomina wczesnochrześcijańskiego męczennika. Miller nie był alpinistą, ale po linie umiał się wspinać na pewno — i w nadzwyczaj krótkim czasie znalazł się na górze przy Mallorym, ze stopami pewnie zaklinowanymi w podłużnej szczelinie i dłońmi mocno ściskającymi hak.

— Utrzymaś się na tym haku? — spytał Mallory. Musiał wołać, by przetrzyczeć nie cichnący huk padających bomb.

— Niech pan tylko spróbuje mnie stąd zepchnąć!

— Nie zepchnę! — Mallory uśmiechnął się szeroko.

Zwinął linę, po której wspiał się Miller, zawiesił ją na ramieniu i szybko zaczął się posuwać wzdłuż skalnej szczeliny.

— Przeciągnę ją nad wierzchołkiem zapory, zawiążę na drugim haku! — krzyknął. — A wtedy dołączysz do mnie! Dobrze?!

Miller spojrzał w przepaść i zadrzał.

— Jeżeli pan myśli, że tu zostanę, to jest pan szalony!

Mallory uśmiechnął się jeszcze raz i odszedł.



\* \* \*

Na południe od mostu na Neretwie generał Zimmermann w towarzystwie adiutanta nadal wsłuchiwał się w odgłosy bombardowania Przełęczy Zenicy. Spojrzał na zegarek.

— Już — powiedział. — Dobrowolne oddziały szturmowe na pozycje.

Natychmiast ciężko uzbrojeni żołnierze piechoty, zgięci niemal w pół, żeby nie wystawać ponad boczną barierę mostu, szybko zaczęli posuwać przez most na Neretwie, a znalazłszy się po jego drugiej stronie, rozbiegli się na wschód i zachód po północnym brzegu rzeki, skryci przed wzrokiem partyzantów za podwyższonym terenem, który graniczył z nabrzeżem. A przynajmniej sądzili, że ich nie widać. W rzeczywistości bowiem zwiadowca partyzancki, wyposażony w lornetkę nocną i telefon polowy, leżał plackiem w samobójczo niebezpiecznie położonym rowie przeciwoślankowym niecałe sto metrów od mostu, cały czas przesyłając seryjne meldunki Vukaloviciowi.

Zimmermann spojrzął w niebo.

— Wstrzymać ich — polecił adiutantowi. — Znow wychodzi księżyc. — Jeszcze raz spojrzął na zegarek. — Za dwadzieścia minut zapalić silniki czołgów.

\* \* \*

— A więc przestali przechodzić przez most? — spytał Vukalović.

— Tak, panie generale — odezwał się w słuchawce głos jego wysuniętego zwiadowcy. — Chyba dlatego, że za parę minut pokaże się księżyc.

— Też tak sądzę — odparł Vukalović i dodał posępnie: — Proponuję też, żebyś się wycofał, zanim się pokaże, bo być może nie będziesz już miał drugiej takiej szansy.

\* \* \*

Także Andrea z zainteresowaniem obserwował nocne niebo. Stopniowo się wycofując, znalazł się w szczególnie niekorzystnej pozycji obronnej, na dobrą sprawę pozbawiony jakiegokolwiek osłony. Pomyślał, że bardzo niebezpiecznie jest być przydybanym w takiej chwili, gdy zza chmur wyłania się księżyc. Zatrzymał się na moment, by się zastanowić, a potem odbezpieczył jeszcze jeden granat i wysokim łukiem posłał go w kierunku grupy słabo widocznych, znajdujących się z piętnaście metrów od niego gładów. Nie czekał na efekty i zanim jeszcze granat eksplodował, on już czołgał się dalej w górę rzeki. Jedynym niewątpliwym wpływem, jaki granat wywarł na Drosznego i jego ludzi, było pobudzenie ich do natychmiastowego, wściekłego odwetu, bo co najmniej pół tuzina peemów, prujących

niemal równoczesnymi seriami, ostrzelało miejsce, które Andrea przezornie przed chwilą opuścił. Jedna z kul rozszarpała mu rękaw bluzy, ale żadna nie przeszła bliżej. Bez szwanku dotarł do następnej grupki głazów i zajął za nimi nową pozycję obronną. W chwili wyłonienia się księżyc, to Drosznego i jego ludzi czekała nie-miła perspektywa przebycia nieosłoniętego kawałka gruntu.

Reynolds, który z Marią u boku przycupnął przy wiszącym moście, usłyszał głuchy huk eksplodującego granatu i domyślił się, że Andrea jest w tej chwili niecałe sto metrów od mostu, na drugim brzegu. Patrzył właśnie w tej chwili, tak jak bardo wielu innych, w górę, na skrawek nieba, na północnym wschodzie, widoczny przez wąski prześwit pomiędzy stromymi ścianami wąwozu.

Miał zamiar pośpieszyć z pomocą Andrei, jak tylko Groves odeśle mu z powrotem Petara i Marię, ale trzy rzeczy powstrzymały go od natychmiastowego wcielenia chęci w czyn. Po pierwsze, Grovesowi nie udało się odesłać Petara; po drugie, częste, coraz bliższe serie strzałów z broni maszynowej dochodzące z dołu rzeki świadczyły aż za dobrze, że Andrea planowo wycofuje się, nie tracąc nic ze swojej wspaniałej waleczności; a po trzecie, miał świadomość, że gdyby nawet Droszny z ludźmi faktycznie zabił Greka, to on sam, zajmąwszy pozycję za głazem na wprost mostu, mógłby przez nieskończenie długi czas nie dopuścić, żeby przekroczyli most.

Ale widok olbrzymiego przestworu rozgwieżdżonego nieba, które ukazywało się za ciemnymi chmurami przysłaniającymi księżyc, sprawił, że Reynolds zapomniął o strategicznie rozsądnych i wyrachowanych powodach, by pozostać tam, gdzie jest. Traktowanie bliźniego jako zbyt cennego pionka w grze nie mieściło się w jego naturze i mocno podejrzewał, że gdyby Drosznemu trafiła się okazja, jaką dawał odpowiednio długo świecący księżyc, to przypuściłby na Andreę ostateczny atak, któremu Grek by nie sprostał. Dotknął ramienia Marii.

— Nawet takim jak pułkownik Stavros potrzebna jest czasem pomoc — powiedział. — Niech pani tu zostanie. Nie zejdzie nam długo.

Odwrócił się pobięł przez rozchwiany most.

\* \* \*

A niech to diabli, pomyślał gorzko Mallory — niech to wszyscy diabli! Dlaczego całego nieba nie zakrywa ciężka ciemna chmura? Dlaczego nie pada deszcz? Albo śnieg? Dlaczego nie wybrano na akcję bezksiężycowej nocy? Wiedział jednak, że na próżno się zżyma. Nikt nie miał najmniejszego wyboru, bo można to było załatwić tylko tej nocy. A jednak, po jakiego diabła świecił ten przeklęty księżyc?

Mallory spojrział na północ, gdzie północny wiatr pędził przez tarczę księżycą skłębioną chmurę, pozostawiając za nią wielką połać rozgwieżdżonego nieba.

Wkrótce całą zaporę i wąwóz rzeki miało skąpać na dość długo księżycowe światło. Mallory pomyślał cierpko, że wolałby być w tym czasie w jakimś lepszym miejscu.

Zdążył już dość mniej więcej do połowy podłużnej szczeliny w skale. Spojrzał w lewo i ocenił, że brakuje mu około dziesięciu metrów, aby znalazł się w miarę daleko od zapory i nad wodami zalewu. Spojrzał w prawo i bynajmniej nie zaskoczony tym widokiem zobaczył, że Miller wciąż tkwi tam, gdzie go zostawił, oburącz trzymając się kurczowo haka, jakby to był jego najdroższy przyjaciel, co zapewne było w tej chwili prawdą. Spojrzał w dół — znajdował się bezpośrednio nad zaporą, z piętnaście metrów nad nią, a ze dwanaście metrów nad dachem wartowni. Jeszcze raz spojrzął w niebo — do ukazania się księżyca pozostała minuta, nie więcej. Jak to powiedział dziś po południu Reynoldsowi? Aha, właśnie. Że być może nie będzie już więcej czasu na nic. Zaczynał żałować tych słów. Był Nowozelandczykiem, ale dopiero w drugim pokoleniu — wszyscy jego przodkowie byli Szkotami, a powszechnie wiadomo, jak chętnie Szkoci oddają się pogańskim praktykom jasnowidztwa i wieszczona. Mallory dał na krótko upust duchowemu odpowiednikowi wzruszenia ramionami i powędrował dalej.

U stóp żelaznej drabiny Groves, dla którego Mallory był już w tej chwili co najwyżej na wpół widocznym czarnym kształtem na czarnej skale, uświadomił sobie, że niedługo kapitan zniknie mu z oczu, a kiedy to nastąpi, nie będzie go już mógł w żaden sposób osłonić ogniem. Dotknął ramienia Petara i naciśnięciem dłoni zasygnalizował mu, że powinien usiąść u stóp drabiny. Petar spojrzął na niego wzrokiem ślepego, nie pojmując, lecz potem nagle jakby zrozumiał, czego od niego oczekują, bo posłusznie skinął głową i usiadł. Groves wetknął luger z tłumikiem głęboko za pazuchę bluzy i zaczął się wspinać.

\* \* \*

Półtora kilometra dalej na zachód lancastery wciąż bombardowały Przełęcz Zenicy. Bomba za bombą spadała w dół, trafiając zaskakująco celnie w ów skrawek gruntu, obalając drzewa, wyrzucając w powietrze wielkie masy ziemi i kamieni, wszędzie wokół wzniesając mnóstwo małych pożarów, które strawiły już prawie wszystkie niemieckie czołgi z dykty. Jedenaście kilometrów stamtąd na południe generał Zimmermann wciąż z zaciekawieniem i zadowoleniem przysłuchiwał się nieprzerwanemu bombardowaniu na północy. Obrócił się w stronę adiutanta, który siedział obok niego w wozie sztabowym.

— Musi pan przyznać, że za co jak za co, ale za pracowitość RAF-owi należy się od nas piątka. Mam nadzieję, że nasze oddziały są odpowiednio daleko od tamtego miejsca?

— W promieniu trzech kilometrów od Przełęczy Zenicy nie ma ani jednego

niemieckiego żołnierza, panie generale.

— Wybornie, wybornie. — Zimmermann jakby zapomniał o swoich wcześniejszych złych przecuciach. — Dobrze, za piętnaście minut. Niedługo pokaże się księżyc, więc wstrzymamy naszą piechotę. Następna fala żołnierzy przekroczy most wraz z czołgami.

\* \* \*

Posuwający się prawym brzegiem Neretvy w stronę odgłosów strzelaniny, która była już bardzo blisko, Reynolds nagle zamarł w bezruchu. Większość ludzi reaguje tak jak on, gdy poczują, że w szyję wbija im się lufa pistoletu. Bardzo ostrożnie, żeby nie sprowokować przypadkiem czyichś nerwowych palców trzymany na spuście, obrócił oczy i głowę odrobinę w prawo i z głęboką ulgą odkrył, że w tym przypadku nie musi się martwić o czyjeś roztrzęsione nerwy.

— Otrzymałeś rozkazy — rzekł spokojnie Andrea. — Co tu robisz?

— Ja... pomyślałem, że może będzie potrzebna panu pomoc. — Reynolds pomasaował bok szyi. — Mogłem się naturalnie pomylić.

— Chodźmy. Czas wrócić i przejść przez most.

Na dokładkę Andrea rzucił w dół rzeki bardzo szybko jeden po drugim jeszcze dwa granaty, a potem puścił się biegiem w górę wąwozu, a tuż za nim Reynolds.

\* \* \*

Zaświecił księżyc. Po raz drugi tej nocy Mallory zastygł całkiem nieruchomo, ze stopami zaklinowanymi w podłużnej szczelinie, dłońmi obejmując hak, który wbił przed trzydziestoma sekundami i na którym umocował linę. Nie całe trzy metry od niego Miller, który korzystając z liny przebył już połowę trawersu, zamarł w podobnym bezruchu. Obaj spojrzeli w dół na wierzchołek zapory.

Widać tam było sześciu wartowników, dwóch przy dalszym, zachodnim krańcu zapory, dwóch pośrodku niej, a pozostałych dwóch niemal bezpośrednio pod nimi. Ilu jeszcze może ich być w wartowni, tego Mallory i Miller nie mieli jak się dowiedzieć. Pewne było jedynie to, że są całkowicie i beznadziejnie odsłonięci, a ich sytuacja rozpaczliwa.

Na wysokości trzech czwartych żelaznej drabiny Groves również całkowicie znieruchomiał. Widział stamtąd jak na dłoni Mallory'ego, Millera i dwóch wartowników. Nagle nabrał przekonania, że tym razem nie unikną wykrycia, że drugi raz już im się tak nie poszczęści. Kogo wykryją najpierw — Mallory'ego, Millera, Petara czy jego samego? Zważywszy okoliczności, był najpewniejszym kandydatem. Lewą ręką powoli oplótł drabinę, prawą wepchnął za pazuchę bluzy, wydobył

luger i oparł jego lufę na lewym przedramieniu.

Dwaj wartownicy na wschodnim krańcu zapory byli niespokojni, czujni i pełni nienazwanych obaw. Tak jak poprzednio, wychylali się przez barierkę i wparzywali w dolinę. Muszą mnie zobaczyć, pomyślał Groves, na pewno mnie zobaczą, dobry Boże, jestem na linii ich wzroku. Odkryją mnie w jednej chwili.

Odkryli, ale nie jego. Jeden z wartowników, wiedziony niewytłumaczonym instynktem, spojrział w lewo w górę i ze zdumienia rozdziawił usta na widok dwóch ludzi w gumowych kombinezonach płetwonurków, przyklejonych niczym skałoczepy do nagiej skały. Kilka nieskończone długich sekund zabrało mu przyjscie do siebie na tyle, żeby sięgnąć na oślep i chwycić za rękę towarzysza. Kolega pierwszego wartownika podążył oczami za jego wzrokiem, a wtedy także i jemu komicznie opadła szczeka. Potem zaś, dokładnie w tej samej chwili, obaj ocknęli się z niewołącego ich jakby zaklęcia i wymierzili broń w górę, pierwszy schmeisser, a drugi pistolet, celując do dwóch mężczyzn przygwożdżonych bezradnie do skalnej ściany.

Groves oparł sztywno luger na lewym przedramieniu i boku drabiny, bez pośpiechu wycelował przez muszkę i nacisnął spust. Wartownik ze schmeisserem wypuścił broń, chwiał się chwilę i upadł na plecy. Dopiero po trzech sekundach zaskoczony i chwilowo nie pojmujący co się stało drugi wartownik wyciągnął rękę, chcąc przytrzymać towarzysza, ale zrobił to o wiele za późno, bo nie zdążył go nawet dotknąć. Zabity, niemal groteskowo spowolnionym ruchem, jak omdlały przewalił się przez barierkę na zaporze i koziołkując spadł w głęboki wąwóz.

Wartownik z pistoletem wychylił się mocno przez barierkę, wpatrując się przerażony w spadającego towarzysza. Było oczywiste, że chwilowo zupełnie nie rozumie, co się stało, bo nie słyszał wystrzału. Ale uświadomił to sobie w niespełna sekundę potem, kiedy centymetr od jego lewego łokcia odprysnął kawałek betonu, a w nocne niebo poszybowała ze świstem odbita niecelna kula. Wartownik podniósł przerażone, rozszerzone ze zdziwienia oczy, ale przerażenie nie spowolniło tym razem jego reakcji. Bardziej w ślepej nadziei, niż naprawdę licząc na powodzenie, dwa razy szybko strzelił i obnażył zęby z zadowolenia, bo usłyszał okrzyk Grovesa i zobaczył jego prawą dłoń, z palcem nadal na kabłąku spustowym, chwytającą gwałtownie za strzaskane lewe ramię.

Groves miał zamroczoną minę, twarz wykrzywioną cierpieniem, a oczy zamglone bólem z rany. Ci jednak, którzy zrobili z niego sierżanta komandosów, nie wybrali go bez kozery, więc jeszcze się nie poddał. Ponownie wycelował luger. Mglisto uświadomił sobie, że coś strasznego stało się z jego wzrokiem, miał niejasne wrażenie, że wartownik wychylił się mocno przez barierkę, dla pewności oburącz ściskając pistolet, aby oddać zabójczy strzał, lecz nie był tego pewien. Dwukrotnie nacisnął spust lugera, potem zamknął oczy, bo ból w ręce ustał, a jego ogarnęła nagle wielka senność.

Wartownik przy barierce poleciał w przód. Rozpaczliwie wyciągnął ręce, chcąc się uchwycić poręczy, ale żeby się wycofać w bezpieczne miejsce dla złapania równowagi zmuszony był podnieść nogi i nagle odkrył, że już nad nimi nie panuje, bo ześlizgnęły się bezradnie po krawędzi barierki. Za nogami niemal samorzutnie podążyło jego ciało, gdyż człowiek, w którego płuca weszły przed chwilą dwie kule pistoletowe, zachowuje resztki sił zaledwie parę sekund. Na chwilę uczeplił się rękami krawędzi barierki, lecz potem jego palce rozwarły się.

Groves chyba stracił przytomność, głowa opadła mu bezwładnie na pierś, a lewy rękaw i lewy bok kurtki nasiąkł już krwią z okropnej rany w ramieniu. Gdyby nie to, że prawą rękę miał zaklinowaną pomiędzy szczeblem drabiny i skałą za nim, na pewno by spadł. Jej palce powoli się rozwarły i pistolet wypadł mu z dłoni.

Siedzący u stóp drabiny Petar wzdrygnął się, bo spadający luger uderzył w piarg nie całe trzydzieści centymetrów od niego. Odruchowo zadarł głowę, a potem wstał, upewnił się, że nieodstępna gitara mocno mu się trzyma na plecach, sięgnął do drabiny i zaczął się wspinać.

Mallory i Miller spoglądali w dół, obserwując wspinaczkę niewidomego śpiewaka ku rannemu i z pewnością nieprzytomnemu Grovesowi. Po kilku chwilach, jak na jakiś telepatyczny sygnał, Mallory spojrział na Amerykanina, który prawie od razu pochwycił jego spojrzenie. Miller minę miał napiętą, a wzrok trochę błędny. Na moment wypuścił z jednej ręki linę i prawie rozpaczliwym gestem wskazał w kierunku rannego sierżanta. Mallory potrząsnął przecząco głową.

— Spisany na straty, ha? — wychrypiał Miller.

— Spisany na straty.

Obaj znów spojrzeli w dół. Petar znajdował się w tej chwili najwyżej trzy metry od Grovesa, który, choć Mallory i Miller nie mogli tego widzieć, miał zamknięte oczy, a prawa ręka zaczynała mu się już wysuwać ze szczeliny pomiędzy szczeblem a skałą. Stopniowo jego prawe ramię poczęło wymykać się szybciej, aż wysunął się cały łokieć, potem cała ręka i wolno, bardzo, bardzo wolno sierżant zaczął odchyłać się w tył, odrywając od ścian. Ale Petar dopadł do niego prędzej, stojąc o stopień pod nim i sięgając ręką, by go objąć i na powrót przycisnąć do drabiny. Złapał go i na razie był w stanie utrzymać. Ale nic więcej nie mógł zrobić.

Księżyc skrył się za chmurę.

Miller przebył pozostałe trzy metry dzielące go od Mallory'ego.

— Obaj zginą, wie pan o tym? — spytał, patrząc na niego.

— Wiem — odparł Mallory głosem bardziej zmęczonym, niż można się było spodziewać po jego wyglądzie. — Ruszamy. Jeszcze trzydzieści stóp i powinniśmy znaleźć się na miejscu.

Zostawił Amerykanina i ruszył dalej wzdłuż szczeliny w skale. Posuwał się teraz bardzo szybko podejmując ryzyko, które żadnemu rozsądnemu alpiniście nie przyszłoby do głowy, ale nie miał wyboru, bo czas uciekał. W ciągu minuty dotarł

do miejsca, które uznał za wystarczające dla innych celów, wbił do końca hak i solidnie umocował na nim linę.

Dał znak Millerowi, żeby do niego dołączył. Miller zaczął ostatni etap wędrówki w poprzek skały, a kiedy to robił, Mallory zdjął z ramion jeszcze jedną linę wspinaczkową, o długości sześćdziesięciu stóp, z supłami co piętnaście cali. Jeden jej koniec przywiązał do tego samego haka, który zabezpieczał linę używaną przez trawersującego Millera, a drugi zrzucił w dół. Kiedy Amerykanin dotarł do niego, dotknął jego ramienia i wskazał pod nogi.

Wprost pod sobą mieli ciemne wody zalewu na Neretvie.

## XII. Sobota, godz. 01:35-02:00

Andrea i Reynolds leżeli skuleni pomiędzy głazami przy zachodnim krańcu wiekowego mostu wiszącego pod przełomem rzeki. Andrea powiódł wzrokiem po moście, powędrował spojrzeniem po stromym zboczu za nim, aż jego oczy spoczęły na wielkim głazie usadowionym pod niebezpiecznym kątem w miejscu, gdzie strome zbocze napotykało pionową ścianę skalną. Andrea potarł szczeniasty podbródek, w zadumie skinął głową i obrócił się do Reynoldsa.

— Przejdiesz pierwszy — powiedział. — Będę cię osłaniał. Ty zrobisz to samo dla mnie, kiedy znajdziesz się po drugiej stronie. Nie zatrzymuj się, nie rozglądaj. Już!

Reynolds skulił się i puścił biegiem, a kiedy dotarł do zmurszałych desek mostu, własne kroki wydały mu się nie normalnie głośne. Przesuwając lekko dłońmi po linach dla rąk, wiszących po obu jego bokach, pobiegł dalej nie zatrzymując się, nie zwalniając tempa, posłuszny zaleceniom Andrei, by nie ryzykował szybkiego spojrzenia przez ramię, i doznając bardzo dziwnych wrażeń pomiędzy łopatkami. Ku swojemu pewnemu zaskoczeniu dotarł na drugi brzeg nie ostrzelany, pobiegł do zapewniającego kryjówkę i schronienie dużego głazu, który leżał trochę wyżej na brzegu, na chwilę zdziwił się odkrywając za nim kryjącą się Marię, a potem obrócił się w drugą stronę i zdjął z ramion schmeisser.

Na drugim brzegu nie było widać Andrei. Reynolds zapłonął krótkim gniewem, podejrzewając, że Andrea użył tego fortelu, żeby się go pozbyć, potem jednak uśmiechnął się do siebie na odgłos dwóch głuchych wybuchów, które rozległy się po drugiej stronie mostu, kawałek w dół rzeki. Przypomniawszy sobie, że Andrei pozostały jeszcze dwa granaty, a przecież Grek nie był z tych, którzy pozwoliliby tak poręcznym przedmiotom bezużytecznie zarosnąć rdzą. Uświadomił też sobie, że zapewnia to mu kilka cennych sekund na skuteczną ucieczkę, i tak też się stało, bo zaraz potem Andrea pojawił się na drugim brzegu i — tak jak on sam — przebył most bez szwanku. Reynolds zawołał cicho i Grek dołączył do nich w kryjówce za głazem.

— I co teraz? — spytał przyciszonym głosem Reynolds.

— To co najważniejsze. — Z jednego wodoszczelnego pudełka Andrea wyjął cygaro, z drugiego zapalną, skrzesał ją w wielkich, złożonych jak miski dłoniach i z bezgraniczną rozkoszą zaciągnął się dymem. Kiedy wyjął cygaro z ust, Reynolds spostrzegł, że trzyma je zapalonym końcem bezpiecznie ukrytym w zgiętej dłoni. — Co teraz? Powiem ci, co teraz. Po tym moście, i to już bardzo niedługo, przyjdą do nas goście. Szaleńczo ryzykowali, chcąc mnie zabić — i zapłacili za to — co wskazuje, jak bardzo są zawzięci. Wariaci niedługo siedzą beczynnienie. Ty i Maria podejdziecie z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt jardów w stronę tamy... i wycelujecie z pistoletów w drugi koniec mostu.



— Pan zostaje tutaj? — spytał Reynolds.

Andrea wydmuchnął z ust trującą chmurę cygarowego dymu.

— Na razie, owszem.

— To ja też.

— Jeżeli chcesz zginąć, proszę bardzo — odparł spokojnie Andrea. — Ale ta piękna młoda kobieta straci swoją urodę, jeżeli rozwałą jej czaszkę.

Reynoldsem wstrząsnęła brutalność tych słów.

— O czym pan mówi, do diabła? — spytał gniewnie.

— Mówię o tym — odparł Andrea, a ton jego głosu przestał być spokojny.

— O tym, że ten głąz zapewnia wam świetną kryjówkę od strony mostu. Ale Droszny ze swoimi ludźmi może przejść po swojej stronie rzeki jeszcze kilkadziesiąt jardów dalej. I jak wtedy będzie wyglądać wasza osłona?

— O tym nie pomyślałem — przyznał Reynolds.

— Przyjdzie dzień, kiedy powtórzysz to o jeden raz za dużo, a wtedy, będzie już za późno na wymyślenie czegokolwiek — rzekł ponuro Andrea.

W minutę później byli już na stanowisku. Reynolds ukryty za wielkim gładem, świetnie chroniącym ich zarówno przed atakiem z drugiej strony mostu, jak i z drugiego brzegu rzeki, aż do miejsca, gdzie znikająca z oczu; głąz ten nie osłaniał ich tylko od strony zapory. Reynolds spojrzął w lewo, gdzie dalej za ich gładem przycupnęła Maria. Uśmiechnęła się do niego i wtedy zdał sobie sprawę, że jeszcze nie spotkał tak dzielnej dziewczyny, bo jej ręce, w których trzymała schmeisser, drżały. Wysunął się trochę zza gładu i spojrzął w dół rzeki, ale na zachodnim krańcu mostu nie było widać żadnych oznak życia. Jedyne oznaki życia widać było wyłącznie za ogromnym gładem w żlebie, gdzie Andrea, skryty przed wszystkimi, którzy byli z drugiej strony mostu, przy nim lub w jego pobliżu, pracowicie pulchniał złożony z tłuczni i ziemi grunt wokół kamienia.

Pozory, jak zawsze, myliły. Reynolds orzekł, że na zachodnim końcu mostu nie ma śladu życia, ale w rzeczywistości było tam życie i to wiele życia, choć, trzeba przyznać, nic się nie poruszało. Schowani wśród potężnych gładów ze sześć metrów od mostu Droszny, sierżant czetnik oraz z tuzin czetników i niemieckich żołnierzy leżeli głęboko ukryci między kamieniami.

Droszny trzymał przy oczach lornetkę. Przyjrzał się dokładniej ziemi w pobliżu przeciwległego krańca wiszącego mostu, a potem zaczął ją przesuwając w lewo, mijając głąz, za którym leżeli ukryci Reynolds z Marią, aż dotarł do ściany zapory. Podniósł lornetkę, podążając za niewyraźnym zygzakowatym zarysem żelaznej drabiny, zatrzymał ją, nastawił ostrość najlepiej jak się dało, a potem jeszcze raz wyteżył wzrok. Nie było najmniejszych wątpliwości — na wysokości mniej więcej trzech czwartych drabiny stało na niej dwóch uczepionych ludzi.

— Boże Wszechmogący! — Droszny opuścił lornetkę i niemal z niedowierzaniem i przerażeniem na chudej twarzy o ostrych rysach obrócił się do sierżanta u

swojego boku. — Czy ty wiesz, co oni chcą zrobić? — spytał.

— Zapora! — aż do tej pory ta myśl nie powstała sierżantowi w głowie, ale przerażona mina Drosznego uświadomiła mu to tyleż nagle, co niechybnie. — Chcą wysadzić zaporę!

Żaden z nich w ogóle nie pomyślał, jak też Mallory jest w stanie wysadzić zaporę, bo zarówno Droszny, jak i sierżant, podobnie jak inni przed nimi, zaczęli dostrzegać w Mallorym i jego metodach działania zadziwiającą nieuchronność, przemieniającą odległą możliwość w bardzo duże prawdopodobieństwo.

— Generał Zimmermann! — wykrzyknął Droszny, którego grobowy głos dosłownie schrypl. — Trzeba go ostrzec! Jeżeli ta zapora pęknie, kiedy czołgi i wojsko będą przekraczać...

— Ostrzec go? Ostrzec go? Ale jak mamy go ostrzec, na miły Bóg?

— Na zaporze jest radiostacja.

Sierżant wybałuszył oczy na Drosznego.

— Równie dobrze mogłaby się znajdować na księżycu — odparł. — Natkniemy się na ich tylną straż, na pewno ją zastawili. Część z nas zginie przy przeprawie przez ten most, kapitanie.

— Tak sądzisz? — Droszny spojrzał ponuro na zaporę. — A jak myślisz, co się stanie z nami wszystkimi tu na dole, jeśli ruszy woda?

\* \* \*

Powoli i bezgłośnie, prawie niewidoczni Mallory z Millerem popłynęli na północ przez ciemne wody zalewu na Neretwie, oddalając się od ściany zapory. Nagle Miller, który wysunął się nieco do przodu krzyknął cicho i przestał płynąć.

— Co się stało? — spytał Mallory.

— To się stało. — Miller z wysiłkiem uniósł tuż nad wodę kawałek czegoś, co wyglądało na ciężką stalową linę. — O tym drobiażdżku nikt nam nie wspomniał.

— Nikt — przyznał Mallory. Sięgnął ręką pod wodę. — A pod spodem jest stalowa siatka.

— Na torpedy?

— Właśnie.

— Dlaczego? — Miller wskazał na zachód, gdzie nie całe dwieście metrów od nich zalew skręcał ostro w prawo pomiędzy wysokimi ścianami skalnymi. — Niemożliwe, żeby bombowiec torpedowy — w ogóle jakikolwiek bombowiec — zaatakował tę zaporę.

— Ktoś powinien to powiedzieć Niemcom. Nie pozostawiają niczego przypadkowi... co ogromnie utrudnia nam zadanie. — Mallory spojrzał na zegarek. — Musimy się pośpieszyć. Mamy spóźnienie.

Ostrożnie przeleźli przez drut i znów popłynęli, tym razem szybciej. W kilka minut później, zaraz po minięciu zakrętu na zalewie i straceniu z oczu zapory, Mallory dotknął ramienia Millera. Obaj, płynąc w pozycji pionowej, obrócili się i spojrzeli w kierunku, z którego przyплыnęli. Na południu, najwyżej trzy kilometry od nich, nocne niebo rozkwitało nagle mnóstwem urodziwych płonących różnobarwnych rakiet oświetlających na spadochronikach — czerwonych, zielonych, białych i pomarańczowych, opadających wolno w dół ku Neretwie.

— Przepiękne — orzekł Miller. — A czemu to ma służyć?

— Ma służyć nam. Z dwóch powodów. Przede wszystkim, każdemu, kto się będzie im przyglądał — a będą się przyglądać wszyscy — ponowne oswojenie wzroku z ciemnościami zajmie co najmniej dziesięć minut, co oznacza, że wszelkie dziwne rzeczy, dziejące się w tej części zalewu, będzie znacznie trudniej zauważyć, a ponadto: jeśli wszyscy będą zajęci patrzeniem w tamtą stronę, to nie będą mogli patrzeć jednocześnie w tę.

— Bardzo logiczne — pochwalił Miller. — Nasz znajomy, komandor Jensen, uwzględni prawie wszystko, co?

— Mówią o nim, że ma bardzo równo pod sufitem. — Mallory obrócił się i spojrział na wschód, nadstawiając ucha, żeby lepiej słyszeć. — Punktualnie, zgodnie z planem. To trzeba im przyznać — rzekł. — Słyszę, że już lecą.

Od wschodu, na wysokości najwyżej stu pięćdziesięciu metrów nad powierzchnią zalewu, nadleciał lancaster, zmniejszając obroty silników niemal do prędkości przeciągnięcia. Miał nadal dwieście metrów dopływających w pozycji pionowej Mallory'ego i Millera, kiedy nagle rozkwitły pod nim duże czarne chaszcze jedwabnych spadochronów. Prawie natychmiast potem wielki bombowiec zwiększył obroty silników do maksimum i wspinając się ostro przechylony wszedł w zakręt, żeby uniknąć rozbicia się o góry po drugiej stronie zapory.

Wpatrując się w wolno opadające czarne spadochrony Miller obrócił się i spojrział na jaskrawo płonące rakiety na południu.

— Niebo roi się dziś od różności — oznajmił.

A potem wraz z Mallorym popłynął w kierunku opadających spadochronów.

\* \* \*

Petar był bliski wyczerpania. Od wielu długich minut przytrzymał bezwładnego Grovesa, przyciskając go do żelaznej drabiny, i obolałe mięśnie ramion zaczynały mu już drzeć z wysiłku. Mocno zaciskał zęby, a po jego wykrzywionej mozołem i udręką twarzy spływały strumyczki potu. Było jasne, że długo już tego nie wytrzyma.

Dopiero w świetle zrzuconych rakiet, przycupnięty w kryjówce za dużym głazem Reynolds spostrzegł, w jakich tarapatach są Petar i Groves. Obrócił się, że-

by spojrzeć na Marię — jeden rzut oka na jej twarz wystarczył mu, by zrozumieć, że ona również ich zobaczyła.

— Niech pani tu zostanie — powiedział chrapliwie. — Muszę iść i im pomóc.

— Nie! — chwyciła go za rękę, ze wszystkich sił starając się nad sobą panować. Jej oczy, tak jak wtedy, gdy ujrzał ją pierwszy raz, przypominały oczy zaszutego zwierzęcia. — Nie, sierzancie, proszę. Pan musi zostać tutaj.

— Ale pani brat... — powiedział z desperacją Reynolds.

— Są znacznie ważniejsze rzeczy...

— Ale nie dla pani. — Reynolds już się podnosił, ale ze zdumiewającą siłą uczepiła się jego ręki, tak że nie mógł się od niej uwolnić, nie zadając jej przy tym bólu. — Ależ, dziewczyno, niech mnie pani puści — powiedział, niemal łagodnie.

— Nie! Jeżeli Droszny z ludźmi przejdzie przez... — urwała, bo ostatnie rakiety w końcu dopaliły się z sykiem, pogrążając wąwóz, przez chwilowy kontrast oświetlenia — w prawie zupełnych ciemnościach. — Teraz już musi pan tu zostać — dodała tylko.

— Jestem zmuszony. — Reynolds wysunął się zza kamienia i przyłożył do oczu lornetkę. O ile mógł się zorientować, to na wiszącym moście i przeciwnym brzegu nie było widać najmniejszych oznak życia. Przesunął lornetkę w górę wąwozu i rozpoznał niewyraźną sylwetkę Andrei, który skończył podkopywać się pod wielki głaz i leżał spokojnie za nim. Nurtowany dręczącym niepokojem Reynolds ponownie skierował lornetkę na most. Raptem zamarł. Odjął lornetkę od oczu, bardzo starannie wyczyścił szkła, potarł oczy i jeszcze raz podniósł do nich lornetkę.

Już prawie odzyskał zakłóconą chwilowo przez rakiety ostrość widzenia w nocy, więc nie wątpił w to, co widzi i że nie fantazjuje — po wiszącym moście, płasko przywierając do jego desek, posuwało się na łokciach, rękach i kolanach siedmiu, ośmiu ludzi z Drosznym na czele.

Reynolds opuścił lornetkę, stanął prosto, odbezpieczył granat i rzucił go jak tylko mógł najdalej w stronę mostu. Granat eksplodował zaraz po upadku, co najmniej czterdzieści kroków przed mostem. Nie ważne, że poza głuchym hukiem wybuchu i nieszkodliwym rozrzuceniem drobnych kamieni nic nie działał, bo też wcale nie miał dolecieć aż do mostu — miał być sygnałem dla Andrei, Andrea zaś nie marnował czasu.

Oparł podeszwy butów na głazie, zaparł się plecami o skałę i nacisnął kamień. Głaz poruszył się jedynie o najmniejszy ułamek centymetra. Andrea na chwilę rozluźnił mięśnie, a potem powtórzył wszystkie czynności — tym razem głaz wyraźnie się przesunął. Andrea jeszcze raz rozluźnił mięśnie i pchnął po raz trzeci.

W dole na moście Droszny i jego ludzie, nie bardzo wiedząc co właściwie oznacza wybuch granatu, zamarli w bezruchu. Poruszały się tylko ich oczy, strzelające niemal rozpaczliwie na boki spojrzeniami, żeby odkryć źródło zagrożenia, wi-

szącego w powietrzu tak ciężko, że prawie namacalnego.

Głaz już się wyraźnie kołysał. Z każdym kolejnym pchnięciem go przez Andree wychylał się do przodu o następny centymetr i o następny centymetr cofał. Andrea osuwał się coraz niżej i niżej, aż znalazł w prawie poziomej pozycji, na plecach. Ciężko dyszał, twarz miał zalaną potem. Głaz cofał się już prawie tak, że groził mu przygnieceniem i zmiżdżeniem. Andrea głęboko zaczerpnął powietrza, a potem spazmatycznie wyprostował plecy i nogi w ostatnim tytanicznym pchnięciu. Przez chwilę głaz kołysał się w punkcie krytycznym równowagi, przekroczył ów punkt, z którego już nie ma odwrotu, i spadł. Droszny na pewno niczego nie usłyszał, a w prawie kompletnych ciemnościach najprawdopodobniej niczego nie zobaczył. Zapewne tylko instynktowne przecucie wiszącej nad nim śmierci kazało mu spojrzeć w górę w nagłym przeświadczeniu, że tam właśnie czyha niebezpieczeństwo. Kiedy z przerażeniem w oczach ujrzał staczający się wolno wielki głaz, niemal w tej samej chwili olbrzymi kamień przyśpieszył, pędząc po stoku prosto na nich i ciągnąc za sobą małą lawinę. Droszny wrzasnął ostrzegawczo. Wraz ze swoimi ludźmi rozpaczliwie poderwał się na nogi w instynktownym odruchu, który był bezcelowym, symbolicznym gestem w obliczu śmierci, gdyż dla większości z nich było już za późno i nie mieli gdzie się schronić.

Toczący się głaz zrobił ostatni wielki skok, grzmotnął w sam środek mostu i rozbił kruchą, drewnianą konstrukcję, przecinając ją na pół. Dwaj żołnierze, znajdujący się bezpośrednio na drodze wielkiego głazu, zginęli natychmiast, pięciu innych poleciało jak z procy w rwący nurt w dole i zostali porwani, ginąc niemal równie szybko. Dwie części przelamanego mostu, nadal trzymające się dzięki linom nośnym obu brzegów, zwisły, spadając do rwącej wody, a ich najniższe fragmenty łomotały wściekle o kamieniste skarpy.

\* \* \*

Co najmniej tuzin spadochronów przytwierdzono do zanurzonych bardziej niż do połowy trzech cylindrycznych przedmiotów unoszących się na równie jak one ciemnych wodach zalewu rzeki Neretvy. Mallory i Miller odcięli je nożami, a potem krótkimi kawałkami drutu, przeznaczonymi specjalnie do tego celu, połączyli cylindry razem w rzędzie. Mallory obejrzał dokładnie pierwszy z nich i delikatnie odciągnął dźwignię umieszczoną na wierzchu. Rozległ się przytłumiony świst i sprężone powietrze wzburzyło raptownie bąbelkami wodę za cylindrem, który szarpnął w przód, pociągając za sobą dwa pozostałe.

— Te dźwignie z prawej strony regulują zawory pływowe. Otwórz tamten i poczekaj, aż cylinder zanurzy się w wodzie, tylko tyle. Ja zrobię to samo z tym.

Miller ostrożnie otworzył zawór i skinął głową na cylinder z przodu.

— Po co to? — spytał.

— A uśmiecha ci się ciągnąć po wodzie aż do zapory półtorej tony amatora? To jakieś urządzenie napędowe. Wygląda mi na urzniętą część dwudziestojednocalowej torpedy. Sprężone powietrze o ciśnieniu jakichś pięciu tysięcy funtów na cal kwadratowy, wylatujące przez reduktor prędkości. Z pewnością załatwi sprawę.

— Proszę bardzo, byleby tylko nie musiał załatwiać jej Miller. — Miller zamknął zawór na cylindrze. — Tyle wystarczy? — spytał.

— Wystarczy.

Wszystkie trzy cylindry były w tej chwili tuż pod powierzchnią wody. Mallory ponownie cofnął dźwignię zaworu sprężonego powietrza na pierwszym z nich. Rozległ się gardłowy bulgot, z tyłu cylindra wypłynęła zamieć banieczek powietrza, a potem wszystkie trzy pojemniki ruszyły, zmierzając ku wąskiemu zakrętowi na zalewie, z Mallorym i Millerem uczepionymi pierwszego cylindra i kierującymi nim.

\* \* \*

Kiedy wiszący most rozpadł się pod uderzeniem głazu, zginęło siedmiu ludzi, ale dwóch przeżyło.

Droszny i sierżant, wściekle poturbowani i mocno posiniaczeni przez bystry nurt rzeczny, czepiali się rozpaczliwie strzaskanego końca mostu. Z początku mogli wyłącznie się trzymać, lecz powoli — po krańcowo wyczerpującej walce — udało im się podciągnąć z bystrzyn w górę i z rękami i nogami wczepionymi w połamane szczątki konstrukcji mostu zawisnąć, ciężko dysząc. Droszny dał znak jakiejś niewidocznej osobie czy osobom na drugim brzegu rwącej rzeki, a potem wskazał w górę tam, skąd spadł głaz.

Przykucnięci pośród głazów trzej czetnicy — trójka szczęśliwców, którzy jeszcze nie weszli na most, kiedy runął głaz — spostrzegli jego sygnał i zrozumieli, co oznacza. Około dwudziestu metrów od miejsca, gdzie Droszny, całkowicie niewidoczny z tamtej strony rzeki, bo skrywał go wysoki brzeg, trzymał się kurczowo resztek mostu, pozbawiony w tej chwili wszelkiej osłony Andrea przystąpił do niebezpiecznego zejścia w dół ze swojej poprzedniej kryjówki. Jeden z czetników po drugiej stronie rzeki wycelował do niego i strzelił.

Na szczęście dla Andrei strzelanie pod górę w półmroku to zadanie co najmniej trudne. Kule uderzyły w skalną ścianę o centymetry od jego lewej ręki i niemal cudem uniknął szwanku, kiedy rykoszetowały ze świstem. Wiedział, że następny strzał będzie dokładniejszy, rzucił się więc w bok, tracąc równowagę i resztę niepewnego gruntu pod nogami, poślizgnął się i pokoziołkował bezradnie po kamienistym stoku. Kiedy leciał, kule, wiele kul, uderzyło blisko niego, bo trzech czetników na prawym brzegu, przekonanych, że mają do czynienia tylko z nim, zbliżyło się do rzeki i skupili cały ogień na nim.

I znów na szczęście dla Andrei ta koncentracja ognia na jego osobie trwała jedynie kilka sekund. Reynolds i Maria wyszli zza osłony i pobiegli brzegiem, zatrzymując się na moment, żeby strzelić do nieprzyjaciół na drugim brzegu, ci zaś natychmiast zapomnieli o Andrei, zmuszeni stawić czoła nowemu, nieoczekiwanemu zagrożeniu. A kiedy to zrobili, Andrea, spadający pośród małej lawiny kamieni i zaciekle, choć bez szans powodzenia, walczący, żeby się zatrzymać, z zatrważającą siłą uderzył w brzeg, ciemieniem rąbnął w duży kamień i stracił przytomność, zawisając głową i rękami w dół nad dzikim nurtem rzeki.

Reynolds padł plackiem na kamieniste nabrzeże, zmusił się do nie zważania na świszczące mu tuż nad głową oraz z lewej i prawej kule, a potem wolno i starannie wycelował. Wystrzelił długą, bardzo długą serię ze schmeissera, aż opróżnił magazynek. Wszyscy trzech czetnicy upadli zastrzeleni.

Reynolds wstał. Był niejasno zaskoczony faktem, że trzęsą mu się ręce. Spojrzał na nieprzytomnego Andreę, który leżał niebezpiecznie blisko rzecznej skarpy, zrobił dwa kroki w jego stronę, lecz przystanął i obrócił się, bo usłyszał za plecami cichy jęk. Puścił się biegiem.

Maria na wpół siedziała, na wpół leżała na kamienistym brzegu. Dłonią ścisnęła nogę tuż nad prawym kolaniem, a spomiędzy palców tryskała jej krew. Twarz, zwykle dosyć bladą, miała poszarzałą i ściągniętą wskutek szoku i bólu. Reynolds gorzko, choć bezgłośnie zaklął, wyjął nóż i zaczął rozcinać sukno wokół rany. Delikatnie odciągnął materiał zakrywający postrzał i uśmiechnął się krzepiąco do dziewczyny. Mocno przygryzała dolną wargę i wpatrywała się w niego uporczywie oczami zamglonymi łzami i cierpieniem.

Rana wyglądała dość paskudnie, ale jak wiedział, była niegroźna. Sięgnął po opatrunek osobisty, uśmiechnął się pokrzepiająco do dziewczyny i na tyle całkiem o nim zapomniał. Cierpienie w oczach Marii ustąpiło miejsca przerażeniu i lękowi, a poza tym już nie patrzyła na niego.

Reynolds obrócił się. Droszny, który przed chwilą podciągnął się na nabrzeże, stał już i zdecydowanym krokiem szedł prosto do leżącego twarzą do ziemi Andrei, bez wątpienia z zamiarem zrzucenia nieprzytomnego Greka do rzeki.

Reynolds podniósł schmeisser i nacisnął spust. Usłyszał suchy trzask — zapomniał, że ma pusty magazynek. Rozejrzał się gorączkowo, szukając wzrokiem pistoletu Marii, ale nie było go nigdzie widać. Nie mógł czekać dłużej. Droszny był już tylko kilka stóp od Andrei. Reynolds podniósł nóż i pomknął brzegiem. Droszny zobaczył, że nadbiega i że jest uzbrojony tylko w nóż. Uśmiechnął się tak, jak uśmiechnąłby się wilk, wyjął zza pasa jeden ze swoich paskudnie zakrzywionych noży i czekał.

Zbliżyli się do siebie i zaczęli ostrożnie okrążyć, Reynolds jeszcze nigdy nie bił się na noże, więc nie żywił najmniejszych złudzeń co do swoich szans — czyż Neufeld nie powiedział, że w posługiwaniu się nożem Droszny nie ma sobie rów-

nych na Bałkanach? Z pewnością widział to na własne oczy — pomyślał. Całkiem zaschło mu w gardle.

Trzydzieści kroków od nich oszołomiona, osłabiona bólem i wleczeniem za sobą rannej nogi Maria podczołgała się tam, gdzie, jak sądziła, wypadł jej pistolet kiedy ją trafili. Po bardzo długim, jak jej się zdawało czasie, choć zajęło jej to prawdopodobnie dziesięć sekund, odnalazła go, częściowo ukryty, między kamieniami. Czując mdłości, osłabiona bólem zranionej nogi, zmusiła się, żeby usiąść, podniosła pistolet na wysokość ramienia, lecz po chwili opuściła go z powrotem.

Niejasno zdała sobie sprawę, że w swoim obecnym stanie za nic nie zdołałaby trafić Drosznego, nie trafiając przy tym Reynoldsa. Właściwie to mogła go zabić, a do Drosznego całkiem chybić. Bo obaj zwarli się ze sobą w tej chwili pierś w pierś, a ręce — prawe — w których trzymali noże, mieli zakleszczone nawzajem w swoich lewych dłoniach.

W ciemnych oczach dziewczyny, jeszcze tak niedawno wyrażających ból, szok i lęk, widać teraz było już tylko jedno uczucie — rozpacz. Maria, tak jak Reynolds, знаła sławę Drosznego, ale — w przeciwieństwie do sierżanta — widziała, w jaki sposób czetnik zabija tym nożem ludzi, i zdawała sobie sprawę, jak śmiertelne połączenie tworzą ten człowiek i ten nóż. Wilk i jagnię, przyszło jej na myśl, wilk i jagnię. Kiedy zabije Reynoldsa — jej myśli były już bezładne, umysł przyćmiony, kiedy zabije Reynoldsa, ja zabiję jego. Wpierw jednak Reynolds musiał zginąć, nie było na to żadnej rady. I wówczas nagle rozpacz zniknęła z jej oczu, zastąpiona przez niemal nieprawdopodobną nadzieję, bo wiedziała z intuicyjną pewnością, że gdy ktoś ma u swojego boku Andreę, to nadziei tracić nie wolno.

Co prawda Andrea nie stał jeszcze u niczyjego boku. Zdołał podnieść się na czworaki i niczego nie pojmując wpatrywał się w pędzącą białą wodę w dole i potrząsał lwią głową na boki, żeby oprzytomnieć. Potem zaś, wciąż potrząsając głową, dźwignął się z wielkim trudem na nogi i przestał nią potrząsać. Pomimo bólu Maria uśmiechnęła się.

Powoli i nieubłaganie olbrzymi czetnik wykręcił Reynoldsworth rękę z nożem, odciągając ją od siebie, a jednocześnie przysuwając zakrzywiony koniec własnego noża do jego gardła. Błyszcząca od potu twarz sierżanta zdradzała jego desperację, pełną świadomość nadciągającej klęski śmierci. krzyknął z bólu, bo Droszny wykręcił mu rękę, omal jej nie łamiąc, zmusił go do rozwarcia palców i wypuszczenia noża. Równocześnie bez pardonu kopnął go kolaniem i uwolnił lewą rękę, po czym pchnął go nią gwałtownie, tak że Reynolds potykając się upadł ciężko plecami na kamienie, gdzie legł bez tchu, sapiąc z bólu.

Droszny uśmiechnął się z wilczym zadowoleniem. I chociaż na pewno wiedział, że najważniejszy jest teraz pośpiech, to zrobił sobie przerwę, żeby egzekucji dopełnić odpowiednio wolno, sycąc się każdą jej sekundą, przedłużając rozkosz, jaką zawsze odczuwał w takich chwilach. Niemal niechętnie przełożył nóż w dłoń



szykując się do rzutu i bez pośpiechu podniósł go wysoko w górę. Uśmiechnął się szeroko jak nigdy, lecz jego uśmiech zniknął w ułamku sekundy, bo poczuł, że ktoś wyrwał mu zza pasa jego własny nóż. Obrócił się wokół własnej osi. Twarz Andrei była jak kamienna maska.

Droszny znów się uśmiechnął.

— Bogowie byli mi łaskawi — powiedział niemal pełnym czci głosem, ściszone do piśszcztliwego szeptu. — Marzyłem o tym. Lepiej, że zginiesz tak, a nie inaczej. To cię nauczy, przyjacielu...

Licząc na nieprzygotowanie Andrei urwał w pół zdania i z szybkością kota skoczył naprzód. Znów przestał się uśmiechać, kiedy z prawie komicznym niedowierzaniem spojrzął na prawy nadgarstek, unieruchomiony w zaciśniętej jak imadło lewej dłoni Greka.

Przez kilka sekund ta pełna napięcia zamarła scena wyglądała tak, jak początek poprzedniej walki, bo przeciwnicy w lewych rękach trzymali nawzajem swoje prawe, ściskające noże. Obaj zdawali się stać całkiem nieruchomo — Andrea z twarzą bez żadnego wyrazu, Droszny z obnażonymi białymi zębami, ale już nie w uśmiechu. Zamiast się uśmiechać, wściekle warczał, ziejąc złością, nienawiścią i zrodzonym z dezorientacji gniewem, gdyż tym razem, ku swojemu wyraźnemu osłupieniu i niedowierzaniu, nie zrobił na przeciwniku najmniejszego wrażenia. Tym razem robiono wrażenie na nim.

Maria, którą chwilowo przestała boleć noga, i bardzo wolno dochodzący do siebie Reynolds wpatrywali się urzeczeni, jak lewa dłoń Andrei wolno, niemal milimetr po milimetrze, stopniowo wykręca prawy nadgarstek Drosznego, tak że ostrze jego noża odsuwa się powoli, a palce czetnika zaczynają się, zrazu niedostrzegalnie, rozwierać. Droszny, z poczerwieniałą twarzą i żyłami nabrzmiałymi na czole i karku, zebrał ostatecznie resztki sił, skupiając je w lewej ręce. Andrea, świetnie czując, że czetnik całą siłę, wolę i uwagę skoncentrował na przełamaniu jego miazdzącego chwytu, zniemacka wyrwał z uścisku tamtego swoją prawicę i koszącym ruchem z olbrzymią siłą machnął nią z dołu do góry — nóż trafił czetnika pod mostek, wchodząc po sam trzonek. Przez parę chwil jugosłowiański olbrzym tylko stał, z obnażonymi zębami między wargami, które odciągnął mocno w tył, nierozumnie, trupio wyszczerzony, a potem, kiedy Andrea od niego odstąpił, pozostawiając nóż w jego ciele, osunął się wolno przez krawędź nabrzeżnej skarpy do rzeki. Sierżant czetnik, wciąż kurczowo trzymając się strzaskanych szczątków mostu, przerażony, niczego nie pojmując wybałuszył oczy, kiedy Droszny, z łatwo rozpoznawalnym trzonkiem noża w piersiach, zwałił się głową w przód w kipiące bystrzyny i natychmiast zniknął z oczu.

Roztrzęsiony i obolały Reynolds wstał z wielkim trudem i uśmiechnął się do Andrei.

— Możliwe, że od samego początku myliłem się co do pana — powiedział.

— Dziękuję, pułkowniku Stavros.

Andrea wzruszył ramionami.

— Po prostu ci się rewanżuję, chłopcze — odparł. — Możliwe, że ja też się myliłem co do ciebie. — Spojrzał na zegarek. — Druga! Druga!!! Gdzie reszta?

— O Boże, o mały włos byłbym zapomniał. Maria jest ranna. Groves i Petar na drabinie. Nie jestem pewien, ale Groves chyba fatalnie oberwał.

— Mogą potrzebować pomocy. Leć szybko do nich. Ja się zajmę dziewczyną.

\* \* \*

Przy południowym krańcu mostu na Neretvie generał Zimmermann stał w swoim wozie sztabowym i patrzył, jak sekundowa wskazówka jego zegarka zbliża się do szczytu tarczy.

— Druga — powiedział niemal gawędziarskim tonem. Opuścił siekającym ruchem w dół prawą rękę.

Powietrze przeszły świst gwizdka i zaraz potem zaryczały silniki czołgów i zatupotały buty, kiedy szpica pierwszej pancerniej dywizji Zimmermanna zaczęła przekraczać most na Neretvie.

### **XIII. Sobota, godz. 02:00-02:15**

— Maurer, Schmidt! Maurer, Schmidt! — dowódca warty na zaporze wybiegł z wartowni, gorączkowo rozejrzał się dookoła i chwycił sierżanta za rękę. — Gdzie są Maurer i Schmidt, na miłość boską?! Nikt ich nie widział? Nikt? Zapalcie reflektor.

Petar, który wciąż przyciskał do drabiny nieprzytomnego Grovesa, usłyszał te słowa, ale ich nie zrozumiał. Oplatając sierżanta ramionami, przedramiona miał w tej chwili unieruchomione pod nieprawdopodobnym kątem pomiędzy słupkiem drabiny a skałą. W tej pozycji mógł trzymać rannego prawie bez końca, dopóki nie pękłyby mu przeguby lub ręce. Jednakże poszarzała, spocona, wymęczona i wykrzywiona twarz Grovesa była niemym świadectwem nieznośnych katuszy, jakie cierpiał.

Mallory i Miller również usłyszeli wykrzyczane nagłym tonem komendy, ale tak jak i Petar nie byli w stanie zrozumieć, czego dotyczą te okrzyki. Mallory pomyślał mętnie, że na pewno nie wróży im to nic dobrego, ale szybko odsunął od siebie tę myśl, bo miał inne, pilniejsze sprawy, wymagające jego natychmiastowej uwagi. Dopłynęli do przegrody w postaci siatki przeciw torpedom i kiedy chwycił kabel, na którym wisiała, w drugiej dłoni trzymając nóż, Miller krzyknął i złapał go za rękę.

— Rany boskie, nie! — zawołał tak alarmującym tonem, że Mallory spojrzał na niego ze zdumieniem. — Chryste, gdzie ja mam rozum! To nie jest zwykły drut.

— To nie jest...

— To izolowany kabel energoelektryczny. Nie widzi pan?

Mallory przyjrzał się dokładniej.

— Teraz widzę.

— Założę się, że pod napięciem dwóch tysięcy woltów. — Millerowi wciąż jeszcze drżał głos. — O mocy elektrycznego krzesła. Usmażylibyśmy się żywcem. A do tego uruchomili alarm.

— Przerzucmy je górą — zdecydował Mallory.

Mocując się i pchając, dźwigając i ciągnąc, bo pomiędzy powierzchnią zalewu a kablem było tylko trzydzieści centymetrów wody, zdołali przewlec cylinder ze sprężonym powietrzem i właśnie udało im się oprzeć dziób pierwszego cylindra z amatołem na kablu, kiedy nie całe sto metrów od nich, na szczycie zapory zapłonął piętnastocentymetrowy reflektor, który przez chwilę świecił w linii poziomej, ale zaraz gwałtownie się pochylił i jego światło zaczęło wędrować po wodzie blisko ściany zapory.

— Tego nam tylko, cholera, brakowało — rzekł gorzko Mallory. Zepchnął dziób cylindra z amatołem z kabla, ale drut, którym był on przytwierdzony do pojemnika ze sprężonym powietrzem, unieruchomił go w takiej pozycji, że przód wy-

stawał mu z wody na dwadzieścia centymetrów. — Zostawiamy go. Pod wodę. Trzymaj się siatki.

Obaj zanurzyli się pod wodę, a sierżant na zaporze sunął dalej światłem reflektora po powierzchni zalewu. Snop światła liznął czubek pierwszego pojemnika z amatolem, ale czarno pomalowany cylinder trudno zauważyć w ciemnej wodzie, więc sierżant go przeoczył. Światło przesunęło się dalej, zakończyło wędrówkę po wodzie wzdłuż zapory i zgasło.

Mallory i Miller wynurzyli się ostrożnie i szybko rozejrzeli dookoła. W tej chwili nic nie wskazywało na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Mallory przyjrzał się fosforyzującym wskazówkom zegarka.

— Szybko! Szybko, na miłość boską! — powiedział. — Mamy prawie trzy minuty spóźnienia.

Pośpieszyli się. Z desperacją w przeciągu dwudziestu sekund przeciągnęli dwa cylindry z amatolem ponad kablem, otworzyli zawór sprężonego powietrza w pierwszym cylindrze i po dalszych dwudziestu sekundach znaleźli się przy potężnej ścianie zapory. W tym momencie rozstały się chmury i znów wyszedł księżyc, osrebrzając ciemne wody zalewu. Dwaj płetwonurkowie byli w tej chwili beznadziejnie odsłonięci, ale nic nie mogli na to poradzić i wiedzieli o tym. Nie mieli już czasu i wyboru innego, jak tylko w najkrótszym czasie umocować i uzbroić cylindry z amatolem. To, czy ich odkryją, czy nie, było nadal arcyważną kwestią, ale w żaden sposób nie mogli temu zapobiec.

— Zdaniem ekspertów, trzeba je rozmieścić w odstępach czterdziestu stóp od siebie i czterdziestu stóp od wierzchołka tamy. Spóźnimy się.

— Nie. Jeszcze nie jest za późno. Rzecz w tym, żeby przepuścić przez ten most czołgi, a zniszczyć go, nim przekroczą go cysterny z benzyną i główne siły piechoty.

\* \* \*

Na wierzchołku zapory sierżant z reflektorem powrócił z zachodniego jej krańca i zameldował kapitanowi:

— Nic, panie kapitanie. Nie ma nikogo.

— Dobrze. — kapitan wskazał głową w kierunku wąwozu rzeki. — Sprawdźcie po tej stronie. Może coś znajdziecie.

Sierżant spróbował więc po drugiej stronie, w rzeczy samej coś tam znajdując i to prawie natychmiast. W dziesięć sekund po rozpoczęciu jazdy reflektorem wyłowił sylwetki nieprzytomnego Grovesa i wyczerpanego Petara, a zaledwie parę metrów pod nimi wspinającego się wytrwale sierżanta Reynoldsa. Wszyscy trzej wpadli w pułapkę bez wyjścia, nie mogąc zrobić nic w swojej obronie — Reynolds nie miał już nawet przy sobie pistoletu.

Na zaporze żołnierz Wehrmachtu, który wycelował peem wzdłuż snopu światła z reflektora, podniósł zaskoczony wzrok na kapitana, bo ten odbił mu lufę w dół.

— Idioto! — Zawołał z wściekłością kapitan. — Chcę ich mieć żywych! Wy dwaj, przynieść liny i sprowadzić ich tu na przesłuchanie. Musimy się dowiedzieć, co chcieli zrobić.

Jego słowa dotarły wyraźnie do dwóch mężczyzn w wodzie, bo właśnie umilkły ostatnie odgłosy bombardowania i ucichły strzały z broni ręcznej. Ów kontrast hałasu i spokoju był niemal nieznośny, a nagła głucha cisza dziwnie złowieszcza, prawie grobowa w swojej złowróżbności.

— Słyszał pan? — szepnął Miller.

— Słyszałem. — Mallory dostrzegł, że kolejna chmura, wprawdzie nie tak gruba, ale zawsze chmura, lada chwila przesłoni księżyc. — Przytwierdź te pływające ssawki do ściany. Ja załatwię się z drugim ładunkiem.

Odwrócił się i wolno odpłynął, ciągnąc za sobą drugi cylinder z amatolem.

\* \* \*

Kiedy snop światła z reflektora sięgnął w dół ze szczytu zapory, Andrea był przygotowany na prawie natychmiastowe odkrycie, ale wcześniejsze wykrycie Grovesa, Petara i Reynoldsa ocaliło jego i Marię, bo Niemcy uznali widać, że schwyтали wszystkich, którzy byli do schwytania, i zamiast przeszukać reflektorami resztę wężozu zajęli się wyłącznie wciągnięciem na górę trzech jeńców, schwytyanych w pułapce na drabinie. Jednego z nich, z pewnością nieprzytomnego — był to bez wątpienia Groves — wciągnięto na górę na linie, a pozostali dwaj, z których jeden pomagał drugiemu, dokończyli wspinaczki o własnych siłach. Wszystko to widział Andrea bandażując zranioną nogę Marii, ale nie powiedział jej o niczym.

Zawiązał bandaż i uśmiechnął się do niej.

— Lepiej? — spytał.

— Lepiej.

Spróbowała uśmiechem wyrazić mu podziękowanie, ale nie zdołała się uśmiechnąć.

— To świetnie. Czas w drogę. — Andrea sprawdził godzinę. — Podejrzewam, że jeżeli zostaniemy tu chwilę dłużej, to mocno, bardzo mocno przemokniemy.

Wstał prostując się i właśnie ten raptowny ruch ocalił mu życie. Nóż, który miał go trafić w plecy, przeszył mu na wylot lewe ramię. Przez chwilę, jakby nie pojmując co się stało, Andrea wpatrywał się w sterczący mu z ręki czubek ostrza, a potem, najwyraźniej nie zważając na ból, który go to kosztowało, obrócił się wolno takim ruchem, że wykręcił trzonek noża z ręki człowieka, który go trzymał.

Sierżant czetników, jedyny, który oprócz Drosznego przeżył zagładą wiszącego mostu, wpatrywał się jak skamieniały w Andreę, pewnie dlatego, że nie umiał pojąć jak to możliwe, że go nie zabił, a bardziej dlatego, że nie mieściło mu się w głowie, jak człowiek bez jednego słowa może znieść taką ranę, a na dodatek bez słowa wyrwać mu z ręki nóż. Andrea nie miał już przy sobie żadnej broni i żadna nie była mu potrzebna. Ruchem, który wyglądał na groteskowo powolny, podniósł prawą rękę, ale w potwornym, zadanym jak toporem ciosie kantem dłoni, który ugodził czetnika w podstawę czaszki, nie było nic z powolności. Człowiek ten nie żył prawdopodobnie, zanim jeszcze dotknął ziemi.

\* \* \*

Reynolds i Petar siedzieli tyłem do wartowni na wschodnim końcu zapory. Obok nich leżał oddychając chrapliwie nadal nieprzytomny Groves, z poszarzałą twarzą, która dziwnie przypominała wosk. Z góry oświetlała ich umocowana na dachu wartowni jaskrawo świecąca lampa, a w pobliżu czuwał wartownik z wyceLOWANYM w nich karabinem. Nad jeńcami stał kapitan Wehrmachtu z miną bliską zgrozy.

— Liczyliście, że wysadzicie taką zaporę kilkoma laskami dynamitu? — spytał z niedowierzaniem, ale w nieskazitelnej angielszczyźnie. — Oszaleliście!

— Nikt nas nie uprzedził, że ta zapora jest taka duża — odparł ponuro Reynolds.

— Nikt was nie uprzedził... Boże święty, oto macie fiksatów i Anglików! A gdzie wasz dynamit?!

— Ten drewniany most się załamał. — Reynolds garbił się, przytłoczony tak sromotną porażką. — Straciliśmy cały nasz dynamit... I wszystkich pozostałych towarzyszy.

— To się w głowie nie mieści, po prostu nie mieści się w głowie! — kapitan pokręcił głową i odwrócił się, ale znieruchomiał, bo usłyszał głos Reynoldsa. — O co chodzi?

— O mojego przyjaciela. — Reynolds wskazał na Grovesa. — Jak pan widać, jest bardzo chory. Wymaga opieki lekarskiej.

— Później. — kapitan obrócił się w stronę żołnierza w otwartym baraku radiowym. — Jakie wieści z południa? — spytał.

— Właśnie zaczęli przekraczać most na Neretwie, panie kapitanie.

Słowa te doszły wyraźnie do uszu Mallory'ego, który znajdował się w tej chwili kawałek od Millera. Właśnie skończył mocować pływaki do ściany zapory i miał już dołączyć do towarzysza, kiedy kątem oka złowił rozbłysk światła. Znieruchomiał i spojrzał w prawo w górę.

Na szczycie zapory, wychylając się przez barierkę i świecąc w dół latarką,

szedł wartownik. Mallory od razu zdał sobie sprawę, że ich na pewno odkryje. Musiał przecież dojrzeć jeden albo dwa pływaki przytrzymujące ładunki. Bez pośpiechu, przytrzymując się pływaka, rozsunał górną część gumowego kombinezonu, sięgnął pod bluzę, wyjął luger, odwinął z nieprzemakalnego pokrowca i zwolnił bezpiecznik.

Kałuża światła z latarki przesunęła się po wodzie blisko ściany zapory. Nagle świetlny snop znieruchomiał. W samym środku świetlnego kręgu widać było wyraźnie mały przedmiot kształtu torpedy, przymocowany do ściany zapory przyssawkami, a tuż obok człowieka, w gumowym kombinezonie i z pistoletem w dłoni. Pistolet ten zaś, z przykręconym do końca lufy, co wartownik od razu spostrzegł, tłumikiem, mierzył prosto w niego. Żołnierz otworzył usta, żeby okrzykiem ostrzec innych, ale nie ostrzegł nikogo, bo w samym środku czoła rozkwitł mu czerwony kwiat, a on sam pochylił się w przód jak ktoś śmiertelnie znużony, górną połową ciała opierając się na barierce, a ręce zwisły mu w dół. Latarka wysunęła się z jego martwej dłoni i wpadła do wody.

Uderzyła w nią z głuchym plaśnięciem, prawie trzaskiem. Mallory pomyślał, że w tak głębokiej ciszy, jaka panowała, na pewno usłyszano to na górze. Czekał w napięciu, z gotowym do strzału lugerem w dłoni, ale kiedy minęło dwadzieścia sekund i nic się nie stało, uznał, że nie może dłużej czekać. Spojrzał na Millera, który niewątpliwie usłyszał trzask latarki, bo z zaintrygowaną, zmarszczoną twarzą wpatrywał się w niego i pistolet, który trzymał. Mallory wskazał w górę na martwego wartownika, przewieszzonego przez barierkę na zaporze. Miller rozchmurzył się i skinął głową, że zrozumiał. Księżyc zaszedł za chmurę.

\* \* \*

Andrea, z lewym rękawem bluzy przesiąkniętym krwią, prawie że niósł przez piarg i kamienie Marię, która właściwie nie mogła opierać się na prawej nodze. Kiedy dotarli do drabiny, oboje zadarli głowy, wpatrując się w zniechęcającą do wspinaczki drogę w górę, na pozornie niekończące się zygzaki żelaznych szczebli, ginących w mrokach nocy. Andrea ocenił, że z ranną dziewczyną, przy jego zranionym ramieniu, ich widoki są bardzo marne. A do tego tylko jeden Bóg wiedział, kiedy ściana zapory wyleci w powietrze. Spojrzał na zegarek. Jeśli wszystko odbyło się zgodnie z planem, to powinna wylecieć właśnie teraz — modlił się więc w duchu, żeby zakochany w punktualności Mallory choć raz się spóźnił. Dziewczyna spojrzała na niego i zrozumiała bez słów.

— Niech pan mnie zostawi — powiedziała. — Proszę mnie zostawić.

— Mowy nie ma — odparł stanowczo Andrea. — Maria nigdy by mi tego nie wybaczyła.

— Maria?

— Nie ty. — Andrea zarzucił ją sobie na plecy i oplótł jej rękami swoją szyję. — Moja żona. Zdaje się, że będzie moim postrachem.  
Sięgnął rękami do drabiny i zaczął się wspinać.

\* \* \*

Żeby lepiej widzieć, jak rozwijają się ostatnie przygotowania do ataku, generał Zimmermann rozkazał wjechać wozem sztabowym na sam most na Neretwie i obecnie stał dokładnie pośrodku niego, blisko prawej strony. O ćwierć metra od Zimmermanna ze szczęką, chrzęstem i rykiem ciągnęła pozornie nieskończona kolumna czołgów, dział samobieżnych i ciężarówek wyładowanych oddziałami szturmowymi; zaraz po dotarciu do północnego krańca mostu czołgi, działa i ciężarówki rozjeżdżały się wachlarzem na wschód i zachód wzdłuż rzeki, żeby chwilowo skryć się za stromą skarpą, zanim przystąpią do decydującego skoordynowanego ataku.

Co jakiś czas Zimmermann podnosił do oczu lornetkę i przesuwiał nią po niebie na zachodzie. Z tuzin razy zdawało mu się, że słyszy odległy grzmot nadlatujących flotylli powietrznych, i tyleż razy zwodził sam siebie. Wciąż od nowa powtarzał w duchu, że jest głupcem, ofiarą niepotrzebnych, bojaźliwych urojeń, które nie przystoją generałowi Wehrmachtu, ale głęboko zakorzeniony w nim wewnętrzny niepokój nie mijał, dlatego nadal lornetował niebo na zachodzie. Nie przyszło mu nawet na myśl, bo nie było po temu powodu, że patrzy w niewłaściwą stronę.

\* \* \*

Nie cały kilometr na północ od mostu generał Vukalović opuścił lornetkę i obrócił się do pułkownika Janzego.

— A więc stało się — powiedział zmęczony, z niewymownym smutkiem. — Przeszli przez most... albo prawie. Jeszcze pięć minut. A potem kontratakujemy.

— A potem kontratakujemy — powtórzył bezbarwnie Janzy. — W ciągu piętnastu minut stracimy tysiąc ludzi.

— Żądaliśmy rzeczy niemożliwej — dodał Vukalović. — Płacimy za własne błędy.

\* \* \*

Mallory z długą liną ściągaczową podpłynął do Millera.

— Gotowe? — spytał.

— Gotowe. — Miller również trzymał w ręku ściągacz. — Pociągamy za te linki połączone z hydrostatycznymi zapalnikami chemicznymi i wiejemy?



— Mamy trzy minuty. Wiesz, co się z nami stanie, jeżeli po upływie trzech minut będziemy nadal w wodzie?

— Niech pan mi nawet o tym nie wspomina — odparł błagalnie Miller. Nagle nadstawił ucha i zerknął na Mallory'ego.

Mallory również to usłyszał — dobiegający z góry tupot biegnących stóp. Skinął głową Millerowi. Obaj zanurzyli się pod wodę.

Dowódca warty, z racji zamiłowań, niejakiej krągłości figury i zdecydowanych poglądów na to, co przystoi oficerowi Wehrmachtu, zazwyczaj nie był skory do biegania. Prawdę mówiąc chodził szybko i nerwowo po wierzchołku zapory, kiedy dojrzał, że jeden z jego podwładnych wychyla się przez barierkę w sposób, który należy uznać za zdecydowanie niechlujny i nie przystojący żołnierzowi. Dopiero wtedy pomyślał, że przecież wychylający się przez barierkę człowiek użyłby do przytrzymania dłoni i rąk, a u tego żołnierza nie było ich widać. Skojarzył to sobie ze zniknięciem Maurera i Schmidta i puścił się biegiem.

Wartownik jakby nie słyszał, że ku niemu biegnie. Kapitan chwycił go brutalnie za ramię i wyprostował się przerażony, bo martwy żołnierz osunął się po barierce w tył i twarzą do góry upadł u jego stóp — miejsce, gdzie przedtem miał czoło, nie było miłym widokiem. Chwilowo sparaliżowany oficer przez kilka długich sekund wpatrywał się w trupa, po czym ze świadomym wysiłkiem woli wyjął latarkę i pistolet — pierwszą zapalił, drugi odbezpieczył — i zaryzykował szybkie zerknięcie przez barierkę w dół.

Nie było na co patrzeć. A raczej, na nikogo — ani śladu wroga, który na pewno zastrzelił wartownika przed około minutą. Niemniej było coś tam widać — dodatkowe świadectwo obecności nieprzyjaciela, jakby w ogóle jeszcze jakieś było potrzebne — przedmiot w kształcie torpedy — nie, dwa przedmioty w kształcie torped! — przyczepione do ściany zapory równo z powierzchnią wody. Zrazu kapitan wpatrywał się w nie zdezorientowany, ale potem znaczenie ich obecności przy tamie dotarło do niego prawie tak gwałtownie jak cios pięścią. Wyprostował się i ruszył biegiem na wschodni kraniec zapory, krzycząc z całych sił:

— Radio! Radio!

Mallory i Miller wynurzyli się. Krzyki — niemal wrzaski — biegnącego kapitana niosły się teraz wyraźniej po cichych już wodach zalewu. Mallory zaklął.

— A niech to cholera, cholera, jasna cholera! — Jego głos niemal ział złością ze zmartwienia i uczucia zawodu. — Ostrzeże Zimmermanna na siedem, może osiem minut przed zniesieniem mostu. To dość czasu, żeby przemieścić wyżej ogromną większość czołgów.

— I co zrobimy?

— Pociągniemy za te liny ściągaczowe i wynosimy się w diabły!

Kapitan pędząc po zaporze był w tej chwili nie całe trzydzieści metrów od baraku radiowego i miejsca, gdzie tyłem do wartowni siedzieli Petar i Reynolds.

— Z generałem Zimmermannem! — krzyknął. — Łącz się. Przekaż, żeby przemieścili czołgi wyżej. Ci przekłęci Anglicy podminowali zapórę!

— No cóż... — odezwał się Petar, a jego głos przypominał westchnienie. — Wszystko co dobre się kiedyś kończy.

Reynolds wybałuszył na niego oczy, z kompletnie zaskoczoną miną. Odruchowo, bezwolnie wyciągnął rękę po ciemne okulary, które mu podał Petar, odruchowo podążył wzrokiem za cofającą się ręką ślepeca, a potem, prawie zahipnotyzowany, ujrzał, jak kciuk owej ręki naciska zapalnik z boku gitary. Grzbiet instrumentu odskoczył, odsłaniając znajdujący się w środku spust, magazynek i błyszczący naoliwiony mechanizm pistoletu maszynowego.

Palec wskazujący Petara zamknął się na spuście. Pistolet maszynowy, którego pierwszy pocisk strzaskał gryf gitary, dygotał i podskakiwał mu w rękach. Ciemne oczy miał zwężone, czujne i spokojne. Dobrze wiedział, co jest najważniejsze.

Strzegący trzech jeńców żołnierz zgiął się wpół i zginął, prawie przecięty na dwoje pierwszą serią pocisków. W dwie sekundy potem jego los podzielił stojący przy baraku radiowym kapral, który rozpaczliwie próbował zdjąć z ramienia schmeisser. Kapitan, który nie przerwał biegu, zaczął strzelać do Petara raz za razem, ale ten nadal wiedział, co jest najważniejsze. Nie zważając na kapitana, nie zważając na kulę, która trafiła go w prawe ramię, wystrzelił resztę pocisków z magazynku w radionadajnik, a potem zwałił się w bok na ziemię, wypuszczając rozbitą gitarę z bezwładnych rąk. Z ramienia i ranionej głowy ciekła mu krew.

Kapitan schował wciąż jeszcze dymiący pistolet do kieszeni i wpatrzył się w nieprzytomnego Petara. Na jego twarzy nie było gniewu, a tylko osobliwy smutek, posępne pogodzenie się z klęską. Przesunął wzrok i napotkał spojrzenie Reynoldsa — w chwili rzadkiego zrozumienia obaj pokręcili głowami w dziwnym, obopólnym zdumieniu.

Mallory i Miller, którzy wspinali się po linie z supłami, znajdowali się w tej chwili prawie na wysokości wierzchołka zapory, kiedy ostatnie echa strzelaniny odpłynęły po wodach zalewu. Mallory spojrzał w dół na Millera, który wzruszył ramionami, tak udanie, jak tylko jest w stanie to zrobić ktoś wiszący na linie, i bez słowa pokręcił głową. Obaj znów zaczęli się wspinać, poruszając się jeszcze szybciej niż poprzednio.

\* \* \*

Andrea również usłyszał strzały, ale nie miał pojęcia, co oznaczają. W tej chwili nie za bardzo go to obchodziło. Lewa ręka paliła go tak, jakby piekła się w gwałtownym jasnym płomieniu, a na spoconej twarzy znać było cierpienie i stan bliski wyczerpania. Wiedział, że nie dotarł jeszcze nawet do połowy drabiny. Na

krótko przerwał wspinaczkę, świadom, że obejmujące jego szyję ręce dziewczyny zaczynają się rozluźniać, ostrożnie przysunął się do drabiny, lewą ręką oplótł Marię w pasie i wznowił dręcząco powolny uporczywy marsz w górę. Gorzej widział i przemknęło mu niejasno przez myśl, że to z pewnością wskutek utraty krwi. Zastanawiające, ale lewa ręka zaczynała mu drętwieć, a ból coraz bardziej koncentrował w prawej, która cały czas dźwigała wspólny ciężar ich obojga.

— Niech pan mnie zostawi! — powtórzyła Maria. — Zostawi, na miłość boską! Uratuje siebie.

Andrea uśmiechnął się do niej, a przynajmniej on uznał to za uśmiech, i odparł uprzejmie:

— Nie wiesz sama, co mówisz, dziewczyno. A poza tym Maria by mnie za to zabiła.

— Niech pan mnie zostawi! Zostawi! — dziewczyna zaczęła się wyrywać i krzyknęła z bólu, bo Andrea zacieśnił chwyt. — To boli.

— Więc się nie wyrywaj — odparł ze spokojem i kontynuował katorżniczą, powolną wspinaczkę.

\* \* \*

Mallory i Miller dotarli do podłużnej szczeliny biegnącej nad wierzchołkiem zapory i posuwając się szybko wzdłuż niej i liny poręczowej znaleźli się dokładnie nad lampami łukowymi, zamontowanymi na okapach wartowni około piętnastu metrów w dole — w ich jaskrawym świetle widać było dokładnie, co się dzieje. Nieprzytomni Groves i Petar, dwóch zabitych niemieckich wartowników, rozbity radionadajnik, a przede wszystkim pistolet maszynowy spoczywający nadal w roztrzaskanym pudle gitary opowiedziały historię, którą nie sposób fałszywie odczytać. Mallory przesunął się jeszcze trzy metry wzdłuż szczeliny i spojrzał w dół — Andrea, z dziewczyną, która starała się mu pomagać z całych sił podciągając się rękami na drabinie, pokonał już prawie dwie trzecie drogi w górę, ale wspinał się przeraźliwie wolno. Mallory'emu przyszło na myśl, że nie zdążą na czas, niemożliwe, żeby zdążyli. Na wszystkich przychodzi kolej, pomyślał ze znużeniem, kiedyś na pewno przyjdzie kolej na nas wszystkich. Ale to, że przyszła na niezniszczalnego Andree, przekraczało granice fatalistycznego pogodzenia się z losem. Taka rzecz nie mieściła się w głowie i oto coś, co nie mieściło się w głowie, miało za chwilę nastąpić.

Mallory dołączył do Amerykanina. Prędko zdjął linę — tę z supłami, po której zeszli do zalewu na Neretvie — umocował ją do liny biegnącej nad podłużną szczeliną skalną i opuścił w dół, gdzie miękko spoczęła na dachu wartowni. Wziął do ręki luger i już miał zacząć zjazd, kiedy zapora wyleciała w powietrze.

Bliźniacze eksplozje nastąpiły w odstępie dwóch sekund od siebie. Detona-

cja półtorej tony kruszącego materiału wybuchowego w zwykłych warunkach powinna wywołać tytaniczny huk, ale ponieważ miała miejsce daleko w dole, wybuchy były niezwykle stłumione, bardziej je się nawet czuło, niż słyszało. Dwa ogromne słupy wody wystrzeliły wysoko ponad zaporę, ale przez cztery czy pięć sekund, które wszakże dłużyły się jak wieczność pozornie nic się nie działo. A wówczas bardzo, bardzo wolno, jakby z ociąganiem cała środkowa część tamy o wysokości i szerokości co najmniej dwudziestu pięciu metrów odchyliła się w stronę wąwozu rzeki — nadal się jeszcze nie rozpadła.

Andrea przestał się wspinać. Nie usłyszał nic, ale poczuwszy dygot i drzenie drabiny zrozumiał co się stało i co nadchodzi. Rękami oplótł Marię i boki drabiny, przycisnął do niej dziewczynę i spojrzał w górę ponad jej głowę. Na zewnętrznej ścianie tamy zarysowały się dwa pionowe pęknięcia, a potem cała ściana osunęła się wolno w ich kierunku. Niemal tak, jakby u podstawy miała zawiasy, i nagle zniknęła z oczu, bo niezliczone miliony litrów kipiącej ciemnej wody wypłynęły przez rozbitą zaporę. Łoskot tysiactonowego muru walącego się w wąwóz z pewnością było słychać na wiele kilometrów, lecz Andrea nie słyszał nic prócz ryku uciekającej wody. Za nim zwałił się na nich jej straszliwy prąd, zdążył jedynie spostrzec, że tam, gdzie była ściana zapory, jest teraz tylko ten potężny rwący zielony nurt, który z początku płynął dziwnie gładko i spokojnie, a potem opadał kaskadą i zderzał z wąwozem tworząc wirującą białą kipieli. W jednej chwili Andrea oswobodził rękę, obrócił przerażoną twarz dziewczyny i przycisnął ją, kryjąc, do swojej piersi, wiedział bowiem, że gdyby cudem przeżyła, wodny taran, niosący ze sobą piasek, kamienie i Bóg wie co jeszcze, zdarłby jej z twarzy delikatną skórę i trwale oszpecił. Pochylił głowę, szykując się na wściekły atak nadpływającej wody i splótł ręce po drugiej stronie drabiny.

Uderzenie żywiołu wyparło dech z jego zdyszanego ciała. Pogrzebany pod tą wielką walącą się, miażdżącą ścianą zieloności, Andrea walczył o życie swoje i dziewczyny. Napór na jego ciało, sponiewierane i mocno już potłuczone przez ciężkie jak uderzenia młotem kaskady walącej wody, która zdawała się zajadłe dążyć do jego natychmiastowej zagłady, był — nie licząc nawet okrutnie utrudniającej mu zadanie ciężko rannej ręki — wprost niesamowity. Miał wrażenie, że lada chwila jego ramiona zostaną wyrwane ze stawów, najłatwiej więc byłoby rozwrzeć dłonie i pozwolić, by katusze, które rozrywały mu członki i mięśnie na strzępy, zastąpiła łagodna niepamięć. Ale Andrea nie puścił. Andrea się nie załamał. Łamały się inne rzeczy. Ze ściany wyrwało kilka klamer przytrzymujących drabinę i wydawało się, że tak ją, jak wchodzących po niej czeka nieuchronne zmycie. Drabina przekręciła się, wykrzywiła i odchyliła od skały tak mocno, że Andrea tyleż pod nią leżał, co na niej wisiał, a mimo to nie puszczał, bo kilka klamer wciąż trzymało. Potem zaś bardzo powoli, po czasie, który oszołomionemu Grekowi wydawał się nie mieć końca, poziom wody w zalewie obniżył się, jej na-

pór zmalął, niewiele, ale dostrzegalnie, i Andrea znów zaczął się wspinać. Kilka ładnych razy, kiedy chwycił szczeble naprzemian to jedną to drugą ręką, palce rozwierały mu się i mało brakowało, żeby został zmyty; kilka ładnych razy obnażał zęby w potwornym wysiłku, mocno zwierzał wielkie dłonie i cudem zaciskał palce. Po blisko minucie tych tytanicznych zmagania zdołał w końcu wydostać się z najgorszego nurtu i znów mógł oddychać. Spojrzał na dziewczynę w swoich ramionach. Jasne włosy przywarły jej do szarych policzków, oczy z nie pasującymi do nich ciemnymi rzęsami miała zamknięte. Wąwóz aż po szczyty jego stromych ścian wypełniał białawy kipiący nurt rwącej wody, która porывała wszystko na swojej drodze, a na jej ryk, kiedy z grzotem pędziła wąwozem prędzej niż pociąg ekspresowy, składały się ciągłe wybuchy i obłąkane upiorne wycie.

\* \* \*

Dopiero po blisko trzydziestu sekundach od wysadzenia tamy Mallory zebrał się w sobie i ruszył dalej. Nie pojmował, co go zatrzymało aż tak długo. Wytlumaczył to sobie hipnotyzującym widowiskiem, jakim było dramatyczne opadnięcie wód zalewu, idące w parze z widokiem wielkiego wąwozu, wypełnionego po same brzegi białawą wodną kipiela. Przyczyna tego była jednak, o czym wiedział, choć się do tego przed sobą nie przyznawał, poważniejsza. Miał świadomość, że nie pogodzi się z myślą, że Andreę i Marię zabrała woda. Nie miał bowiem pojęcia, że w tej chwili przyjaciel, kompletnie już wyczerpany i nie zdający sobie sprawy z tego co robi, na próżno starał się pokonać kilka ostatnich szczebli, dzielących go od wierzchołka zapory. Mallory chwycił linę i brawurowo zjechał w dół, nie czując palenia skóry na dłoniach lub nie zważając na nie, z głową pełną irracjonalnej żądzy zabijania, irracjonalnej, bo to przecież on sam spowodował eksplozję, która zabrała Andrei życie.

I wówczas, gdy stopami dotknął dachu wartowni, ujrzał ducha — a raczej duchy — bo na szczycie drabiny pojawiły się głowy Andrei i wyraźnie nieprzytomnej Marii. Zauważył, że Andrea nie jest w stanie zrobić ani kroku więcej, bo położył rękę na ostatnim szczeblu i mimo kurczowych szarpnięć, tkwił w miejscu. Poznał po tym, że przyjaciel nie ma już krzty sił.

Ale nie tylko on spostrzegł Andreę i dziewczynę. Niemiecki kapitan i jeden z jego żołnierzy zbaraniaли gapili się na budzącą grozę straszliwą scenę zniszczenia, ale drugi wartownik obrócił się zniemacka, dojrzał głowę Andrei i podniósł peem. Wciąż jeszcze uczipiony liny Mallory nie miał czasu wymierzyć i odbezpieczyć broni, bo zanim by to zrobił, Andrea na pewno by zginął, ale Reynolds rzucił się gwałtownie w przód i rozpaczliwie nurkując odbił pistolet wartownika dokładnie w chwili, kiedy ten strzelił. Reynolds zginął natychmiast. Wartownik w dwie sekundy potem. Mallory wycelował wciąż jeszcze dymiącą lufę swojego lugera w kapitana i

żołnierza.

— Rzucić broń — rozkazał.

Rzucili broń. Mallory i Miller ześlizgnęli się na dół z dachu wartowni i kiedy Amerykanin trzymał Niemców pod lufami pistoletów, Nowozelandczyk podbiegł prędko do drabiny, wyciągnął rękę i pomógł chwiejącemu się Andrei i nieprzytomnej dziewczynie znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Przyjrzał się wyczerpanej, pokrwawionej twarzy przyjaciela, jego odartym ze skóry dłoniom, nasiąkniętemu krwią rękawowi i spytał surowo:

— I gdzie ty, do diabła, był?

— Gdzie byłem? — spytał oszołomiony Andrea. — Nie wiem. — Ledwie przytomny, chwiejąc się na nogach, przeciągnął dłonią po oczach i spróbował się uśmiechnąć. — Chyba zatrzymałem się, żeby podziwiać widoki.

\* \* \*

Generał Zimmermann siedział nadal w wozie sztabowym, ale wóz ten stał nadal z prawej strony, pośrodku mostu na Neretwie. Zimmermann znów trzymał lornetkę przy oczach, ale po raz pierwszy nie patrzył ani na zachód, ani na północ, wpatrywał się za to na wschód, w górę rzeki, w stronę wylotu wąwozu. Po niedługiej chwili obrócił się do adiutanta z miną początkowo niepewną, lecz potem ową niepewność wyparła obawa, tę zaś coś bardzo przypominającego strach.

— Słyszysz pan? — spytał.

— Słyszę, panie generale.

— I czuje?

— Czuję.

— Boże wszechmogący, co to może być? — spytał natarczywie Zimmermann. Wsłuchał się w potężny i coraz głośniejszy huk, który wypełnił powietrze wokół nich. — To nie grzmot. Jak na grzmot, jest o wiele za głośny. I za ciągły. A do tego ten wiatr... Ten wiatr wieje z wąwozu. — Ledwie słyszał własny głos pośród prawie ogłuszającego huku, który dobiegał ze wschodu. — To zapora! Zapora na Neretwie! Wysadzili zaporę! Uciekajmy stąd! — krzyknął do szofera. Uciekajmy, na miłość boską!

Wóz sztabowy szarpnęła i ruszył, ale dla generała Zimmermanna było już za późno, tak jak było za późno dla zmasowanych kolumn czołgów i tysięcy żołnierzy oddziałów szturmowych, ukrytych na brzegach Neretvy przy niskiej skarpie na północ od nich i czekających na miażdżący atak, który miał unicestwić siedem tysięcy fanatycznie upartych obrońców Przełęczy Zenicy. Potężna ściana białej wody o wysokości dwudziestu pięciu metrów, gnająca pod przemożnym ciśnieniem milionów jej ton i pchająca przed sobą olbrzymi taran z głazów i drzew, wytrysła z wylotów wąwozu.

Na szczęście dla większości żołnierzy z pancernych oddziałów Zimmermanna uświadomienie sobie przez nich nadchodzącej śmierci i samą śmierć dzieliły zaledwie sekundy. Most na Neretwie i wszystkie pojazdy na nim, w tym wóz sztabowy generała Zimmermanna, zostały zmiecione i zniszczone w jednej chwili. Olbrzymi rwący potop zalał oba brzegi rzeki na głębokości sześciu metrów, zagarniając i pochłaniając po drodze czołgi, działa, pojazdy pancerne, tysiące żołnierzy i wszystko, na co natrafił; nim się wreszcie uspokoił, na brzegach Neretwy nie ocalało choćby jedno źdźbło trawy. Setce, może dwóm setkom żołnierzy oddziałów szturmowych po obu stronach rzeki udało się w panice wspiąć wyżej i na krótką chwilę ocalić życie, gdyż zostało im go niewiele, ale dziewięćdziesiąt pięć procent dywizji Zimmermanna spotkała zatrważająco nagłą, całkowita przerażająca zagłada. W najwyższej sześćdziesiąt sekund było po wszystkim. Niemieckie oddziały pancerne zostały doszczętnie zniszczone. Ale potężna ściana wody nadal wylewała się kipiąc z wylotu wąwozu.

\* \* \*

— Dałby Bóg, żebym więcej czegoś takiego w życiu nie oglądał. — Generał Vukalović opuścił lornetkę i obrócił się do pułkownika Janzego z miną bynajmniej nie zadowoloną czy rozradowaną, a będącą mieszaniną pełnego zgrozy zdumienia i głębokiego współczucia. — To nieludzka śmierć, nawet jeśli spotyka wrogów. — Po kilku chwilach milczenia drgnął. — Na tym brzegu uratowały się ze dwie setki żołnierzy — rzekł. — Zajmiesz się nimi?

— Zajmę — odparł posępnie Janzy. — To noc na branie do niewoli, nie na zabijanie, bo walki nie będzie. No i dobrze, generale. Po raz pierwszy w życiu nie palę się do niej.

— W takim razie zostawiam cię. — Vukalović klepnął Janzego w ramię i uśmiechnął się, a był to bardzo zmęczony uśmiech. — Mam spotkanie przy zapozrze... a raczej przy tym, co z niej zostało.

— Z jakim kapitanem Mallorym?

— Z kapitanem Mallorym. Odlatujemy dziś do Włoch. Wiesz, chyba pomyliliśmy się w ocenie tego człowieka.

— Ja nigdy w niego nie wątpiłem — odparł z przekonaniem Janzy.

Vukalović uśmiechnął się i odszedł.

\* \* \*

Kapitan Neufeld, z głową owiniętą zakrwawionym bandażem i podtrzymywany przez dwóch żołnierzy, stał chwiejnie na szczycie żlebu zbiegającego do brodu na Neretwie i z twarzą stężałą w wyrazie osłupiałego przerażenia i niemal kom-

pletnej niewiary wpatrywał się w dół tam, gdzie kiedyś był przełom rzeki — w biały kotłujący się wir, którego kipiącą powierzchnię dzieliło od miejsca, gdzie stał, najwyżej sześć metrów. Bardzo, bardzo wolno z nieopisanym znużeniem, ostatecznie godząc się z klęską, potrząsnął głową, a potem zwrócił się do żołnierza po lewej ręce, z wyglądu tak oszołomionego, jak on sam.

— Weź dwa najlepsze kuce — powiedział. — Jedź do najbliższego dowództwa Wehrmachtu na północ od Przełęczycy Zenicy. Powiedz im, że dwie pancerne dywizje generała Zimmermanna zostały zniszczone — wprawdzie nie wiem tego na pewno, ale tak się niewątpliwie stało. Powiedz im, że dolina Neretvy to dolina śmierci i że nie pozostał nikt do jej obrony. Powiedz im, że alianci mogą tu zrzucić swoje dywizje spadochronowe i nikt do nich nawet nie strzeli. Powiedz im, żeby natychmiast zawiadomili Berlin. Zrozumiałeś, Lindemann?

— Zrozumiałem, panie kapitanie.

Z miny żołnierza Neufeld wyczytał, że Lindemann zrozumiał bardzo mało z tego, co mu powiedział. Czuł się jednak bezgranicznie zmęczony i nie miał chęci powtarzać poleceń. Lindemann wsiadł na kuca, chwycił wodze drugiego i popędził wzdłuż toru kolejowego.

— Nie ma aż takiego pośpiechu, chłopcze — mruknął prawie do siebie Neufeld.

— Słucham, panie kapitanie? — spytał drugi żołnierz, patrząc na niego dziwnym wzrokiem.

— Już za późno — powiedział Neufeld.

\* \* \*

Mallory popatrzył w dół na wciąż kotłującą się wodę w wąwozie, obrócił się i spojrział na zalew, którego poziom opadł już co najmniej o piętnaście metrów, a potem odwrócił się, żeby przyjrzeć się swoim podwładnym i dziewczynie za swoimi plecami. Był niewymownie zmęczony.

Poobijany, potłuczony i krwawiący Andrea, z prowizorycznie zabandażowanym ramieniem, składał po raz kolejny dowody swoich nadzwyczajnych zdolności do regenerowania sił — patrząc na niego nikt by się nie domyślił, że zaledwie przed dziesięcioma minutami balansował na granicy kompletnego wyczerpania. Tulił w ramionach Marię, która również przychodziła do siebie, ale bardzo, bardzo wolno. Miller skończył opatrywać ranę głowy siedzącemu w tej chwili Petarowi, który mimo zranionej głowy i ręki miał duże szanse przeżycia, podszedł do Grovesa i pochylił się nad nim. Po kilku chwilach wyprostował się i wpatrzył w leżącego młodego sierżanta.

— Nie żyje? — spytał Mallory.

— Nie żyje.



— Nie żyje. — Andrea uśmiechnął się, przepelniony smutkiem. — Nie żyje... a ja i ty żyjemy. Dlatego, że ten młody chłopak zginął.

— Był spisany na straty — wtrącił Miller.

— I młody Reynolds. — Andrea był nieopisanie zmęczony. — On też był spisany na straty. Co to powiedziałeś mu wczoraj po południu, Keith? Że być może nie będzie już więcej czasu na nic? I rzeczywiście nie będzie. Dla Reynoldsa. Uratował mi dzisiejszej nocy życie — dwukrotnie. Uratował Marię. Uratował Petara. Ale nie był na tyle mądry, żeby uratować siebie. My za to jesteśmy mądrzy, starzy, roztropni, doświadczeni. Tak więc starzy żyją, a młodzi giną. Tak jest zawsze. Kpiłiśmy z nich, śmieliśmy się z nich, nie ufaliśmy im, dziwiliśmy się ich młodości, głupocie i niewiedzy. — Niezwykle czułym gestem odsunął z twarzy Marii mokre jasne włosy, na co uśmiechnęła się do niego. — A w sumie, jako ludzie, byli lepsi od nas...

— W tym przypadku, możliwe... — rzekł Mallory. Ze smutkiem popatrzył na Petara i w zdumieniu pokręcił głową. — I pomyśleć tylko, że wszyscy trzej nie żyją — Reynolds, Groves, Saunders — a żaden nie miał pojęcia, że był pan szefem angielskiego wywiadu na Bałkanach.

— Nieświadomi do samego końca. — Miller gniewnie wierzchem rękawa bluzy przejechał po oczach. — Niektórych nic nie nauczy. Po prostu nic.

## EPILOG

Komandor Jensen i angielski generał brygady znajdowali się znów w sali operacyjnej w Termoli, ale nie chodzili już po niej tam i z powrotem. Dni chodzenia odeszły w przeszłość. Co prawda w dalszym ciągu wyglądali na bardzo zmęczonych, a bruzdy na twarzach mieli zapewne odrobinę głębsze niż parę dni temu, ale ich miny nie były już posępne, a oczu nie chmurzył niepokój i gdyby nie siedzieli w głębokich wygodnych fotelach, a przechadzali się, to niewykluczone, że ich chód byłby sprężystszy. W rękach obaj trzymali duże szklanki.

Jensen pociągnął łyk whisky i rzekł z uśmiechem:

— Myślałem, że miejsce generała jest na czele jego oddziałów.

— Nie w dzisiejszych czasach, komandorze — odparł stanowczym tonem generał. — W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym mądry generał dowodzi z tyłów swoich oddziałów — z odległości około dwudziestu mil za nimi. A poza tym dywizje pancerne poruszają się tak szybko, że nie byłbym w stanie ich dogonić.

— Posuwają się z tak dużą prędkością?

— Nie tak prędko jak niemieckie i austriackie dywizje, wycofane zeszłej nocy z linii Gustawa, które pędzą w tej chwili do granic Jugosławii. Ale rozwijają dobre tempo. — Generał pozwolił sobie na szczodry łyk whisky i uśmiechnął się z niemalym zadowoleniem. — Podstęp powiódł się w pełni, w pełni udało się przełamać front. Pańscy ludzie spisali się wyśmienicie.

Obaj oficerowie obrócili się w fotelach na pełne szacunku pukanie, które poprzedziło otwarcie ciężkich, obitych skórą drzwi. Wszedł przez nie Mallory, a za nim Vukalović, Andrea i Miller. Wszyscy czterej byli nieogoleni, wszyscy wyglądali tak, jakby nie spali od tygodnia. Andrea trzymał rękę na temblaku.

Jensen wstał, dopił whisky, postawił na stole szklanę i spojrzał beznamietnie na Mallory'ego.

— Nie za bardzo wam się spieszyło, co? — spytał.

Mallory, Andrea i Miller wymienili pozbawione wyrazu spojrzenia. Zapadło dłuższe milczenie, wreszcie Mallory odparł.

— Nie wszystko da się załatwić jednakowo szybko.

\* \* \*

Petar i Maria, trzymając się za ręce, leżeli obok siebie w dwóch zwyczajnych żołnierskich łóżkach w wojskowym szpitalu w Termoli, kiedy wszedł Jensen, a za nim Mallory, Miller i Andrea.

— Miło mi słyszeć, że tak wspaniale się spisywaliście — powiedział z werwą Jensen. — Przyprowadziłem kilku... znajomych, żeby się pożegnali.

— A cóż to w ogóle za szpital? — spytał surowo Miller. — Co z wysoce moralną atmosferą wojskową, ha? Czy tu nie ma osobnych sal dla mężczyzn i dla kobiet?

— Oni od dwóch lat są małżeństwem — wyjaśnił ze spokojem Mallory. — Czyżbym zapomniał ci o tym powiedzieć?

— Jasne, że pan nie zapomniał — odparł zde gustowany Miller. — Po prostu wyleciało to panu z głowy.

— Skoro już mówimy o małżeństwie... — Andrea odchrząknął i spróbował z innej beczki. — Może komandor Jensen przypomina sobie, że tam, na Nawaronie...

— Tak, tak. — Jensen powstrzymał go, unosząc rękę. — W samej rzeczy. Rzeczywiście. Rzeczywiście. Ale myślałem, że może... cóż szczerze mówiąc, chodzi o to... no więc dobrze, tak się składa, że jest małe zadanie, doprawdy bardzo niewielkie, które właśnie się pojawiło na tapecie, a ponieważ akurat jesteście pod ręką, pomyślałem sobie...

Andrea wytrzeszczył oczy na Jensena. Minę miał kompletnie przerażoną.